

WKRÓTCE W KINACH FILM WYTWÓRNI
FOX SEARCHLIGHT PICTURES



DENNIS LEHANE
BRUDNY SZMAL

Prószyński i S-ka

Dennis Lehane

Brudny szmal

Przekład Maciejka Mazan

*Dla Toma i Sarah
to dopiero było love story*

*Więc „Czarne owce!” na nie wołamy,
bezpieczne w naszej zagrodzie.
I może słyszą to i pytają
„czemu?”, gdy stoją na chłodzie.*

Richard Burton, Czarne owce

Na ratunek

Bob znalazł psa dwa dni po Bożym Narodzeniu, kiedy osiedle trwało w milczeniu, zziębnięte, skacowane i wzdęte.

Wracał jak zwykle ze zmiany od czwartej do drugiej w Barze Kuzyna Marva w Buckingham Flats. Przepracował tam ze dwadzieścia lat. Tej nocy nie było ruchu. Millie zajęła swój stały stolik w kącie, gdzie kiwała się nad koktajlem Tom Collins i czasem szeptała do siebie albo udawała, że ogląda telewizję, byle tylko nie wracać do domu starców na Edison Green. Sam kuzyn Marv zjawił się w lokalu i został na dłużej. Utrzymywał, że przegląda rachunki, ale głównie siedział przy stoliku w głębi sali, czytając biuletyn wyścigowy i pisząc SMS-y do swojej siostry Dottie.

Pewnie zamknęliby wcześniej, gdyby nie przyjaciele Richiego Whelana, którzy zajęli stolik w kącie naprzeciwko Millie, wznosząc toasty za dawno zaginionego kompana, którego uznano już za zmarłego.

Dokładnie dziesięć lat temu Richie Whelan wyszedł z lokalu kuzyna Marva, by skombinować trochę trawy bądź metakwalonu (wśród jego przyjaciół nadal stanowiło to temat sporny), i już nie wrócił. Zostawił dziewczynę, dzieciaka, którego nigdy nie widział, a który mieszkał z matką w New Hampshire, i samochód, czekający w garażu

na wymianę spoilera. To właśnie ten samochód utwierdził wszystkich w przekonaniu, że Richie nie żyje: nigdy w życiu dobrowolnie nie zostawiłby swojej fury. Po prostu kochał tego cholernego grata.

Bardzo niewiele osób nazywało Richiego Whelana jego prawdziwym imieniem. Był bardziej znany pod ksywką Dawne Czasy, bo gęba mu się nie zamykała na temat tego jednego roku, kiedy grał jako quarterback w liceum East Buckingham. To za jego sprawą drużyna osiągnęła wynik 7:6, co może nie wydaje się jakąś rewelacją, dopóki nie spojrzy się na wyniki przed i po Richiem.

No więc tej nocy w Barze Kuzyna Marva siedzieli kumple od dawna zaginionego i uznanego za zmarłego gościa – Sully, Donnie, Paul, Stevie, Sean i Jimmy – i gapili się, jak drużyna Heat wyciera boisko zawodnikami Boston Celtics. Bob bez pytania przyniósł im piątą kolejkę na koszt firmy, akurat gdy na ekranie wydarzyło się coś takiego, że wszyscy podnieśli ręce i jęknęli albo krzyknęli.

– Za starzy jesteście, dziady! – ryknął Sean w stronę telewizora.

– Nie aż tacy starzy – zaproponował Paul.

– Rondo właśnie zablokował LeBrona swoim balkonikiem – odparł Sean. – A ten skurwiel, jak mu tam, Bogans? Jest twarzą pieluch dla dorosłych.

Bob postawił drinki przed Jimmym, kierowcą szkolnego autobusu.

– Może się wypowiesz? – zagaił Jimmy.

Bob poczuł, że się rumieni. Często mu się to zdarzało, kiedy ludzie patrzyli na niego tak, że czuł się zobowiązany też na nich spojrzeć.

– Koszykówka mnie nie interesuje.

– A w ogóle coś cię interesuje? – odezwał się Sully, który pobierał opłaty na autostradzie. – Lubisz czytać? Oglądasz „Randkę w ciemno”? Polujesz na bezdomnych?

Wszyscy zachichotali, a Bob uśmiechnął się przepraszająco.

– Firma stawia – powiedział i odszedł, odcinając się od gwaru za swoimi plecami.

– Widziałem, jak laski – naprawdę niezłe dupy – usiłowały go poderwać, a ten nic – odezwał się Paul.

– Może jara się facetami – podsunął Sully.

– On się niczym nie jara.

Sean przypomniał sobie o dobrym wychowaniu i uniósł kieliszek w stronę Boba, a potem kuzyna Marva.

– Dzięki, chłopaki! – Marv, który przeniósł się za bar, spojrział znad gazety, uniósł kieliszek z uśmiechem i wrócił do czytania. Pozostali również unieśli swoje drinki. – Ktoś chce coś powiedzieć? – spytał Sean.

– Za Richiego Dawne Czasy Whelana – powiedział uroczyście Sully. – Rocznik dziewięćdziesiąty drugi. Śmieszny był z niego sukinsyn. Niech spoczywa w pokoju.

Reszta chłopaków mruknęła z aprobatą i opróżniła szkło.

Marv złożył gazetę, podszedł do Boba, który wstawiał brudne szklanki do zlewu, i spojrział na facetów w barze.

– Postawiłeś im kolejkę? – spytał.

– Piją za zmarłego przyjaciela.

– Chłopak nie żyje... nie wiem... z dziesięć lat. – Marv włożył skórzaną wyścigową kurtkę, w której zawsze chodził, kurtkę, która była modna w czasach, gdy samoloty zderzyły się z bliźniaczymi wieżami w Nowym Jorku, ale wyszła z mody, zanim budynki runęły. – Musisz w końcu się otrząsnąć i przestać stawiać drinki za zdrowie trupa. – Bob w milczeniu opłukał szklanekę przed wstawieniem jej do zmywarki. Kuzyn Marv włożył rękawiczki i szalik i spojrzał na Millie, siedzącą po drugiej stronie baru. – Skoro o tym mowa, nie możemy pozwalać, żeby tu przesiadywała i nie płaciła za drinki.

Bob ustawił kolejną szklanekę na górnej półce.

– Nie pije dużo.

Marv pochylił się do niego.

– Kiedy ostatnio kazałeś jej zapłacić? A po północy pozwalasz jej tu palić, niech ci się nie wydaje, że nie wiem. To nie darmowa jadłodajnia, to bar. Jak dziś nie zapłaci, niech nie wraca, dopóki nie znajdzie pieniędzy.

Bob spojrzał na niego.

– Ma na rachunku ze sto dolarów.

– Sto czterdzieści. – Marv zatrzymał się przy drzwiach. – A, i wiesz co? Zdejmij te świąteczne duperele. Już dwudziesty siódmy.

– A Trzech Króli? – spytał Bob.

Marv utkwiał w nim ołowiane spojrzenie.

– Nawet nie wiem, jak na to odpowiedzieć – oznajmił i

wyszedł.

Kiedy Celtics wyzionęli ostatnie tchnienie, jak dobity z litości krewny, który nie był nikomu szczególnie bliski, przyjaciele Richiego Whelana ulotnili się, zostawiając w barze tylko starą Millie i Boba. Bob wziął się do zamiatania, a Millie kaszłała kaszlem palacza, nieograniczonym pod względem ilości flegmy i czasu trwania. Przestała dopiero w chwili, kiedy wydawało się pewne, że zacharczy się na śmierć.

Bob przystanął przy niej z miotłą.

– W porządku?

Millie machnęła lekceważąco ręką.

– Super. Jeszcze jedną kolejkę.

Bob stanął za barem. Nie potrafił spojrzeć Millie w oczy, więc spuścił wzrok na czarne gumoleum.

– Muszę cię poprosić, żebyś zapłaciła. Przepraszam, Mill. I... – Czuł się tak, jakby strzelał sobie w głowę. W tej chwili wstydził się, że przynależy do gatunku ludzkiego...

– Musisz spłacić dług.

– O.

Bob nie spojrział na nią od razu.

– No.

Millie zaczęła grzebać w sportowej torbie, z którą przychodziła tu co wieczór.

– Jasne, jasne. Interes musi się kręcić. Jasne.

Torba była stara, logo z boku się wytarło. Millie grzebała w niej wytrwale. W końcu położyła na barze dolara i sześćdziesiąt dwa centy. Pogrzebała znowu i

wyjęła zabytkową ramkę bez zdjęcia. Ją też postawiła na barze.

– To srebro najwyższej próby, od Water Street Jewelers – oznajmiła. – Robert Kennedy kupił u nich zegarek dla Ethel. Ta ramka jest warta kupę kasy, Bob.

– Nie trzymasz w niej zdjęcia?

Millie spojrzała na zegar nad barem.

– Spłowiało.

– Byłaś na nim ty?

Millie skinęła głową.

– I dzieci.

Znowu zaczęła grzebać w torbie.

Bob postawił przed nią popielniczkę. Millie podniosła na niego wzrok. Miał ochotę pogłaskać ją po ręce – w geście pociechy w stylu „nie jesteś sama” – ale takie gesty lepiej wychodziły innym ludziom, może tym z filmów. Kiedy on próbował zrobić coś tak osobistego, wychodziło niezręcznie. Dlatego odwrócił się i zrobił Millie drinka. Postawił przed nią, po czym wziął dolara i podszedł do kasy.

– Nie, weź lepiej... – zaczęła Millie.

Bob obejrzał się na nią przez ramię.

– To wystarczy.

Kupował swoje ubrania w Targecie – nowe podkoszulki, dzinsy i flanelowe koszule – mniej więcej raz na dwa lata. Jeździł chevroletem impala, którego nie zmienił od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, kiedy ojciec wręczył mu kluczyki. Samochód jednak

nie miał na liczniku jeszcze nawet stu tysięcy mil, bo Bob nie wybierał się nim nigdzie dalej. Dom miał spleacony, podatek od nieruchomości był śmieszny, no bo kto by chciał tam mieszkać? Dlatego – co zdziwiłoby wiele osób – Bob posiadał rozporządzalny dochód.

Włożył dolara do szuflady kasy. Potem sięgnął do kieszeni, wyjął zwitek banknotów i oddzielił od niego siedem dwudziestek, które dodał do kasy. Kiedy się odwrócił, Millie już zgarnęła drobniaki i ramkę do torby.

Piła, a on skończył sprzątać. Kiedy wrócił, grzechotała kostkami lodu w kieliszku.

– Słyszałaś o święcie Trzech Króli? – spytał.

– Jasne. Szóstego stycznia.

– Nikt już o nim nie pamięta.

– W moich czasach miało znaczenie.

– W czasach mojego starego też.

– Ale nie w twoich. – W jej głosie zabrzmiała nutka roztargnionej litości.

– Nie w moich – zgodził się Bob i poczuł, że w jego piersi trzepocze uwięziony ptak, rozpaczliwie szukający drogi ucieczki.

Millie głęboko zaciągnęła się papierosem i z rozkoszą wypuściła dym. Zakaszła znowu i zgasiła niedopałek. Włożyła wytarte zimowe paletko i podreptała do drzwi. Bob otworzył je przed nią. Na dworze prószył śnieg.

– Dobranoc, Bob.

– Tylko patrz pod nogi – powiedział. – Uważaj na lód.

W tym roku dwudziesty ósmy był dniem przyjazdu

śmieciarzy. Mieszkańcy Flats już dawno wystawili kubły na krawężnik. Bob szedł chodnikiem w stronę domu, patrząc z rozbawieniem i desperacją na to, co wyrzucają ludzie. Tak wiele szybko zepsutych zabawek. Tak wiele rzeczy, jeszcze całkiem dobrych, ale wymienionych na lepsze. Tostery, telewizory, mikrofalówki, sprzęt stereo, ubrania, zdalnie sterowane samochodziki, samoloty i ciężarówki, które wymagały tylko kropelki kleju, kawałka taśmy. A przecież to nie była bogata dzielnica. Bob nie potrafił zliczyć, ile domowych awantur o pieniądze nie pozwalało mu zasnąć, ilu ludzi o znekanych troską twarzach wlokło się rano do metra, ściskając w spoconych dłoniach gazety z ogłoszeniami o poszukiwanych pracownikach. Stał za nimi w kolejce w spożywczaku i widział, jak przeliczają bony, stał w bankach, patrząc, jak realizują czeki państwowej zapomogi. Niektórzy pracowali na dwóch etatach, inni mogli sobie pozwolić na mieszkanie tylko dzięki pomocy państwa, a jeszcze inni zgłębiali smutek swojego życia u kuzyna Marva – z nieobecny wzrokiem ściskając ucha kufla.

A jednak kupowali. Budowali piramidę długów i kiedy wydawało się, że ta chwiejna konstrukcja lada chwila runie pod własnym ciężarem, kupowali na raty zestaw wypoczynkowy i dorzucali go na samą górę. A kupując, musieli jednocześnie wyrzucać równie wiele lub więcej przedmiotów. Te sterty śmieci, które widywał Bob, świadczyły o niemal brutalnym uzależnieniu, kojarzącym mu się ze sranie jedzeniem, którego się nie zjadło.

Bob – wykluczony z tego rytuału przez piętno samotności i niezdolność przyciągnięcia do siebie kogokolwiek, kto zainteresowałby się nim w stopniu przekraczającym pięciominutową rozmowę o sensacji dnia – czasami dopuszczał się na tych spacerach grzechu pychy, szcząc się, że on sam nie wpada w tę spiralę bezmyślnej konsumpcji, że nie czuje potrzeby kupowania tych wszystkich przedmiotów, choć tego właśnie żądają od niego telewizja, radio, billboardy i reklamy w gazetach. Kupowanie nie dałoby mu tego, czego chciał, a chciał tylko nie być sam, choć wiedział, że przed tym nie ma ratunku.

Mieszkał samotnie w domu, w którym się wychował, a kiedy już wydawało mu się, że zaraz pochłoną go jego zapachy, wspomnienia i ciemne kanapy, starał się uciec – poprzez kościelne wieczorki towarzyskie, osiedlowe pikniki i jedną okropną imprezę zapoznawczą zorganizowaną przez serwis randkowy – ale to tylko jeszcze bardziej rozdzierało ranę, którą później musiał leczyć przez wiele tygodni, przeklinając się za ten nawrót nadziei. Głupia nadzieja, szeptał czasem w ciszy salonu. Głupia, głupia nadzieja.

Ale nadzieja w nim ciągle żyła. Po cichu, przeważnie nie licząc na wiele. Nadzieja bez nadziei, myślał czasem i udawało mu się uśmiechnąć, a pasażerowie metra zastanawiali się, co, do cholery, mogło tak rozśmieszyć Boba – dziwnego, samotnego barmana Boba. Dość sympatycznego, spieszącego z pomocą, gdy trzeba było odśnieżyć chodnik albo postawić kolejkę, poczciwego

chłopa, ale tak nieśmiałego, że w połowie przypadków nie było słyhać, co mówi, więc dawało się za wygraną, kiwało się mu uprzejmie głową i zwracało się do kogoś innego.

Bob wiedział, co o nim mówią, i nie mógł mieć o to pretensji. Potrafił spojrzeć na siebie ich oczami i zobaczyć to, co oni – łajzowatą ofiarę, skrepowaną w sytuacjach towarzyskich, mającą dziwne nerwowe tiki, jak na przykład ataki gwałtownego mrugania bez przyczyny oraz przekrzywianie głowy pod dziwnymi kątami, kiedy śnił na jawie – gościa, przy którym inne ofiary losu wydają się nie takie najgorsze.

– Masz tak wiele miłości w sercu – powiedział ojciec Regan, kiedy Bob rozplakał się w konfesjonale. Ojciec Regan zabrał go na zakrystię i wypili parę kieliszeczków whisky, którą duchowny trzymał w szafie pod sutannami. – Mówię szczerze. To jasne dla każdego. I mam nadzieję, że jakaś dobra kobieta, kobieta wierząca w Boga, dostrzeże tę miłość i rzuci się na nią.

Czy można wyjaśnić człowiekowi żyjącemu w świecie ducha, jak to jest w świecie ludzi? Bob wiedział, że ksiądz ma dobre intencje, że teoretycznie ma rację. Ale doświadczenie nauczyło go, że kobiety widzą miłość w jego sercu, a jakże, ale wolą serca w bardziej atrakcyjnych opakowaniach. Zresztą nie chodziło tylko o kobiety, ale też o niego. Wolał nie zbliżać się do tego, co łatwo uszkodzić. Już od lat.

Tej nocy stanął na chodniku pod atramentowym niebem, czując zimno w palcach, i zamknął oczy.

Przywykł. Przywykł.

Nie szkodzi.

Można się z tym zaprzyjaźnić, o ile się z tym nie walczy.

Stojąc tak z zamkniętymi oczami, usłyszał ochryple zawodzenie przy akompaniamencie cichego drapania i głośniejszego metalicznego łomotu. Otworzył oczy. Jakieś pół metra dalej po prawej stronie chodnika wielki metalowy kubel z ciężkim, szczelnie zamkniętym wiekiem kołysał się lekko w żółtym jaskrawym świetle latarni, a jego dolna krawędź szurała o płyty. Bob stanął nad kubłem i znowu usłyszał zawodzenie – głos uwiecznionego wewnątrz stworzenia, które było o jeden oddech od decyzji, że następnego wdechu już nie weźmie.

Uniósł pokrywę. Musiał wyjąć parę przedmiotów – pozbawioną drzwiczek kuchenkę mikrofalową i pięć grubych książek telefonicznych (najstarszą z dwa tysiące piątego roku) leżących na brudnym materacu i zatechłych poduszkach. Pies – albo bardzo małej rasy, albo szczeniak – znajdował się na samym dnie. Odwrócił głowę w stronę swojego brzucha, na który padło światło. Wydał ciche, szemrzące kwilenie i jeszcze bardziej się skurczył, mrużąc oczy. Chudzinka. Bob widział wszystkie jego żebra. I wielki strup koło ucha. Piesek – bez obroży – miał brązową sierść, biały pyszczek i łapki, które wydawały się za duże w stosunku do jego ciała. Zaskomlał gwałtowniej, kiedy Bob sięgnął ku niemu, chwycił go za luźną fałdę skóry na karku i uniósł z kałuży jego ekskrementów. Bob nie znał się za

bardzo na psach, ale wydawało mu się zupełnie jasne, że to nie może być nic innego niż bokser. I że to z całą pewnością szczeniak. Wielkie brązowe ślepia otworzyły się i spojrzały prosto w oczy wybawiciela.

Gdzieś niedaleko, Bob był tego pewien, jakaś para uprawiała seks. Mężczyzna i kobieta. Spleceni ze sobą. Za którąś z tych rozświetlonych na pomarańczowo rolet. Bob czuł ich, nagich i błogosławionych. A on stał na zimnie, z wpatrzonym w niego, bliskim śmierci szczeniakiem. Skuty lodem chodnik błyszczał jak nowy marmur, wiatr był ponury i szary jak śniegowa breja.

– Co tam masz? – Bob odwrócił się i rozejrzał dokoła.
– Jestem tutaj. A ty grzebałeś w moich śmieciach.

Kobieta stała na ganku najbliższego dwupiętrowego domu. Z kieszeni bluzy z kapturem wyjęła paczkę papierosów. Wytrząsnęła jednego, nie spuszczając wzroku z Boba.

– Psa. – Bob podniósł znajdę.

– Co?!

– Psa. Szczeniaka. Chyba boksera.

Kobieta wykaszlnęła trochę dymu.

– Kto wsadza psa do kubła na śmieci?

– No nie? Właśnie. A on krwawi. – Bob zrobił krok w stronę schodów, a kobieta się cofnęła.

– Znasz kogoś, kogo mogłabym znać? – Miastowa dziewczyna, która nie ufa obcym.

– Nie wiem. Może Francie Hedges?

Pokręciła głową.

– Znasz Sullivanów?

To nie zawężało możliwości. Nie tutaj. Tutaj pod każdym krzakiem można było znaleźć jakiegoś Sullivana. Albo sześciopak Sullivanów.

– Znam paru.

Zmierzali donikąd. Szczeniak wpatrywał się w niego, trzęsąc się bardziej niż ta dziewczyna.

– Czekaj – powiedziała. – Mieszkasz w tej parafii?

– W następnej. – Przechylił głowę. – Świętego Dominika.

– Chodzisz do kościoła?

– Przeważnie.

– Znasz ojca Pete’a?

– Pete Regan. Jasne.

Wyjęła komórkę.

– Jak się nazywasz?

– Bob. Bob Saginowski.

Uniosła komórkę i zrobiła mu zdjęcie. Gdyby się tego spodziewał, przynajmniej przeczesałby włosy palcami.

Zaczekał, aż dziewczyna cofnie się w cień, trzymając telefon przy jednym uchu i zatykając palcem drugie. Spojrzał na szczeniaka. Szczeniak spojrzał na niego, jakby pytał: jak ja tu wylądowałem? Bob dotknął palcem jego nosa. Szczeniak mrugnął wielkimi oczami. Przez chwilę Bob nie potrafił sobie przypomnieć swoich grzechów.

– Rozesłałam to zdjęcie – dobiegło go z mroku. – Do ojca Pete’a i sześciu innych osób.

Bob spojrzał w ciemność bez słowa.

– Nadia – dodała dziewczyna i wróciła w światło. – Przynieś go tutaj.

Umyli szczeniaka w zlewie Nadii, wytarli go i postawili na kuchennym stole.

Nadia była mała. Przez gardło, u nasady szyi, biegła jej węzlasta blizna, ciemnoczerwona, jak uśmiech pijanego cyrkowego klauna. Jej twarz była okrągła jak mały księżyc w pełni, posiekana dziobami po ospie. Oczy jak medaliki. Barki, które nie tyle przechodziły w ramiona, co zamierały przed nimi. Łokcie niczym spłaszczone puszki po piwie. Krótkie włosy w kolorze żółtego blondu, podkreślone po obu stronach twarzy.

– To nie bokser. – Jej spojrzenie musnęło twarz Boba, zanim postawiła szczeniaka na stole. – To amerykański staffordshire terier.

Bob czuł, że powinien zrozumieć, skąd ten jej ton, ale nie wiedział, o co chodzi, więc dalej milczał.

Zerknęła na niego, kiedy cisza zanadto się przedłużała.

– Pitbul.

– To jest pitbul?

Skinęła głową i znowu otarła ranę na jego głowie.

– Ktoś go zbił. Pewnie do nieprzytomności. Potem uznał go za martwego i wyrzucił.

– Dlaczego? – spytał Bob.

Spojrzała na niego, a jej okrągłe oczy stały się jeszcze okrągłejsze.

– Bo tak. – Wzruszyła ramionami i wróciła do oględzin psa. – Kiedyś pracowałam w schronisku. Znasz to

na Shawmut? Byłam asystentką weterynarza. Potem doszłam do wniosku, że to nie moja bajka. Ta rasa jest bardzo trudna.

– Jak to?

– Do adopcji.

– Nie znam się na psach. Nigdy nie miałem psa. Mieszkam sam. Ja tylko przechodziłem obok tego kubła. – Nagle owładnęła go rozpaczliwa potrzeba, by się wytłumaczyć, wytłumaczyć swoje życie. – Nie jestem... – Za szybą wył wiatr, ponury i przejmujący. O szybę siekł deszcz, a może drobinki lodu. Nadia uniosła lewą tylną łapę szczeniaka – pozostałe trzy były brązowe, a ta – biała z brzoskwiniowymi plamkami. Potem puściła ją gwałtownie, jakby bała się czymś zarazić, i znowu zajęła się raną na głowie. Przyjrzała się bliżej prawemu uchu, brakowało mu górnej części, czego Bob aż do tej chwili nie zauważył.

– No tak – powiedziała. – Przeżyje. Będziesz potrzebował klatki, karmy i różnych różności.

– Nie. Nie rozumiesz.

Przechyliła głowę i spojrzała na niego w sposób oznaczający, że rozumie doskonale.

– Nie mogę. Ja go tylko znalazłem. Zamierzałem go oddać.

– Temu, kto go pobił i zostawił na pewną śmierć?

– Nie, nie... no, jakimś władzom.

– Czyli schronisku. A oni dadzą właścicielowi tydzień na zgłoszenie się po psa, a potem...

– Facetowi, który go pobił? Dadzą mu drugą szansę?

Zmarszczyła brwi i skinęła głową.

– Jeśli on go nie zechce – uniosła ucho szczeniaka i zajrzała do środka – najprawdopodobniej ten mały zostanie zgłoszony do adopcji. Ale to trudne. Znaleźć im dom. Pitbulom. Najczęściej... – Spojrzała na Boba. – Najczęściej się je usypia.

Bob poczuł bijący od niej smutek, który natychmiast go zawstydził. Nie wiedział jak, ale jakoś sprawił jej ból. Jakoś zmienił świat na gorsze. Zawiódł tę dziewczynę.

– Ale... – zaczął – to tylko...

Zerknęła na niego.

– Słucham?

Szczeniak miał żalosne oczy, zapewne po długim dniu w kuble i spotkaniu z tym, kto zrobił mu tę ranę na głowie. Ale przestał dygotać.

– Może ty go weźmiesz? – zapytał Bob. – Powiedziałaś, że tam pracowałaś. Umiesz...

Pokręciła głową.

– Nie potrafię zadbać nawet o siebie. I za długo pracuję. W nietypowych godzinach. Nieprzewidywalnych.

– Nie wzięłabyś go chociaż do niedzieli rano? – Bob nie rozumiał, w jaki sposób te słowa dobyły się z jego ust, bo nie pamiętał, żeby je wypowiedział czy choćby pomyślał.

Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie.

– Nie ściemniasz? Bo jak go nie odbierzesz do południa w niedzielę, to, jak Boga kocham, wystawię go za próg.

– To do niedzieli – powiedział Bob z przekonaniem, które właściwie nawet czuł. – Zdecydowanie.

– Tak?

– Tak. – Miał wrażenie, że postradał zmysły. Kręciło mu się w głowie, jakby zsiadł z karuzeli. – Tak.

Nieskończoność

Codzienna msza o siódmej u Świętego Dominika nie ściagała tłumów nawet w czasach, gdy Bob przyszedł na świat. Ale szczupła grupka wiernych kurczyła się ostatnio z każdym miesiącem.

Następnego dnia po znalezieniu psa Bob słyszał z dziesiątego rzędu ławek, jak rąbek sutanny ojca Regana muska z szelestem podłogę przed ołtarzem. Wśród wiernych tego dnia – a był to doprawdy przykry dzień, gołoledź na ulicach, wiatr tnący tak ostro, że prawie się go widziało – znaleźli się oprócz Boba także wdowa Malone, Theresa Coe, niegdyś kierowniczką szkoły pod wezwaniem Świętego Dominika, stary Williams i ten portorykański gliniarz, który nazywał się – Bob był tego całkiem pewien – Torres.

Torres nie wyglądał na gliniarza – oczy miał dobre, czasem nawet żartobliwe – dlatego widok broni na jego biodrze, kiedy wracał do swojej ławki po przyjęciu komunii, mógł zaskoczyć. Bob nigdy nie przyjmował komunii, co nie uszło uwadze ojca Regana, który parę razy próbował go przekonać, że jeśli nie przyjmie Eucharystii, będąc w stanie grzechu śmiertelnego, zrobi sobie o wiele większą krzywdę, niż gdyby przystąpił do sakramentu. Ale Bob został wychowany w starej katolickiej szkole, w czasach zakonnic bijących za karę linijkami i opowieści o

otchłani i czyścicu. Więc choć, by się tak wyrazić, oddalił się nieco od większości nauk Kościoła, pozostał tradycjonalistą. Kościół Świętego Dominika zaliczał się do starszych budynków. Jego historia sięgała końca dziewiętnastego wieku. Piękny gmach – ciemny mahoń, marmur w odcieniu szarej bieli, wysokie okna z witrażami, przedstawiającymi rozmaitych smutnookich świętych. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać kościół. Te nowsze... Bob nie wiedział, co o nich myśleć. Zbyt jasne ławki, zbyt wiele świetlików w suficie. Czuł się w nich tak, jakby miał się napawać swoim życiem, a nie rozmyślać o grzechach.

Ale w starym kościele, kościele z mahoniem, marmuru i ciemnych boazerii, kościele pełnym cichego majestatu i nieprzejednanej historii, można było stosownie rozmyślać – zarówno o nadziejach, jak i o występkach.

Inni parafianie stanęli w kolejce po komunię. Bob nadal klęczał w swojej ławce. Został sam. Jak wyspa.

Ten gliniarz Torres znowu się pojawił, przystojny gość koło czterdziestki, już lekko roztyty. Przyjął komunię na język, nie w złożoną dłoń. Także tradycjonalista.

Odwrócił się, przeżegnał i omiół spojrzeniem Boba, wracając do swojej ławki.

– Powstańmy. – Bob przeżegnał się i wstał. Stopą wsunął na miejsce podstawkę pod kolana. Ojciec Regan uniósł dłoń nad zebranych i zamknął oczy. – Niech Pan pobłogosławi was i ma nad wami pieczę przez wszystkie dni waszego życia. Niech jego twarz lśni nad wami i będzie

wam przychylna. Niech uniesie swą twarz nad wami i da wam pokój. Oto ofiara spełniona. Idźcie w pokoju, by kochać i służyć Panu. Amen.

Bob wstał i ruszył przejściem między ławkami. Przystanął przy kropielnicy przy wyjściu, zanurzył palce w święconej wodzie i przeżegnał się. Torres zrobił to samo przy drugiej kropielnicy. Skinął głową Bobowi jak jeden znajomy obcy drugiemu. Bob odwzajemnił gest i osobnymi drzwiami wyszli na chłód.

Bob poszedł do pracy u kuzyna Marva koło południa. Lubił tę porę dnia, kiedy w barze było cicho. Dzięki temu mógł przemyśleć czekającą na rozstrzygnięcie kwestię szczeniaka.

Ludzie na ogół nazywali Marva kuzynem Marvem. Ciągnęło się to za nim chyba od podstawówki, choć nikt nie pamiętał, skąd wziął się ten nawyk. Tak naprawdę Marv był kuzynem Boba. Ze strony matki.

Kuzyn Marv miał swoją ekipę na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Składała się ona głównie z facetów działających w pożyczkach i późniejszej egzekucji ich spłaty, choć Marv nigdy nie odtrącał żadnej propozycji zarobku, bo wierzył całą duszą, że ci, którzy nie dywersyfikują, jako pierwsi padają ofiarą zmiany wiatru. Jak dinozaury, powiedział Bobowi, gdy pojawili się jaskiniowcy z nowym wynalazkiem – strzałami. Wyobraź sobie tych strzelających jaskiniowców, powiedział, i tyranozaury tonące w kałużach nafty. Tragedia, której tak łatwo było zapobiec.

Ekipa Marva nie należała do najtwardszych, najinteligentniejszych ani najbardziej efektywnie działających w okolicy – w żadnym wypadku – ale przez jakiś czas dawała radę. Jednak inne nadeptywały jej na pięty, a ludzie Marva – z wyjątkiem jednego drastycznego przypadku – nigdy nie mieli skłonności do przemocy. Wkrótce musieli podjąć decyzję, czy ugiąć się przed o wiele bardziej wrednymi grupami, czy je zlikwidować. Wybrali bramkę numer jeden. Obecnie Marv był paserem, jednym z najlepszych w mieście, ale w tym świecie paser to odpowiednik urzędnika pocztowego w normalnym świecie – jeśli po trzydziestce nadal nim jesteś, to wyżej nie zajdziesz. Marv przyjmował także zakłady, ale tylko dla ojca Chovki i reszty Czeczenów, do których tak naprawdę należał ten bar. Fakt, że już od lat nie stanowił własności kuzyna Marva, nie był powszechnie znany, choć też nie trzymano go w tajemnicy.

Bob przyjął to z ulgą – lubił być barmanem i źle wspominał ten jeden wypadek, kiedy musieli sięgnąć po drastyczne środki. Marv natomiast – o, Marv nadal czekał, aż wysadzany brylantami pociąg przyjedzie po niego po torach z osiemnastokaratowego złota i zabierze go daleko stąd. Na ogół udawał, że jest zadowolony, ale Bob wiedział, że nęka go to samo, co jego – te gówniane rzeczy, które zrobili, żeby jakoś sobie radzić. Te rzeczy wybuchają ci w twarz, gdy nie osiągasz celu, do którego dążyłeś; człowiek sukcesu może ukryć swoją przeszłość, ale ten, któremu się nie udało, przez resztę życia walczy, żeby ta

przeszłość go nie pogrążyła.

Tego popołudnia Marv wydawał się odrobinę markotny, więc Bob starał się go rozweselić opowieścią o przygodzie z psem. Marv nie zainteresował się zbyt, ale Bob nie ustawał, rozsypując sól w zaułku. Marv palił, stojąc w tylnych drzwiach.

– Tylko rozsyp wszędzie – pouczył. – Jeszcze tego mi brakuje, żeby te Kreolki pośliznęły się w drodze do śmietnika.

– Jakie Kreolki?

– Te z salonu fryzjerskiego.

– Z salonu paznokci? To Wietnamki.

– Byle się nie pośliznęły.

– Znasz Nadię Dunn? – Marv pokręcił głową. – To ona wzięła psa na przechowanie.

– A ty znowu o tym psie.

– Tresura, wiesz. Wychowywanie psa. To wielka odpowiedzialność – powiedział Bob.

Kuzyn Marv rzucił papierosa na ziemię.

– To nie to samo, co gdyby jakiś od dawna zaginiony, zapóźniony krewny ze stomią zjawił się przed twoimi drzwiami i powiedział: „Teraz jestem twój”. To tylko pies!

– No tak, ale... – zaczął Bob, ale nie znalazł słów, żeby wyrazić to uczucie, które pojawiło się w nim, gdy wyjął szczeniaka z kubła i po raz pierwszy spojrzał mu w oczy. Nigdy dotąd nie miał wrażenia, że gra główną rolę w filmie o swoim życiu, a nie tylko ogląda go z ostatniego rzędu hałaśliwego kina.

Kuzyn Marv poklepał go po ramieniu, pochylił się, ziejąc smrodem papierosów, i powtórzył:

– To. Tylko. Pies.

I wrócił do baru.

Gdzieś koło trzeciej Anwar, jeden z ludzi Chovki, wszedł tylnym wejściem po ostatni nocny odbiór. Ludzie Chovki spóźniali się w całym mieście, bo wczorajszego wieczora policja zrobiła mały nalot na czeczeński klub towarzyski i zatrzymała w areszcie połowę kurierów. Anwar wziął worek, który wręczył mu Marv, i poczęstował się piwem. Wypił je jednym powolnym, długim haustem, świdrując spojrzeniem Marva i Boba. Skończył, beknął, odstawił butelkę na bar i wyszedł bez słowa z torbą z pieniędzmi pod pachą.

– Żadnego szacunku. – Marv wyrzucił butelkę i wytarł mokre kółko na barze. – Zauważyłeś?

Bob wzruszył ramionami. Oczywiście, że zauważył, ale co poradzić?

– A wiesz, ten szczeniak – powiedział, żeby zmienić nastrój. – Ma łapy wielkości swojej głowy. Trzy brązowe, a jedną białą z takimi brzoskwiniowymi plamkami. I...

– Umie gotować? – przerwał mu Marv. – Sprzątać? Człowieku, to tylko zasrany pies.

– Tak, ale ma takie... – Bob opuścił ręce. Nie wiedział, jak to wyjaśnić. – Znasz to uczucie, które czasem masz w wyjątkowo fajny dzień? Jakby, jakby Pats1 wygrali i jakbyś zgarnął kasę z zakładów albo jakby podali ci stek wypieczony dokładnie tak, jak lubisz, albo, albo jakbyś po

prostu dobrze się czuł? No wiesz... – Bob zorientował się, że znowu macha rękami – ...dobrze?

Marv skinął głową z wymuszonym uśmiechem i wrócił do biuletynu wyścigowego.

Bob dzielił czas między zdejmowanie świątecznych ozdób i stanie za barem, ale tłoczno zrobiło się już po piątej i wkrótce nie mógł się wyrwać. Powinien się już pokazać Rardy, drugi barman, ale jakoś się spóźniał.

Bob dwa razy podał drinki facetom koło tarczy ze strzałkami, kładącym kable światłowodowe w hotelach, które rosły w Seaport jak grzyby po deszczu. Wrócił za bar, gdzie Marv opierał się o lodówkę z piwem, czytając „Heralda”. Ale to do Boba klienci mieli pretensje o opóźnienie. Jeden spytał, czy jego budweiser dopiero, kurwa, dowożą dylizansem. Bob odsunął Marva łokciem, sięgnął do lodówki i napomknął, że Rardy się spóźnia. Znowu. Bob, który nigdy się nie spóźniał, podejrzewał tych, którzy to robią, o jakąś wewnętrzną wrogość.

– Nie, Rardy jest – powiedział Marv i wskazał gdzieś głową.

Teraz Bob go zobaczył. Rardy miał trzydziestkę, ale przy wejściu do klubu nadal proszono go o dowód osobisty. Torował sobie drogę w tłumie, gawędząc z gośćmi, ubrany w spłowiałą bluzę z kapturem i podarte dzinsy, w kapelutku na czubku głowy. Wyglądał, jakby za chwilę miał stanąć na scenie i czytać poezje albo wygłaszać komediowe monologi.

Ale Bob znał go od pięciu lat i wiedział, że Rardy nie

ma ani grama wrażliwości i za chińskiego boga nie opowiedziałby dowcipu.

– Siema – powiedział mały, wchodząc za bar. Bez pośpiechu zdjął kurtkę. – Odsiecz nadchodzi. – Klepnął Boba w plecy. – Masz farta, nie?

Dwaj bracia przejechali zimną ulicą koło baru po raz trzeci tego dnia, lawirowali chwilę bocznymi uliczkami i wrócili na główną jezdnię, oddalając się od baru, żeby na jakimś parkingu zrobić parę kresek.

Nazywali się Ed i Brian Fitzgeraldowie. Ed był starszy, otyły i wszyscy mówili mu Fitz. Brian był chudszy od słomki i wszyscy mówili mu Bri. Z wyjątkiem tych okazji, kiedy wspomiano o nich obu, bo wtedy określano ich jako dziesięć – ponieważ tak właśnie wyglądali, kiedy stali obok siebie.

Fitz na tylnym siedzeniu woził maski narciarskie, a w bagażniku broń. Towar trzymał w schowku między siedzeniami. Bri potrzebował towaru. Bez niego nie dotknąłby nawet tej zasranej broni.

Znaleźli ciche miejsce pod drogą szybkiego ruchu. Stąd widzieli oblodzony, zasypany śniegiem Penitentiary Park. Widzieli nawet punkt, w którym kiedyś stał ekran kina samochodowego. Parę lat temu, zanim go rozebrano, znaleziono tam pobitą na śmierć dziewczynę. Prawdopodobnie było to najślawniejsze morderstwo w okolicy. Fitz zrobił kreski na lustrzanej płytce, którą wydlubał z bocznego lusterka samochodu na złomowisku. Wciągnął pierwszą, oddał lusterko i zrolowaną

pięciodolarówkę bratu. Bri wciągnął kreskę, a zaraz potem, nawet nie pytając, drugą.

– No, nie wiem – powiedział. Powtórzył to w tym tygodniu tyle razy, że Fitz nabrał ochoty, żeby go udusić, jeśli dalej tak będzie. – No, nie wiem.

Fitz odebrał mu pięciodolarówkę i lusterko.

– Będzie dobrze.

– Nie. – Bri zaczął się bawić zegarkiem, który stanął rok temu. Pożegnalny prezent od ojca, który uznał, że nie chce być już ojcem. – To w chuj kiepski pomysł. Po prostu kiepski. Powinniśmy wziąć wszystko albo nic.

– Ten facet – powiedział Fitz chyba po raz pięćdziesiąty – chce sprawdzić, czy sobie radzimy. Mówi, że będziemy to robić etapami. Zobaczymy, jak właściciele zareagują na pierwszy raz.

Bri wytrzeszczył na niego oczy.

– Zareagują w kurewsko niedobry sposób, ty zjebie. To gangsterski bar! Dziupla!

Fitz uśmiechnął się, zaciskając zęby.

– No chyba o to chodzi. Gdyby to nie była dziupla, nie byłoby warto ryzykować.

– Nie. W porządku? – Bri kopnął schowek na rękawiczki, strzelając focha jak dziecko. Znowu zaczął manipulować przy zegarku. Odwrócił go, tak że tarcza znalazła się po wewnętrznej stronie przegubu. – Nie, nie i nie.

– Nie? Braciszku, masz Ashley, dzieciaki i ten zaszra-
nałóg. Nie tankowałeś samochodu od Święta

Dziękczynienia, a ten twój zegarek nadal, kurwa, nie chodzi. – Fitz pochylił się ku młodszemu bratu, tak że dotknął czołem jego czoła. – Powiedz no mi jeszcze raz „nie”.

Bri oczywiście nie powiedział. Za to wciągnął kolejną kreskę.

Dużo się działo tej nocy. Poszło wiele budweiserów i zakładów. Bob i Rardy zajmowali się pijącymi, Marv rozdrażnionymi i zawsze nieco zaskoczonymi graczami. Zakłady wrzucał w szczelinę szafki pod kasą. W pewnym momencie zniknął na zapleczu, żeby wszystko podliczyć, i wyszedł, kiedy tłum znacznie się przerzedził.

Bob zgarniał właśnie pianę z dwóch kufli guinnessa, kiedy do lokalu weszli dwaj Czeczeni z włosami na jeża, dwudniowym zarostem i w jedwabnych ocieplaczach pod wełnianymi płaszczami. Nawet nie zwalniając kroku, przejęli żółtą kopertę od Marva, a zanim Bob do końca zgarnął pianę, zamknęły się za nimi drzwi. Wpadli i wypadli. Jakby ich tu nigdy nie było.

Godzinę później lokal się wyludnił. Bob wycierał podłogę, Marv liczył dochód. Rardy wyciągnął śmieci w zaułek za barem. Bob wycisnął mopa w kuble, a kiedy podniósł głowę, w tylnych drzwiach zobaczył faceta celującego w niego z pistoletu.

To, co najbardziej wryło mu się w pamięć – już do końca życia – to cisza. To, że reszta świata spała – w domach i na dworze – i wszędzie panował bezruch. A jednak w drzwiach stał mężczyzna w kominiarce z maską

zasłaniającą twarz i z bronią wycelowaną w Boba i Marva.

Bob upuścił mopa.

Marv, stojący akurat przy lodówce z piwem, podniósł wzrok. Oczy mu się zwięziły. Tuż pod dłonią miał dziewięćmilimetrowego glocka. Bob w tym czasie zanosił modły do Boga, żeby Marwowi nie odbiło i nie zechciał bawić się w rewolwerowca. Ta armata, którą trzymał facet w drzwiach, mogła ich przeciąć na pół, zanim Marv dosięgnąłby baru.

Ale Marv nie był głupi. Bardzo powoli unióśł ręce, jeszcze zanim ten gość kazał im to zrobić. Bob zrobił to samo.

Gość wszedł do baru, a Bob poczuł coś mdlącego w piersi, kiedy w drzwiach pojawił się drugi, mierzący do nich z rewolweru. Ręka tego faceta lekko się trzęsła. Sytuacja wydawała się w miarę znośna, dopóki był tylko jeden gość z bronią, ale przy dwóch atmosfera stała się nabrzmiała jak przepelniony pęcherz. Brakowało tylko szpilki. To może być koniec, uświadomił sobie Bob. Za pięć minut – albo nawet trzydzieści sekund – może się dowiedzieć, czy istnieje życie po śmierci, czy jest tylko ból, kiedy stal przebije jego ciało i rozszarpie organy wewnętrzne. A po nim nicość.

Facet z trzęsącą się ręką był chudy, facet z armatą masywny, właściwie gruby; obaj ciężko sapali przez kominiarki. Chudy położył na barze worek na śmieci, ale to gruby mówił: – Nawet nie próbuj kombinować. Dawaj wszystko.

Marv skinął głową, jakby facet zamówił drinka, i zaczął wkładać do worka gotówkę, którą przed chwilą posegregował i spiął gumkami.

– Nie chcę sprawiać kłopotów – powiedział.

– Ale, kurwa, sprawiasz – warknął gruby.

Marv znieruchomiał i spojrzał na niego.

– Ale czy wiecie, do kogo należy ten bar? Czyje pieniądze zgarniacie?

Chudy podszedł bliżej. Broń telepała się w drżącej dłoni.

– Wkładaj hajs, debilu.

Na prawej ręce miał zegarek z tarczą przekreśloną na wewnętrzną stronę nadgarstka. Bob zauważył, że wskazuje kwadrans po szóstej, choć było po wpół do drugiej w nocy.

– Nie ma sprawy – powiedział Marv, patrząc na rozdygotany rewolwer. – Nie ma sprawy. – I włożył resztę pieniędzy do worka.

Chudy przytulił worek do piersi i cofnął się o krok. Teraz obaj goście z bronią stali po jednej stronie baru, a Bob i Marv po drugiej. Serce Boba szamotało się jak worek z fretkami wyrzucony przez burtę do morza. W tej strasznej chwili Bob poczuł, że czas, istniejący od początku świata, rozdziawia przed nim paszczę. Widział, jak nocne niebo rozciąga się w przestrzeń kosmiczną, a przestrzeń kosmiczna w bezdenną otchłań z gwiazdami rzuconymi na czerń jak brylanty na filc, w zimną nieskończoność. On sam był czymś marniejszym od drobinki kurzu. Był wspomnieniem drobinki kurzu, wspomnieniem czegoś, co

przeminęło niezauważone. Wspomnieniem czegoś niewartego wspomnienia.

Chcę tylko wychować psa, pomyślał z jakiegoś powodu. Chcę go nauczyć sztuczek i jeszcze trochę pożyć.

Chudy schował pistolet i wyszedł. Został ten gruby z armatą.

– Za dużo, kurwa, gadasz – powiedział do Marva. A potem on także zniknął.

Drzwi wychodzące na boczną uliczkę skrzypnęły, kiedy je otworzono i zamknięto. Bob wstrzymywał oddech co najmniej przez pół minuty. Potem on i Marv jednocześnie wypuścili powietrze.

Bob usłyszał jakiś cichy odgłos, jakby jęk. Ale nie wydał go Marv.

– Rardy – powiedział Bob.

– Oż kurde... – Marv wyszedł z za baru i razem pobiegli do małej kuchni na zapleczu, gdzie przechowywali stare beczki.

Rardy leżał na brzuchu na lewo od drzwi. Twarz miał pokrytą zaschniętą krwią.

Bob nie wiedział, co robić. Marv ukląkł i zaczął szarpać Rardy'ego za rękę, jakby pociągał za linkę silnika motorówki. Rardy jęknął kilka razy, a potem się zachłysnął. Był to straszny odgłos, zduszony i złamany, jakby Rardy wdychał tłuczone szkło. Wygiął się i przetoczył na bok, a potem usiadł, skrzywiony, z grymasem odsłaniającym zęby jak pośmiertna maska.

– O mój, kurwa... – powiedział. – ...Kurwa. Boże. –

Wreszcie otworzył oczy i spróbował wyostrzyć wzrok. Trochę to zajęło. – Co jest, kurwa? – spytał, co Bob uznał za postęp w stosunku do poprzedniej wypowiedzi, nasuwającej podejrzenia o wstrząs mózgu.

– Wszystko dobrze? – spytał Bob.

– No właśnie, jak tam? – Marv stanął obok niego. Obaj uginali kolana, żeby spojrzeć Rardy’emu w twarz.

– Będę rzygać. – Bob i Marv cofnęli się o parę kroków. Rardy zrobił parę płytkich wdechów, parę płytkich wydechów, powtórzył proces i oznajmił: – Albo jednak nie.

Bob postąpił parę kroków naprzód. Marv się nie spieszył.

Bob podał Rardy’emu ścierkę kuchenną, którą ten przyłożył do krwawej meduzy, pokrywającej prawą stronę jego twarzy od oczodołu po kącik ust.

– Bardzo źle wyglądam?

– Wyglądasz w porządku – skłamał Bob.

– Właśnie, pierwsza klasa – dodał Marv.

– Nieprawda – powiedział Rardy.

– Nieprawda – zgodzili się Bob i Marv.

1 New England Patriots, zespół futbolu amerykańskiego, pierwotnie znany jako Boston Patriots.

Dziupła

Pierwsze na zgłoszenie odpowiedziały dwie patrolowe, Fenton G. i Bernardo R. Rzuciły jedno spojrzenie na Rardy'ego, po czym R. Bernardo włączyła mikrofon na ramieniu i wezwała ambulans. Przepytały całą trójkę, ale skupiały się głównie na Rardym, bo nikt nie podejrzewał, że długo wytrzyma. Skórę miał w listopadowym odcieniu, ciągle oblizywał wargi i mrugał. Jeśli dotąd nie miał wstrząśnienia mózgu, to teraz mógł je sobie wpisać do CV.

Potem drzwi się otworzyły i wszedł policjant z wydziału śledczego. Jego obojętna, nieprzenikniona twarz zmieniała się, kiedy spojrzał na Boba.

Wskazał na niego i powiedział:

– Siódma rano u Świętego Dominika.

Bob skinął głową.

– No.

– Widujemy się każdego ranka od... zaraz... dwóch lat? Trzech? I nie znamy swoich nazwisk. – Wyciągnął rękę. – Detektyw Evandro Torres.

Bob uścisnął ją.

– Bob Saginowski.

Detektyw Torres uścisnął także rękę Marva.

– Proszę pozwolić, że porozmawiam z moimi dziewczynami... to znaczy funkcjonariuszkami,

przepraszam... a potem wszyscy pójdziemy na miejsce zdarzenia.

Podszedł do Fenton i Bernardo. Porozmawiali ściszonymi głosami, ciągle wskazując palcami.

– Znasz gościa? – spytał Marv.

– Nie – powiedział Bob. – Chodzimy na tę samą mszę.

– Jaki jest?

Bob wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Chodźcie do tego samego kościoła i nie wiesz, jaki jest?

– Znasz wszystkich facetów ze swojej siłowni?

– To co innego.

– Bo?

Marv westchnął.

– Bo tak.

Torres wrócił, cały w uśmiechach, odsłaniających perłowobiałe zęby, i błyskach żartobliwych oczu. Kazał im opowiedzieć własnymi słowami, co zapamiętali. Ich wersje brzmiały identycznie, choć nie zgadzali się co do tego, czy facet z pistoletem nazwał Marva debilem, czy pojebem. Poza tym byli jednomyślni. I choć nie mieli czasu się skonsultować, obaj bez namysłu pominęli tę część, w której Marv spytał grubego, czy wie, do kogo naprawdę należy bar. W East Buckingham na porodówce w szpitalu Świętej Małgorzaty nad drzwiami widnieją słowa: „Morda w kubel”.

Torres notował w reporterskim notesie.

– Czyli kominiarki z maskami, czarne golfy, czarne płaszcze, czarne dżinsy, ten chudy bardziej nerwowy, ale obaj całkiem nieźle znoszący stres. Nie pamiętacie nic więcej?

– To by było tyle – powiedział Marv, prezentując poczciwy uśmiech. Pan Dobra Dusza.

– Ten, który stał bliżej mnie – odezwał się Bob – miał zepsuty zegarek. – Poczł na sobie spojrzenie Marva. Rardy, trzymający przy twarzy okład z lodu, także na niego spojrzał. Bob za chińskiego boga nie potrafił zgadnąć, po jakiego grzyba otworzył ryj. Co więcej, ku swojemu bezradnemu zdumieniu, nawijał dalej: – Nosił go odwrócony tarczą w ten sposób. – Odwrócił nadgarstek wnętrzem do góry.

Torres znieruchomiał z długopisem nad notesem.

– I wskazówki się nie ruszały?

Bob przytaknął.

– Stał na kwadrans po szóstej.

Torres zanotował.

– Ile wzięli?

– Tyle, ile było w kasie – oznajmił Marv.

Torres nie odwracał oczu i uśmiechu od Boba.

– A ile było w kasie?

– Tyle, ile było w kasie, panie władzo.

– Detektywie.

– Detektywie. Dokładnie tyle.

Torres trochę się porozglądał.

– Więc jeśli się rozpytam, nie usłyszę, że ktoś zrobił tu

sobie przechowalnię, no nie wiem – spojrzał na Marva –
zawłaszczzonego mienia?

– Jakiego, kurwa, mienia?

– Zawłaszczzonego – powtórzył Torres. – To eleganckie określenie na „ukradzione”. – Marv udał, że się zastanawia. Potem pokręcił głową. Torres spojrzał na Boba, który także zaprzeczył. – Ani że przechodzą tędy torby trawy? – dodał Torres. – Nie usłyszę nic takiego? – Marv i Bob skorzystali z piątej poprawki, nie wspominając nawet o niej na głos. Torres zakołysał się na piętach, przyglądając się im, jakby odgrywali skecz. – A kiedy prześledzę wydruki z kasy... Rita, zabezpiecz je, dobra?... będą się dokładnie pokrywać z kwotą, która została zabrana?

– Zdecydowanie – oznajmił Marv.

– No chyba – rzucił Bob.

Torres parsknął śmiechem.

– Czyli kurierzy przyszli wcześniej. Macie farta.

W końcu rozdrażnił Marva, który łypnął na niego wilkiem.

– Nie wiem, co pan... ten... insynuuje. Nas tu okradziono.

– Wiem o tym.

– A pan traktuje nas jak podejrzanych.

– Ale nie o okradzenie własnego baru. – Torres wzniosł oczy ku niebu i westchnął. – Marv... Marv, prawda?

Marv skinął głową.

– Tak jest napisane na budynku.

– Dobrze, Marv. – Torres poklepał go po łokciu. Bobowi wydawało się, że policjant z trudem powstrzymuje zadowolony uśmiezek. – Wszyscy przecież wiedzą, że macie tu dziupłę.

– Co? – Marv przyłożył dłoń do ucha i pochylił się do Torresa.

– Dziupłę.

– Ten termin nie jest mi znany – oznajmił Marv, wodząc wokół wzrokiem, jakby szukał widowni, przed którą mógłby grać.

– Nie? – Torres włączył się do gry. Doskonale się bawił. – Powiedzmy, że w tej dzielnicy i kilku innych grasuje element przestępczy.

– Nie gadaj pan.

Torres zrobił wielkie oczy.

– Ale słowo daję! Plotka głosi także – jedni nazywają to miejską legendą, inni pierdolonym faktem, że tak powiem – a więc plotka głosi także, że organizacja przestępcza, syndykat, jeśli wolicie...

Marv parsknął śmiechem.

– Syndykat!

Torres też się uśmieł.

– No nie? No więc syndykat przestępczy, tak, złożony głównie z przybyszy z Europy Wschodniej, a zatem Chorwatów, Rosjan, Czeczenów i Ukraińców...

– A Bułgarów nie?

– Bułgarów też. Zatem ta plotka głosi... jesteście

gotowi?

– Ja tak – odrzekł Marv i teraz on zakołysał się na piętach.

– Plotka głosi, że ten syndykat zajmuje się zakładami, narkotykami i dziwkami w całym mieście. Dosłownie od wschodu do zachodu i od północy po południe. Ale za każdym razem, gdy my, policjanci, staramy się zgarnąć te nielegalne środki, jak je nazywamy, pieniędzy nie ma tam, gdzie się spodziewaliśmy. – Torres uniósł ręce z zaskoczeniem. Marv przedrzeźniał jego gest, dodając minę smutnego klauna. – Więc gdzie są? – podjął Torres.

– Gdzie? – zaciekawiał się Marv.

– Nie w burdelu, nie w melinie narkotykowej, nie u bukmachera. Przepadły.

– Puf.

– Puf – zgodził się Torres. Skinął na Boba i Marva, żeby się zbliżyli, i przemówił głosem tak cichym, że brzmiał prawie jak szept: – Teoretycznie co wieczór ktoś zabiera pieniądze i – zrobił palcami znak cudzysłowu – umieszcza w wybranym barze. Ten bar przechowuje do rana wszystkie dochody z całego tego nielegalnego gówna, które odbywa się w tym mieście. A potem zjawia się jakiś Rosjanin w czarnym skórzanym płaszczu, zlany wodą kolońską, zabiera kasę i leci z nią do syndykatu.

– Znowu ten syndykat – mruknął Marv.

– I tak to jest. – Torres klasnął w dłonie tak głośno, że Rardy na niego spojrział. – Pieniądze znikają.

– Czy mogę o coś spytać? – zagadnął Marv.

– Jasne.

– Dlaczego nie zdobędziecie nakazu rewizji rzeczonoego baru i nie aresztujecie właścicieli za przechowywanie nielegalnych dochodów?

– Aaaa. – Torres uniósł palec wskazujący. – Wyborny pomysł. Myślałeś kiedyś o zostaniu glina?

– Jakoś nie.

– Na pewno? Masz do tego smykałkę.

– Jestem tylko skromnym właścicielem pubu.

Torres roześmiał się cicho i znowu konspiracyjnie pochylił się ku nim.

– Nie możemy przymknąć takiej dziupli, bo nikt, włącznie z dziuplą, do ostatniej chwili nie wie, że to w niej wylądaje forsa.

– Nie!

– Tak! A potem coś takiego może się nie powtórzyć i przez pół roku. Albo powtarza się za dwa dni. W tym cała rzecz, że nie wiadomo.

Marv podrapał się po zarośniętej brodzie.

– Nie wiadomo – powtórzył z pewnym zadziwieniem.

Cała trójka stała przez jakiś czas, nic nie mówiąc.

– No to jak wam coś przyjdzie do głowy – podjął w końcu Torres – przedzwońcie do mnie.

Wręczył im po wizytówce.

– Jaka jest szansa, że złapiecie tych facetów? – Marv powachlował się wizytówką.

– Och – rzucił Torres kordialnie – wąta.

– Przynajmniej jest pan szczery.

– Któryś z nas powinien. – Torres roześmiał się głośno i przenikliwie.

Marv dołączył do niego, ale urwał gwałtownie. Spojrzał lodowato, jakby nadal był twardym sukinsynem.

Torres zerknął na Boba.

– Słaba sprawa ze Świętym Dominikiem, nie?

– O co chodzi? – spytał Bob, zadowolony, że może pomówić o czymś – o czymkolwiek – innym.

– Już po nim, Bob. Zamykają go. – Bob otworzył usta, ale nie zdołał wydobyć z siebie głosu. – Wiem, wiem – mruknął Torres. – Dowiedziałem się dzisiaj. Łączą się ze Świętą Cecylią. Uwierzysz? – Pokręcił głową. – Ci faceci z bronią mówili, jakby już tu byli?

Bob nadal myślał o Świętym Dominiku. Podejrzewał, że Torres lubił sobie pogrywać z ludźmi.

– Mówili jak każdy z tysięcy gości, którzy tu byli.

– A jak mówią tysiące gości?

Bob zastanowił się.

– Jakby mieli katar.

Torres znowu się uśmiechnął, ale tym razem szczerze.

– W tej części miasta to dość powszechne.

Parę minut później Rardy usiadł na noszach przed ambulansem, dwie policjantki odjechały, a jeden z sanitariuszy usiłował wyłuskać wysoką puszkę piwa z ręki Rardy'ego.

– Pan ma wstrząśnienie mózgu – tłumaczył.

Rardy wyrwał mu puszkę.

– Nie od piwa przecież.

Sanitariusz spojrział na kuzyna Marva, który zabrał piwo Rardy'emu.

– To dla twojego dobra.

Rardy uparcie sięgnął po piwo i nazwał Marva wypierdkiem.

Torres i Bob przyglądali się temu minikonfliktowi.

– To jakaś parodia – odezwał się Torres.

– Nic mu nie będzie – powiedział Bob.

Torres spojrział na niego.

– Ja o Świętym Dominiku. Piękny kościół. I msze jak należy. Bez tych grupowych uścisków po *Ojcie nasz*, bez folkowych piosenek. – Spojrział w zaułek z miną ofiary pozbawionej nadziei. – Po tych oskarżeniach Kościoła zostanie nam tylko kilka bloków z witrażami w oknach.

– Ale... – zaczął Bob.

Torres rzucił mu wzniósłe spojrzenie męczennika patrzącego, jak poganie układają stos.

– Ale co?

– No... – Bob rozłożył ręce.

– No co?

– Gdyby Kościół się przyznał...

Torres spał się. Z jego oczu znikła wszelka żartobliwość.

– A więc to tak? Ale „Globe” jakoś nie zamieszcza na pierwszej stronie artykułów o występkach świata muzułmańskiego.

Bob wiedział, że powinien zamknąć gębę, ale coś go opętało.

- Zatuszowali gwałt na dziecku. Na polecenie Rzymu.
- Przeprosili!
- Czy to ma znaczenie? Jeśli nie opublikują nazwisk księży, którzy gwałcili...

Torres wznosił ręce ku niebu.

– To już zrobili kawiarniani katolicy. Ludzie, którzy chcą wyznawać katolicyzm – z wyjątkiem tych trudnych momentów. Dlaczego nie przyjmujesz komunii?

- Co?!
- Od lat widuję cię na mszy. Ani razu nie przyjąłeś komunii.

Bob poczuł się oszołomiony i zaatakowany.

– To moja sprawa.

Torres znowu się uśmiechnął, ale był to uśmiech tchnący takim jadem, że Bob poczułby go nawet z zamkniętymi oczami.

– Tak ci się wydaje, co? – rzucił Torres i odszedł do samochodu.

Bob zbliżył się do ambulansu, zastanawiając się, co tu, do cholery, zaszło. Choć właściwie wiedział – właśnie zrobił sobie wroga z tego gliniarza. Przez całe życie chował się w kryjówce hermetycznej anonimowości i tę kryjówkę właśnie trafił szlag.

Sanitariusze zabrali się do wciągania noszy z Rardym do ambulansu.

- Moira do ciebie przyjdzie? – spytał Bob.
- No, dzwoniłem do niej – powiedział Rardy. Wyszarpnął piwo Marvowi i wypił do dna. – Ale mnie łeb

najebuje jak skurwysyn. Jak skurwysyn.

Wniesiono go do ambulansu. Bob złapał pustą puszkę, którą wyrzucił Rardy, a sanitariusz zamknął tylne drzwi i odjechał.

Marv i Bob zostali w nagłej ciszy.

– Będziesz z tym gliną od razu chodził czy najpierw dasz mu się tylko pomacać? – Bob westchnął, ale Marv ani myślał mu odpuszczać: – Po jakiego grzyba mówiłeś mi o zegarku?

– Nie wiem – powiedział Bob i zaświtało mu, że naprawdę nie wie. Nie miał bladego pojęcia.

– Wiesz co, to lepiej zduś ten instynkt w zarodku, najlepiej do końca życia. – Marv zapalił papierosa i z zimna przestąpił z nogi na nogę. – Rąbnęli nas na plus minus pięć patyków. Ale Anwar i Makkhal odebrali kopertę, więc przynajmniej za to się mnie nie czepią.

– Czyli jest w porządku.

– Zajebali nam masę hajsu – powiedział Marv. – To ich bar, ich pieniądze. Nic nie jest, kurwa, w porządku.

Spojrzeli w zaułek. Obaj zadrżeli z zimna. Po jakimś czasie weszli do środka.

Drugie miasto

W niedzielę rano Nadia przyprowadziła szczeniaka do samochodu, który Bob zostawił na jałowym biegu. Podała mu go przez okno i pomachała.

Bob spojrział na szczeniaka, siedzącego na fotelu, i ogarnął go strach. Co toto je? Kiedy? Tresura. Jak to się robi? Długo to trwa? Miał parę dni na przemyślenie tych spraw – dlaczego dopiero teraz przyszły mu do głowy?

Zahamował i cofnął samochód o parę metrów. Nadia odwróciła się z jedną stopą na pierwszym schodku. Opuścił szybę i wyjrzał przez okno.

– Nie wiem, co robić – powiedział. – Nic nie wiem.

W sklepie zoologicznym Nadia wybrała kilka zabawek do gryzienia i wyjaśniła Bobowi, że potrzebuje ich, jeśli chce nadal mieć kanapę. Buty, dodała, od tej pory buty mają być schowane na wysokiej półce. Kupili witaminy – dla psa! – i worek karmy dla szceniąt, którą poleciła Nadia, dodając, że teraz najważniejsze jest trzymanie się tej samej marki. Zmień mu dietę, a twoje mieszkanie utonie w psiej biegunce.

Kupili klatkę, w której szczeniak miał przebywać, kiedy Bob będzie w pracy. Kupili butelkę na wodę do zamontowania w klatce i podręcznik tresury psów, napisany przez mnichów, którzy na zdjęciu na okładce wyglądali na twardzieli, wcale nie mnichopodobnych, za to

z szerokimi uśmiechami. Kasjer wszystko podliczył. Bob sięgnął po portfel i poczuł, że przez jego ciało przechodzi drżenie, chwilowy zamęt. Gardło zalał mu ukrop. W głowie mu się zakręciło. I dopiero gdy to trzęsienie ziemi ustąpiło, w gardle zrobiło się chłodniej, wir zniknął z głowy, a Bill podał kartę kredytową kasjerowi, dotarło do niego, co to za uczucie go ogarnęło; przez chwilę – może nawet przez szereg chwil, z których żadna nie była na tyle wyrazista, żeby wskazać ją jako przyczynę – był szczęśliwy.

– No to dziękuję – powiedziała Nadia, kiedy Bob odwiózł ją do domu.

– Co? Nie. To ja dziękuję. Naprawdę. No... Dziękuję.

– Ten mały to porządny gość – powiedziała. – Będziesz z niego dumny.

Bob spojrział na szczeniaka, który spał na jej kolanach, cicho pochrapując.

– One tak robią? Ciagle śpią?

– W zasadzie. Potem przez jakieś dwadzieścia minut ganiają po domu jak wariaty. I znowu śpią. I robią kupe. Bob, stary, musisz to zapamiętać – sikają i srają jak opętane. Nie wściekaj się na niego. On nie wie, że źle robi. Poczytaj książki. To potrwa, ale psy wcześniej orientują się, że nie wolno tego robić w domu.

– Kiedy to jest „wcześnie”?

– Dwa miesiące? – Przechyliła głowę. – Może trzy. Bądź cierpliwy.

– Cierpliwy – powtórzył.

– I ty też – powiedziała do szczeniaka, podnosząc go ze swoich kolan. Obudził się, powęszył i kichnął. Nie chciał, żeby odeszła. – Uważajcie na siebie – dodała i wysiadła. Pomachała jeszcze Bobowi, idąc po schodach, po czym zniknęła w domu.

Szczeniak siedział, wpatrując się w okno, jakby oczekiwał na powrót Nadii. Obejrzał się na Boba. Bob poczuł jego samotność. I swoją. Był pewien, że im się nie uda, jemu i tej znajdzie. Był pewien, że świat jest za silny.

– Jak się nazywasz? – spytał. – Jak będziemy cię wołać?

Szczeniak odwrócił głowę, jakby mówił: Niech ta dziewczyna wróci.

Na dzień dobry szczeniak postawił klocka w jadalni. Bob początkowo nawet się nie spodziewał, na co się zanosz. Szczeniak zaczął węszyć, suwając nosem po dywanie, a potem spojrzał na Boba z zażenowaniem. Bob spytał „Co jest?” i w tej samej chwili szczeniak zasrał cały róg dywanu.

Bob przyskoczył, jakby mógł to zatrzymać, wepchnąć to z powrotem, a szczeniak dał nogę do kuchni, po drodze obryzgując kropelkami podłogową deskę.

– Nic, nic. Nic się nie stało – powiedział Bob, choć się stało. Niemal wszystko w tym domu należało do jego matki. Prawie nie zmieniło się od lat pięćdziesiątych, kiedy zostało kupione. A tu nagle gówno. Ekskrementy. W domu jego matki. Na jej dywanie, na jej podłodze. Przez tych parę sekund, które zajęło Bobowi dotarcie do kuchni,

szczeniak zdążył nasikać na linoleum. Bob omal nie pośliznął się w kałuży. Szczeniak siedział wtulony w lodówkę, patrzył na niego, spięty, jakby czekał na cios, jakby starał się nie trząść.

I to sprawiło, że Bob się zatrzymał. Zatrzymał się, choć wiedział, że im dłużej gówno leży na dywanie, tym trudniej będzie je sprać.

Opadł na czworaki. Gwałtownie wróciło do niego to, co poczuł, kiedy wyciągnął szczeniaka z kubła na śmieci, coś, co – jak mu się wydawało – odeszło z Nadią. Więż.

Podejrzewał, że ich spotkanie to nie zwykły przypadek.

– Hej – powiedział cicho, prawie szeptem. – Hej, nic nie szkodzi.

Bardzo, bardzo powoli wyciągnął rękę, a szczeniak mocniej przytulił się do lodówki. Ale Bob przysuwał rękę coraz bliżej i w końcu łagodnie położył dłoń na pyszczku szczeniaka. Zaczął szemrać uspokajająco. Uśmiechnął się. Powtarzał: „To nic, to nic”.

Ostatnio detektyw Evandro Torres pracował w wydziale do spraw kradzieży, ale przedtem był kimś. Przez jeden cudowny rok i trzy miesiące był w wydziale zabójstw. Potem to spieprzył, jak większość dobrych rzeczy, które mu się przydarzały, i został zdegradowany. Pod koniec zmiany gliniarze z wydziału do spraw kradzieży pili u JJ, a ci z zabójstw w Last Drop, ale jeśli chciało się znaleźć kogoś z grupy do walki z przestępczością, zwykle na mocy wieloletniej tradycji pili

oni w swoich samochodach nad Penitentiary Channel.

Właśnie tam Torres znalazł Lisę Romsey i jej partnera Eddiego Dextera. Eddie był chudym, pożółkłym facetem bez przyjaciół ani rodziny, z osobowością mokrej piaskownicy, facetem wiecznie milczącym, o ile nikt nie zwrócił się do niego z bezpośrednim pytaniem. Ale jeśli chodziło o mafię z nowej Anglii, był chodzącą encyklopedią. Natomiast Lisa Romsey była najgorętszą, najbardziej zadziorną Latynoską, jaka kiedykolwiek nosiła przy sobie broń. Po trwającym dwa lata katastrofalnym małżeństwie z prokuratorem generalnym zostało jej nazwisko. Zachowała je, bo w tym mieście nadal otwierało wiele drzwi. Pracowała z Torresem przez parę lat w grupie zadaniowej. Po jej rozwiązaniu wysłano ją do grupy do walki z przestępczością, gdzie zapuściła korzenie, a Torres trafił do zabójstw, gdzie długo nie zabawił.

Evandro zastał ich w cywilnym samochodzie na południowym krańcu parkingu. Pili z papierowych kubków z Dunkin' Donuts, z których nie unosiła się para. Zaparkowali maską w stronę kanału; Evandro zatrzymał samochód tuż obok, zwrócony w przeciwnym kierunku, i opuścił szybę.

Romsey zrobiła to samo dopiero po dłuższym spojrzeniu, pełnym wahania, czy otwierać okno.

– Co dziś pijecie do poduszki? – spytał Torres. – Szkocką czy wódkę?

– Wódkę – powiedziała. – Masz swój kubek?

– A co, urodziłem się wczoraj? – Torres podał jej

ceramiczny kubek z napisem „Najlepszy tata na świecie”.

Romsey wymownie uniosła brew, ale naląła do niego wódki.

Wszyscy się napili. Eddie Dexter gapił się przed siebie z takim nateżeniem, jakby usiłował wypatrzeć słońce na niebie szarym jak więzienny mur.

– To co tam, Evandro? – spytała Romsey.

– Pamiętasz z dawnych czasów Marvinina Stiplera? – Romsey pokręciła głową. – Kuzyna Marva – dodał Torres. – Czeczeni zabrali mu jego pub jakieś, nie wiem, dziewięć, dziesięć lat temu.

Romsey skinęła głową.

– Prawda, prawda. Weszli i powiedzieli, że ma jaja wielkości tic-taców. Przez następną dekadę udowadniał, że mieli rację.

– No właśnie. Zeszłej nocy napadnięto na jego bar. Bar, którego właścicielem jest jedna z firm krzaków papy Umarova.

Romsey i Eddie Dexter wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Co za debil napadłby na taki bar?

– Sam się zastanawiam. Walka z przestępczością ściga Umarova?

Romsey naląła sobie następną kolejkę i pokręciła głową.

– Ledwie przeżyliśmy ostatnie cięcia budżetowe. Nie wychylimy się, żeby ścigać jakiegoś Rosjanina, o którego istnieniu zwykły obywatel prawie nie słyszał.

– Czeczena.
– Co?
– To Czeczeni, nie Rosjanie.
– Pocałuj mnie w dupę. – Torres wskazał serdeczny palec z obrączką. Romsey skrzywiła się niecierpliwie. – Jakbyś się tym przejmował.

– Czyli nikt nie zajmuje się kuzynem Marvem?

Romsey pokręciła głową.

– Jak chcesz, to go sobie weź.

– Dzięki. Miło było cię zobaczyć. Świetnie wyglądasz.

Romsey zatrzepotała rzęsami, pokazała Torresowi środkowy palec i zamknęła okno.

Następnego ranka miasto obudziło się pod dziesięciocentymetrową warstwą śniegu. Zaledwie miesiąc zimy, a już przeszli trzy duże burze śnieżne i kilka zadymek. Jak tak dalej pójdzie, w lutym całkiem ich zasypie.

Bob i kuzyn Marv odśnieżali wejście do baru, choć Marv głównie opierał się na swojej łopacie, tłumacząc się dawną kontuzją kolana, której nie przypominał sobie nikt oprócz niego.

Bob opowiadał mu o swoim dniu z psem, o koszcie wszystkich tych rzeczy, których potrzebuje taki szczeniak, i o kupie w jadalni.

– Wywabiłeś plamę z dywanu? – spytał Marv.

– Prawie. Ale to ciemny dywan.

Marv łypnął na niego.

– Ciemny dywan... To dywan twojej matki! Jak raz

stanąłem na nim butem – nawet nie brudnym – mało mi nie wyrwałeś nogi!

– Już byś tak nie przeżywał – powiedział Bob, zaskakując tym i siebie, i Marva. Bob nie należał do ludzi, którzy odpyskowują, zwłaszcza Marvowi. Ale kiedy już to zrobił, musiał przyznać, że to miłe uczucie.

Marv ochłonął na tyle, by chwycić się za krocze i głośno cmoknąć. Potem przez minutę machał łopatą, ale tylko podrzucał śnieg w powietrze, gdzie porywał go wiatr i jeszcze bardziej paprał sprawę.

Przy krawężniku zatrzymały się dwa czarne cadillaki escalade i biała furgonetka. O tej porze dnia ulica była pusta i Bob nie musiał podnosić głowy, żeby sprawdzić, kto tego śnieżnego poranka przyjechał z wizytą w dwóch świeżo umytych i nawoskowanych SUV-ach.

Chovka Umarov.

Miastem, powiedział kiedyś ojciec Boba, nie rządzi się z ratusza, tylko z piwnicy. Pierwsze Miasto – to, które widzisz – to ubrania, które się wkłada, żeby wyglądać lepiej. Ale Drugie Miasto jest ciałem. Tu się robi zakłady, sprzedaje kobiety, narkotyki, telewizory i wszystko, na co może sobie pozwolić pracujący człowiek. Taki człowiek słyszy o Pierwszym Mieście tylko wtedy, kiedy jest przez nie dymany. Ale Drugie Miasto otacza go każdego dnia jego życia.

Chovka Umarov był księciem Drugiego Miasta. Królem był jego ojciec, papa Pytor Umarov, który dzielił się władzą z dawnymi włoskimi i irlandzkimi

organizacjami, do pewnych zadań wynajmując jako podwykonawców czarnych i Portorykańczyków. Jednak było powszechnie znanym faktem, że jeśli papa Pytor postanowi być niegrzeczny i weźmie jednego lub wszystkich współpracowników pod obcas, nikt nie zdoła go powstrzymać.

Zza kierownicy pierwszego SUV-a wysiadł Anwar. Oczami zimnymi jak gin łypnął na śnieg, jakby to Bob i Marv byli za niego odpowiedzialni.

Chovka wysiadł z tyłu tego samego wozu, wkładając rękawiczki i patrząc pod nogi, żeby nie pośliznąć się na lodzie. Jego włosy i przystrzyżona broda miały ten sam kolor, co rękawiczki. Nie był wysoki ani niski, nie był duży ani mały, ale nawet odwrócony plecami emanował energią, od której Bob poczuł swędzenie na karku. Im bliżej ceszara, lubił mawiać jeden z nauczycieli historii z liceum Boba, tym większy strach.

Chovka zatrzymał się obok nich na oczyszczonej przez Boba części chodnika.

– Komu potrzebny pług śnieżny, kiedy ma się Boba? – rzucił w przestrzeń. A potem dodał: – Może później przyjdiesz do mnie?

– E, jasne – powiedział Bob, bo tylko to ślina przyniosła mu na język.

Biała furgonetka zakołysała się lekko na boki. Bob był pewien, że mu się to nie przywidziało. Bok bliższy krawężnika pochylił się, a kiedy ciężar, który spowodował nachylenie, przemieścił się na środek, furgonetka się

wyprostowała.

Chovka trącił Boba w ramię.

– Żartowałem. Co za gość. – Uśmiechnął się do Anwara, a potem do Boba, ale kiedy spojrzał na Marva, jego małe czarne oczka stały się jeszcze mniejsze i czarniejsze. – A ty co, bezrobotny?

Z furgonetki dobiegło stłumione łupnięcie. To mogło być wszystko. Auto znowu się zakołysało.

– Co? – spytał Marv.

– Co? – Chovka pochylił się, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

– To znaczy, przepraszam.

– Za co przepraszasz?

– Nie zrozumiałem pytania.

– Pytałem, czy jesteś bezrobotny.

– Nie, nie.

– Nie, nie spytałem cię o to?

– Nie, nie jestem bezrobotny.

Chovka wskazał chodnik i łopaty.

– Bob odwała całą robotę. A ty się przyglądasz.

– Nie. – Marv nabrał na łopatę trochę śniegu i rzucił go na stertę po prawej. – Odgarniam.

– Akurat. – Chovka zapalił papierosa. – Chodź tu.

Marv przyłożył rękę do piersi, patrząc na niego pytająco.

– Obaj – uściślił Chovka.

Poszli chodnikiem, a topniejący lód i sól drogowa chrupały im pod podszwami jak tłuczone szkło. Stanęli za

furgonetką i Bob zobaczył, że coś z niej wycieka, być może olej przekładniowy. Ale w dziwnym miejscu jak na olej przekładniowy. Kolor i konsystencja też się nie zgadzały.

Chovka otworzył oboje drzwi.

W furgonetce dwaj Czeczeni, wielcy jak kontenery, siedzieli po obu stronach spoconego, chudego facecika. Chudy facecik był ubrany w strój budowlańca – niebieska koszula w kratę, termiczny podkoszulek i brązowe drelichowe spodnie. Był zakneblowany bawełnianym szalikiem, a prawą, bosą stopę miał przewierconą dwunastocentymetrową metalową śrubą. But leżał tuż obok ze skarpetką wystającą ze środka. Facet miał spuszczoną głowę, ale jeden z Czeczenów chwycił go za włosy i podstawił mu pod nos małą bursztynową fiolkę. Facet odetchnął i poderwał głowę, otworzył oczy i nagle oprzytomniał. Drugi Czeczen kluczem dokręcał wiertło w wiertarce elektrycznej.

– Znacie tego gościa? – spytał Chovka.

Bob pokręcił głową, a Marv odezwał się:

– Nie.

– Ale ja go znam – oznajmił Chovka. – A jak kogoś znam, to go znam. Staram się mu wyjaśnić, że jak przyszedł do mnie robić interesy, musi mieć kręgosłup moralny. Co, Bob? Rozumiesz?

– Kręgosłup moralny – powtórzył Bob. – Jasne.

– Człowiek z kręgosłupem moralnym wie, co wie, i wie, co trzeba zrobić. A człowiek bez kręgosłupa moralnego nie wie, że czegoś nie wie, i nigdy mu się tego

nie wyjaśni. Bo gdyby wiedział to, czego nie wie, to miałby kręgosłup moralny. – Spojrzał na Marva. – Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział Marv. – Zdecydowanie.

Chovka skrzywił się tylko. Przez jakiś czas palił w milczeniu.

W furgonetce budowlaniec zaczął kwilić. Czeczen z lewej plasnął go w potylicę raz i drugi, aż go uciszył.

– Ktoś obrobił mój bar? – Chovka zwrócił się do Boba.

– Tak, proszę pana.

– „Proszę pana” mówi się do mojego ojca. Do mnie mówi się Chovka, tak?

– Chovka. Tak jest.

– Kto obrobił nasz bar?

– Nie wiemy – powiedział kuzyn Marv. – Mieli maski.

– W raporcie policyjnym wspomniano, że jeden nosił zepsuty zegarek? Ty to powiedziałaś psom?

Marv spuścił wzrok na łopatę.

– Odpowiedziałem bez zastanowienia – odezwał się Bob. – Bardzo przepraszam.

Chovka przez chwilę przyglądał się budowlańcowi, paląc. Nikt się nie odzywał.

– Co zrobiłeś, żeby odzyskać pieniądze mojego ojca, Marv? – spytał w końcu.

– Rozpuściliśmy wici w okolicy.

Chovka spojrzał na Anwara.

– Wici są w okolicy. Jak nasze pieniądze. – Facet w furgonetce zafajdał sobie spodnie. Wszyscy to usłyszeli, ale udawali, że nic się nie stało. Chovka zamknął drzwi

furgonetki. Dwa razy stuknął w nie pięścią i samochód ruszył. Odwrócił się do Boba i Marva. – Znajdźcie ten zasrany hajs – powiedział i wszedł do escalade.

Anwar zatrzymał się przy drzwiach, patrząc na Boba. Wskazał mu pominięty zaśnieżony kawałek chodnika. Wsiadł do SUV-a w ślad za szefem i oba samochody oderwały się od krawężnika.

Kiedy dotarły do świateł i skręciły w prawo, kuzyn Marv zasalutował za nimi.

– I wam także szczęśliwego, kurwa, nowego roku, panowie. – Bob przez chwilę odśnieżał w milczeniu. Marv oparł się o łopatę i zapatrzył się na ulicę. – Ten gość z furgonetki – odezwał się. – Nawet nie chcę o nim mówić ani o nim słyszeć. Zgoda? – Bob także nie chciał o nim mówić. Skinął głową. Po chwili Marv dodał: – Jak mamy znaleźć te ich pieniądze? Gdybyśmy wiedzieli, gdzie są, to by znaczyło, że wiemy, kto nas okradł, a to by z kolei znaczyło, że maczaliśmy w tych paluchy, a to by znaczyło, że wystrzelają nas jak kaczki. Więc jak mamy znaleźć te pieniądze? – Bob tylko machał łopatą, bo na takie pytania nie ma odpowiedzi. Marv zapalił camela. – Pojebani Czeczenianie.

Bob przestał odśnieżać.

– Czeczeni.

– Co?

– To Czeczeni. Nie Czeczenianie.

Marv mu nie uwierzył.

– Przecież są z Czeczenii.

Bob wzruszył ramionami.

– Tak, ale ludzi z Irlandii nie nazywasz Irlandianami.

Przez jakiś czas stali oparci na łopatach i gapili się na ulicę. W końcu Marv zaproponował, żeby weszli do środka.

– Jest zimno – powiedział – a to pieprzone kolano mnie dobija.

Kuzyn Marv

Pod koniec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, gdy zacni obywatele Bostonu wybrali na burmistrza Kevina White'a, głos kuzyna Marva został uznany za tak piękny, że wyróżniono go spośród wszystkich trzecioklasistów, by zaśpiewał na inauguracji. Co rano chodził do Świętego Dominika. Ale każdego popołudnia, po obiedzie, jechał autobusem przez całe miasto, żeby ćwiczyć z chórem chłopięcym w kościele Old South w Back Bay. Kościół Old South znajdował się na ulicy Boylston 645 – Marv nie zapomni tego adresu do końca życia – i został wybudowany w tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym roku. Był położony na ukos od kościoła Trójcy Świętej, kolejnej perły architektury, o rzut beretem od głównej filii Bostońskiej Biblioteki Publicznej i hotelu Copley Plaza – czterech budynków tak majestatycznych, że kiedy mały Marv tam wchodził, choćby do piwnicy, czuł się bliżej nieba, bliżej raj, Boga czy aniołów bądź innych duchów, unoszących się na obrzeżach starych malowideł. Marv pamiętał swoje pierwsze podejrzenie, które nawiedziło go w tym chórze – że bycie bliżej Boga ma coś wspólnego z byciem bliżej wiedzy.

A potem wyrzucili go z chóru.

Inny chłopiec, Chad Benson – Marv przechował w

pamięci także nazwisko tego gnojka – oznajmił, że widział, jak Marv kradnie Donaldowi Samuelowi batonik Baby Ruth z tornistra, schowanego w szafce na płaszcz. Powiedział to w obecności całego chóru, kiedy dyrygent i instruktorzy wyszli na przerwę. Dodał, że wszyscy wiedzą, iż Marv jest biedny, ale jak będzie znowu głodny, powinien ich poprosić, a oni dadzą mu jałmużnę. Marv odpowiedział, że Chad Benson łże jak świnia. Chad zaczął wyśmiewać jego jąkanie i rumieniec. Potem nazwał go bidą z nędzą, spytał, czy nosi ubrania z darów i czy cała jego rodzina się w nie ubiera, czy tylko Marv i jego matka. Marv zdzielił Chada Bensaona pięścią w twarz, tak mocno, że aż echo poszło. Kiedy Chad runął na podłogę, Marv usiadł na nim, złapał go za włosy i grzmotnął go jeszcze dwa razy. Trzeci cios spowodował odklejenie się siatkówki w oku Chada. Nie żeby to obrażenie, choć poważne, miało wpływ na ogólny stan rzeczy – Marv był załatwiony w chwili, kiedy po raz pierwszy zamachnął się na gnojka. Chadów Bensonów, o czym dowiedział się tego dnia, nie wolno bić. Nie wolno nawet zarzucać im kłamstwa. W każdym razie nie wolno tego Marvinom Stiplerom.

W trakcie wykopywania Marva z chóru dyrygent Ted Bing zadał ostateczny cios, mówiąc, że na jego doświadczone ucho Marv przejdzie mutację jako dziewięciolatek.

Wtedy Marv miał osiem lat.

Nie pozwolili mu nawet wrócić do domu autobusem z resztą chórzystów. Dali mu kasę na bilet, a on sam wrócił

metrem do East Buckingham. Zaczekał do chwili, gdy wysiadł na swoim przystanku i ruszył do domu, dopiero wtedy zjadł batona Donalda Samuela. Był to najlepszy posiłek, jaki kiedykolwiek wcześniej lub później przyszło mu skonsumować. Nie chodziło tylko o to, że czekolada nieco się rozpuściła, ale o mocny, maślany smak uzalania się nad sobą, który podrażnił jego kubki smakowe i pieścił serce. Poczucie słusznego oburzenia i jednocześnie tragicznego skrzywdzenia było – co Marv przyznawał przed samym sobą bardzo rzadko – lepsze od jakiegokolwiek orgazmu w historii bzykania. Marv bał się szczęścia, bo wiedział, że nie trwa ono długo. Za to zdruzgotane szczęście warto objąć i przytulić, bo zawsze odwzajemnia uścisk.

Głos Marva zaczął się zmieniać w wieku dziewięciu lat, zgodnie z zapowiedzią Teda Skurwiela Binga. Koniec kariery chórzysty. Przez resztę życia Marv unikał centrum miasta, kiedy tylko mógł. Stare budynki, niegdyś jego bogowie, stały się lustrami bez serca. Widział w nich odbicie człowieka, którym się nie stał.

Po wizycie Chovki z wrednym spojrzeniem, wrednym nastawieniem i objazdową izbą tortur Marv odśnieżył resztę chodnika, nie zważając na chore kolano. Bob tylko się gapił; pewnie rozmyślał o tym psie, od którego tak mu padło na mózg, że już nie dawało się z nim pogadać.

Weszli do baru i Bob oczywiście zaczął znowu nawijać o szczeniaku. Marv nie okazywał, jak go to nudzi, bo fajnie było popatrzeć na Boba, który się czymś

przejmuje.

Życiowy niefart Boba nie wynikał wyłącznie z tego, że wychowali go starzy, pospolici rodzice, mający niewiele znajomych i kontaktów. Jego niefart polegał na tym, że ci rodzice nie pozwolili mu dorosnąć, zadusili go desperacką miłością (związaną, jak podejrzewał Marv, z ich bliskim zejściem z tego świata), że Bob nigdy nie nauczył się wszystkich zasad przetrwania w męskim świecie. Bob, co mogło zaskoczyć wiele osób, które znały go obecnie, potrafił stać się przerażający, jeśli wcisnęło się niewłaściwy guzik w tym jego powolnym umyśle, ale miał też w sobie coś innego, coś tak spragnionego pieśczęt, że kompletnie odwracało uwagę od tego, co popychało go do rozpieprzenia w drobny mak człowieka, który za bardzo przyparł go do ściany.

Teraz czeczeńska mafia zaczęła się im przyglądać, bo zdurniał i wygadał się za darmo gliniarzowi. I to nie byle jakiemu gliniarzowi, jak się okazało. Gliniarzowi, który go znał. Z kościoła.

Czeczeńska mafia im się przygląda. Bo Bob się wygłupił.

Tego wieczora Marv wrócił do domu wcześniej. W barze działo się niewiele. Nie musiał tam tkwić, skoro płacił za to Bobowi i to był psi obowiązek Boba. Zatrzymał się w przedpokoju, żeby zdjąć płaszcz, rękawiczki, kapelusz i szalik – przez tę zimę człowiek wkładał na siebie ciuchy, których na Hawajach nawet nie znają.

– To ty?! – zawołała Dottie z kuchni.

– A kto?! – odkrzyknął, choć obiecał sobie, że w nowym roku będzie miłszy dla siostry.

– Może któreś z tych dzieci, które sprzedają subskrypcje na gazety, bo usiłują się wyrwać z tego getta.

Marv rozejrzał się za wolnym haczykiem na kapelusz.

– Czy taki dzieciak najpierw by nie zadzwonił?

– Mogą poderżnąć gardło.

– Kto?

– Te dzieci.

– Z gazetami? Co, wezmą ten, jak to się nazywa, biuletyn i skaleczą cię kartką?

– Wstawiłam twój stek.

Dobiegło go skwierczenie.

– Już idę.

Ściągnął prawy but lewą nogą, ale do lewego musiał się pochylić i rozwiązać sznurówkę. Na końcu była ciemna. Początkowo myślał, że jest przemoczona śniegiem.

Ale nie, to była krew.

Ta sama krew, która wyciekła ze stopy faceta przez dziurę w podłodze furgonetki na ulicę.

I dotarła do buta Marva.

Ci Czeczeni, o matko. Ci zaszrani Czeczeni.

Głupi niech się zastanawia. Mądry działa.

Kiedy wszedł do kuchni, Dottie – w podomce i puchatych kapciach – nie odrywając wzroku od patelni, powiedziała:

– Jesteś zmęczony.

– Nawet nie spojrziałaś.

– Spojrzałam wczoraj. – Uśmiechnęła się ze znużeniem i podniosła na niego wzrok. – Teraz patrzę.

Marv wyjął piwo z lodówki, usiłując pozbyć się wspomnienia stopy tamtego faceta i tego chorego, popieprzonego Czeczena, dokręcającego wiertło kluczem.

– I? – spytał.

– I jesteś zmęczony – powiedziała wesoło.

Po kolacji Dottie wróciła do salonu, żeby nadrobić zaległości w serialach, a Marv wyszedł do siłowni na Dunboy. Wypił za dużo, żeby ćwiczyć na serio, ale zawsze mógł skorzystać z sauny.

O tej porze w saunie było pusto – na sali też prawie żywej duszy – a kiedy Marv wyszedł, poczuł się o niebo lepiej. Niemal jakby miał za sobą trening. Jeśli się głębiej zastanowić, tak było za każdym razem, kiedy szedł do siłowni.

Wziął prysznic, zastanawiając się z pewnym żalem, dlaczego nie przemycił tu ze sobą piwa. Nie ma to jak zimny browarek pod gorącym prysznicem po treningu. Wyszedł i ubrał się, stojąc przy swojej szafce. Ed Fitzgerald stanął przy szafce obok i niemrawo grzebał w zamku.

– Podobno się wkurwili – zagadnął.

Marv włożył spodnie.

– Raczej się nie ucieszyli. Okradziono ich.

– Cholernie przerażający Czeczeni się wkurwili. – Fitz pociągnął nosem, a Marv uznał niemal z całkowitą

pewnością, że to nie katar.

– Nie, nic się nie dzieje. Nic ci się nie stanie. Tylko nie rzucaj się w oczy. I twój brat też. – Spojrzał na Fitzę, sznurując buty. – Co z tym jego zegarkiem?

– Bo co?

– Zauważyłem, że nie chodzi.

Fitz wyraźnie się stropił.

– Nigdy nie chodził. Nasz stary dał mu go na dziesiąte urodziny. Zegarek stanął dosłownie następnego dnia. Stary nie mógł go zwrócić, no bo go ukradł. Powiedział Bri: „Nie marudź – pokazuje dobrą godzinę dwa razy na dobę”. Bri nigdzie się bez niego nie rusza.

Marv zapiął koszulę, pod którą miał siatkowy podkoszulek.

– Lepiej niech kupi nowy.

– Kiedy zrobimy prawdziwą dziuplę? Nie chcę ryzykować życia, kurwa, i wolności za pięć patyków, rozumiesz.

Marv zamknął szafkę i przewiesił płaszcz przez ramię.

– Założmy, że nie jestem porąbańcem, który działa bez planu. Gdy rozbije się samolot, jaką linią lotniczą najbezpieczniej polecieć następnego dnia?

– Tą samą.

Marv uśmiechnął się zbójckim uśmiechem od ucha do ucha.

– No i widzisz.

Fitz wyszedł za nim z szatni.

– Nie rozumiem ani słowa. Jakbyś mówił po

brazylijsku.

- Brazylijczycy mówią po portugalsku.
- Tak? To niech się walą.

Droga Krzyżowa

Kiedy po mszy o siódmej wszyscy wyszli, włącznie z detektywem Torresem, który minął Boba, patrząc na niego z bezgraniczną pogardą, a ojciec Regan wrócił na zakrystię, żeby przebrać się i umyć kielichy (zadanie to niegdyś należało do ministrantów, ale teraz nie można już było znaleźć chętnych na tę godzinę), Bob został w ławce. Właściwie się nie modlił, siedział w objęciach ciszy, której rzadko można zaznać poza kościołem, rozmyślając o wydarzeniach tego barwnego tygodnia. Mógłby wymienić całe lata, w których nic go nie spotykało. Lata, kiedy spoglądał w kalendarz z nadzieją, że jest marzec, a okazywało się, że to dopiero listopad. Ale przez tych siedem minionych dni znalazł psa (na razie bezimiennego), poznał Nadie, został ofiarą napadu z bronią w rękę, przygarnął psa i spotkał gangstera torturującego człowieka na tyle furgonetki. Podniósł wzrok ku sklepienemu sufitowi. Spojrzał na marmurowy ołtarz. Na stacje Drogi Krzyżowej, rozmieszczone symetrycznie między świętymi z witraży. Droga Krzyżowa – każdą jej stację przedstawiała płaskorzeźba opisująca ostatnią podróż Chrystusa w doczesnym świecie, od oskarżenia, przez ukrzyżowanie, po złożenie do grobu. Bob mógłby je narysować z pamięci, gdyby miał rękę do rysunków. To samo można powiedzieć o witrażowych świętych, poczynając naturalnie od

świętego Dominika, patrona kobiet przy nadziei, którego nie należy jednak mylić z innym świętym Dominikiem, patronem fałszywie oskarżonych i założycielem zakonu dominikanów. Większość parafian Świętego Dominika nie miała pojęcia o istnieniu dwóch świętych Dominików, a gdyby ktoś o nich nawet wiedział, nie potrafiłby zgadnąć, pod wezwaniem którego jest ich kościół. A Bob wiedział. Jego ojciec, wieloletni kościelny i najpobożniejszy człowiek, jakiego znał Bob, wiedział to oczywiście i przekazał tę wiedzę swojemu synowi.

Nie powiedziałeś mi, tato, że na świecie istnieją ludzie, którzy biją psy i zostawiają je na śmierć w lodowatych kubłach na śmieci, albo ludzie, którzy przewiercają śrubami stopy innych ludzi.

Nie musiałem ci mówić. Okrucieństwo jest starsze niż Biblia. Dzikość biła w piersi pierwszego roku istnienia człowieka i nie przestała bić aż do dzisiaj. To, co w ludziach najgorsze, jest powszechne. To, co najlepsze, spotyka się znacznie rzadziej.

Bob ruszył wzdłuż stacji. Droga Krzyżowa. Zatrzymał się przy czwartej, kiedy Jezus spotyka matkę, wnosząc krzyż na górę, z koroną cierniową na głowie, z dwoma centurionami, stojącymi za nim z batami, by odpędzić Go od matki, zmusić do wspinania się na górę, gdzie zostanie przybity do tego samego krzyża, który kazali mu dźwigać. Czy będą później żałować za grzechy? Czy da się odpokutować coś takiego?

Może istnieją grzechy zbyt wielkie?

Kościół twierdził, że nie. Utrzymywał, że o ile okaże się szczerą skruchę, Bóg przebaczy. Ale Kościół to narzędzie interpretacji, czasami niedoskonałe. Więc co, jeśli nie ma racji? Co, jeśli niektórych dusz nie da się uratować z czarnej otchłani ich grzechów? Jeśli niebo jest tak cenionym miejscem pobytu, to piekło musi mieścić dwa razy więcej dusz.

Bob nie zdawał sobie sprawy z tego, że spuścił głowę, dopóki jej nie podniósł.

Po lewej od czwartej stacji znajdowała się święta Agata, patronka pielęgniarek i piekarzy – między innymi – a po prawej święty Roch², patron kawalerów, pielgrzymów i...

Bob cofnął się, żeby lepiej przyjrzeć się witrażowi, który mijał tak często, że od dawna stał się niewidzialny. W prawym dolnym rogu okna znajdował się pies, wpatrzony w swojego świętego pana.

Roch, patron kawalerów, pielgrzymów i...

Psów.

– Rocco – powtórzyła Nadia, kiedy jej powiedział. – No... nawet ładnie. Dobre imię.

– Myślisz? Omal nie nazwałem go Cassius.

– Dlaczego?

– Bo myślałem, że to bokser.

– No i?

– Cassius Clay – wyjaśnił.

– Był bokserem?

– No. Zmienił imię na Muhammad Ali.

– A, ten. O tym to słyszałam – powiedziała i Bob nagle przestał się czuć strasznie stary. Ale potem spytała: – Nie nazwali na jego cześć grilla³?

– Nie, to ten drugi.

Bob, Nadia i Rocco szli ścieżką nad rzeką w Penitentiary Park. Nadia czasem przychodziła do nich po pracy i razem wyprowadzali szczeniaka. Bob czuł, że coś jest z nią nie tak – znalazł psa tak blisko jej domu, a ona nie okazała zaskoczenia ani zainteresowania, co nie uszło jego uwadze – ale czy na tej planecie istnieje ktoś, z kim nie jest coś choć trochę nie tak? Przeważnie bardziej niż trochę. Nadia przychodziła pomóc przy psie, a Bob, który nie zaznał w swoim życiu wiele przyjaźni, brał tyle, ile mu dawano.

Nauczyli Rocco siadać, warować, podawać łapę i przewracać się. Bob przeczytał całą książkę napisaną przez mnichów i zastosował się do zawartych w niej instrukcji. Weterynarz odrobaczył szczeniaka i wyleczył go z kaszlu kenelowego, zanim choroba miała szansę się rozwinąć. Zaszczepił go na wściekliznę i parwowirozę, wykluczył wszelkie poważne obrażenia głowy. Tylko rozległe siniaki, powiedział, tylko siniaki. Pies został zarejestrowany. Szybko rósł. Teraz Nadia uczyła ich obu chodzić przy nodze.

– Dobra, Bob, zatrzymaj się gwałtownie i powiedz to.

Bob stanął i pociągnął za smycz, żeby Rocco usiadł przy jego lewej stopie. Rocco prawie stracił równowagę. Obrócił się wokół własnej osi. I na dodatek położył się na

grzbiecie.

– Noga. Nie, Rocco. Noga.

Rocco usiadł. Spojrzał na Boba.

– Dobra – odezwała się Nadia. – Nieźle, nieźle. Teraz przejdź dziesięć kroków i powtórz.

Bob i Rocco ruszyli ścieżką. Bob przystanął.

– Noga.

Rocco usiadł.

– Grzeczny piesek. – Bob dał mu psi przysmak.

Przeszli kolejnych dziesięć kroków i spróbowali znowu. Tym razem Rocco skoczył, dosięgając biodra Boba, wylądował na boku i zaczął się tarzać.

– Noga – powiedział Bob. – Noga.

Przeszli kolejnych dziesięć kroków i tym razem się udało.

Spróbowali znowu. Klęska.

Bob spojrzał na Nadie.

– To musi potrwać, tak?

Nadia przytaknęła.

– Czasem dłużej niż normalnie. Jak na was patrzę... trochę wam to zajmie.

Nieco później Bob spuścił Rocco ze smyczy i szczeniak popędził w zarośla, gdzie zaczął biegać wśród drzew najbliższej ścieżki.

– Nie oddala się od ciebie – zauważyła Nadia. – Widzisz? Ciągle ma cię na oku.

Bob zarumienił się z dumy.

– Śpi na mojej stopie, kiedy oglądam telewizję.

– Tak? – Nadia uśmiechnęła się do niego. – Nadal zdarzają mu się wypadki w domu?

Bob westchnął.

– Oj, tak.

Jakieś sto metrów dalej zatrzymali się przy toaletach i Nadia poszła skorzystać, a Bob znowu wziął Rocco na smycz i dał mu kolejny przysmak.

– Ładny piesek – usłyszał. Odwrócił się i spojrzał na mijającego ich młodego faceta. Rzadkie włosy, chudy, blade oczy, mały srebrny kolczyk w lewym uchu. Bob skinął głową i uśmiechnął się w ramach podziękowania. Facet zatrzymał się na ścieżce, parę metrów od nich, i powtórzył: – Ładny pies.

– Dzięki – powiedział Bob.

– Niczego sobie pies.

Bob spojrzał na faceta, ale ten już się odwrócił i odszedł. Zarzucił kaptur na głowę i wsunął ręce w kieszenie, garbiąc się pod naporem przykrego wiatru.

Nadia wyszła z toalety i dostrzegła zmianę nastroju Boba.

– Co jest?

Bob wskazał brodą ścieżkę.

– Tamten facet ciągle powtarzał, że Rocco jest ładny.

– Bo Rocco jest ładny.

– Tak, ale...

– Ale co?

Bob wzruszył ramionami i odpuścił, choć wiedział, że coś w tym jest. Czuł to – w tkaninie świata właśnie

powstało rozdarcie.

W obecnych czasach Marv musiał za to płacić.

Po półgodzinie z Fantasią Ibanez wyszedł i ruszył do domu. Spotykał się z Fantasią raz na tydzień w pokoiku na zapleczu burdelu, który Betsy Cannon wygospodarowała z willi strażnika na szczycie The Heights. Domy, które tam zbudowano, bez wyjątku pochodziły z epoki wiktoriańskiej i powstały w dziewiętnastym wieku, gdy więzienie było głównym miejscem zatrudnienia w East Buckingham. Więzienie już dawno przestało istnieć; zostały po nim tylko nazwy – Penitentiary Park⁴, Justice Lane⁵, Probation Avenue⁶ – i najstarszy bar w okolicy, The Gallows⁷.

Marv zszedł w dół wzgórza do Flats, z zaskoczeniem przekonując się, że zrobiło się całkiem ciepło, pewnie z pięć stopni na plusie, w dodatku wytrzymało do wieczora. W rynsztokach bulgotały strumienie wody z topniejącego śniegu, z rynien na chodniki bluzgał szary płyn, drewniane domy pokryły się plamami wilgoci, jakby się spociły.

W pobliżu domu Marv zaczął się zastanawiać, w jaki sposób właściwie stał się facetem, który mieszka z siostrą i płaci za seks. Tego popołudnia poszedł odwiedzić starego, Marva Seniora, i wstawił mu parę kłamstw, choć ojciec nawet nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Opowiedział mu, że skorzystał z dobrego momentu na rynku nieruchomości oraz ograniczonej liczby zezwoleń na sprzedaż alkoholu i sprzedał Bar Kuzyna Marva, zarabiając na nim krocie. Wystarczy, żeby przenieść ojca do naprawdę dobrego domu opieki, może tego niemieckiego

w West Roxbury, jeśli da parę łapówek. A teraz już mógł. Niech tylko skończą się te formalności i bank zrobi przelew – „Wiesz, tato, że zwlekają do ostatniej chwili, aż człowiek zaczyna żebrać o własne pieniądze” – a Marv znowu będzie mógł zadbać o swoją rodzinę, tak jak za dawnych dobrych czasów.

Ale stary nie przyjął wtedy od niego pieniędzy. Był pod tym względem strasznie wkurzający. Spytał Marva po polsku (Stipler to zamerykanizowana, i to kiepsko, wersja nazwiska Stepański), dlaczego nie może uczciwie pracować jak jego rodzice i siostra.

Marvin Senior był szewcem, jego żona trzydzieści lat pracowała w pralni, a Dottie odwaliała papierkową robotę w Allstate. Marv prędzej oddałby swojego fiuta na rzecz nauki, niż zgodził się harować za żebracze stawki. Pod koniec takiego życia człowiek budzi się i pyta: Co się, kurwa, stało?

A jednak pomimo tej niezgody kochał swojego starego i miał nadzieję, że z wzajemnością. Obejrzeni razem mnóstwo meczów Soxów i raz na tydzień całkiem nieźle radzili sobie w lidze bowlingu; stary miał sokole oko i potrafił jednym rzutem strącić wszystkie kręgle z wyjątkiem dwóch zewnętrznych. W pewnym momencie dostał wylewu, a rok później zawału, zwieńczonego po trzech miesiącach kolejnym wylewem. Teraz Marvin Stipler Senior siedział w ciemnym pokoju cuchnącym pleśnią – i to taką pleśnią, jaką czuć nie ściany, ale ludzi, kiedy ich czas się zbliża. Mimo to Marv nie tracił nadziei,

że stary nie odszedł daleko i że wróci. I to nie tak zwyczajnie, ale z błyskiem w oku. Na tym świecie zdarzały się większe cuda. Rzecz w tym, żeby nie tracić nadziei. Nie tracić nadziei i zdobyć jakąś kasę, żeby ulokować ojca w miejscu, w którym wierzy się w cuda, a nie uprawia vegetację.

W domu wziął sobie piwo, setkę wódki, popielniczkę i usiadł obok Dottie w saloniku, gdzie ustawili sobie telewizor i rozkładane fotele. Dottie pochłaniała lodowy deser czekoladowy z rodzynekami i piankami. Powiedziała, że to druga salaterka, więc Marv wiedział, że trzecia, ale kimże był, żeby zabraniać jej odrobiny przyjemności? Zapalił papierosa i przez jakiś czas gapił się na reklamę samobieżnych odkurzaczy, śmigających po parkietach jakiejś gospodyni z końskimi zębami – niczym roboty, które w filmach science fiction buntują się przeciwko człowiekowi. Marv podejrzewał, że jak zębata gospodyni otworzy szafę, przyłapie te samobieżne talerze na spiskowaniu. I ją pierwszą zlikwidują, obezwładnią i wyssą do czysta.

Marv często miewał takie myśli. Ciągłe sobie powtarzał, że pewnego dnia będzie musiał usiąść i je spisać.

Kiedy po przerwie reklamowej zaczął się „Idol”, Dottie odwróciła się do Marva i oznajmiła:

- Powinniśmy się zgłosić do tego programu.
- Nie umiesz śpiewać – przypomniał jej.

Machnęła łyżką.

– Nie, do tego drugiego – tego, w którym ludzie jeżdżą po świecie, szukając wskazówek i takich tam.

– „Amazing Race”?

Skinęła głową.

Marv poklepał ją po ramieniu.

– Dottie, jesteś moją siostrą i kocham cię jak nie wiem, ale co ty sobie wyobrażasz? Po twoich lodach i moich fajkach oni nas tam będą gonić z defibrylatorami i tymi zasranymi pistoletami elektrycznymi! I co dziesięć kroków – bzzzt! Bzzt!

Dottie skrobnęła łyżeczką po dnie salaterki.

– Byłoby fajnie. Zobaczylibyśmy różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Inne kraje, inne życie. – Wtedy to do niego dotarło – gdy obrobi dziuplę, będzie musiał wyjechać z kraju. Nie ma zmiłuj. O Jezus. Pożegnać się z Dottie? Nawet się nie pożegna. Po prostu zniknie. O rety, rety, świat wiele wymaga od ambitnych. – Widziałeś się dziś z tatą?

– Wpadłem do niego.

– Chcą pieniędzy.

Marv rozejrzał się po pokoju.

– Kto?

– Dom opieki.

– Dostaną je. – Marv zdusił papierosa, nagle ogarnięty zmęczeniem. – Dostaną.

Dottie postawiła salaterkę na niskim stoliku między fotelami.

– Teraz dzwoni już komornik, nie dom opieki. Wiesz?

Są cięcia w programie ubezpieczeń zdrowotnych, ja przeszedłam na emeryturę... Odeślą go.

– Gdzie?

– Do gorszej placówki.

– Jest jakaś jeszcze gorsza placówka?

Dottie spojrzała na niego niepewnie.

– Może już czas.

Marv zapalił następnego papierosa, choć w gardle wciąż drapało go po ostatnim.

– Mówisz, żeby go zabić. Naszego ojca. Bo sprawia kłopoty.

– Marv, on nie żyje.

– Tak? A te piski, które dochodzą z maszyn? Te wykresy na ekranach? To życie.

– To prąd.

Marv zamknął oczy. Ciemność była ciepła, zapraszająca.

– Dziś położyłem jego rękę na swojej twarzy. – Otworzył oczy i spojrzał na siostrę. – Słyszałem jego krew.

Żadne z nich nie odezwało się aż do drugiej przerwy reklamowej w „Idolu”. Wtedy Dottie odkaszlnęła i otworzyła usta.

– W następnym życiu będę mieszkać w Europie.

Marv spojrzał jej w oczy i skinął głową z wdzięcznością.

Po chwili poklepał ją po nodze.

– Chcesz jeszcze jedną porcję?

Podawała mu salaterkę.

2 Święty Roch w krajach anglojęzycznych znany jest jako Saint Rocco.

3 Chodzi o George'a Foremana, boksera, który miał wpływ na powstanie projektu grilla.

4 Penitentiary Park – park penitencjarny.

5 Justice Lane – ulica sprawiedliwości.

6 Probation Avenue – aleja nadzoru sądowego.

7 Gallows (ang.) – szubienica.

Deeds

Gdy Evandro Torres miał pięć lat, utknął na diabelskim kole w Paragon Park na Nantasket Beach. Rodzice pozwolili mu wsiąść samemu. Po dziś dzień nie pojmował, co im odbiło ani dlaczego ten tak zwany personel wesołego miasteczka pozwolił pięciolatkowi zasiać samotnie na ławeczce, która po chwili znalazła się trzydzieści metrów nad ziemią. Ale w tamtych czasach bezpieczeństwo dziecka dla większości osób nie było priorytetem; jak prosiłeś ojca, żeby cię zapiął w pasach, kiedy grzał autostradą z dużą puszką piwa w garści, to podawał ci swój krawat i mówił, żebyś sobie jakoś radził.

I tak mały Evandro utknął na szczycie diabelskiego koła, pod rozprężonym do białości słońcem, które kasało go w twarz i głowę jak rój pszczoł, a jeśli spojrzał w lewo, widział park i resztę Hull i Weymouth. Widział nawet część Quincy. Natomiast po prawej miał ocean – ocean, ocean, jeszcze trochę oceanu, a potem wyspy Harbor i sylwetki wieżowców Bostonu. I uświadomił sobie, że widzi świat z perspektywy Boga. Ta świadomość przeszła go chłodem do szpiku kości, bo zrozumiał, jak małe i kruche jest wszystko – wszystkie budynki, wszyscy ludzie.

Gdy koło w końcu znowu ruszyło i zjechało w dół, wszyscy myśleli, że płacze, bo się wystraszył. I faktycznie – od tej pory nie był jakimś szczególnym fanem wysokości,

ale nie dlatego płakał. Płakał – w drodze do domu wciąż płakał, aż jego ojciec Hector zagroził, że wyrzuci go z samochodu, nie zwalniając – ponieważ zrozumiał, że życie ma kres. Tak, tak, powiedział jednemu terapeutce, do którego poszedł po drugiej degradacji, wiem – wszyscy uświadamiamy sobie własną śmiertelność. Ale tak naprawdę w to nie wierzymy. W głębi duszy uważamy, że nas to nie dotyczy. Myślimy, że wydarzy się coś, co wprowadzi wyjątek od reguły – jakieś nowe naukowe odkrycie, powtórne przyjście Chrystusa, atak kosmitów, cokolwiek – i będziemy żyć wiecznie. Ale w wieku pięciu lat – kurwa, pięciu! – zrozumiał z krystaliczną jasnością, że on, Evandro Manolo Torres, umrze. Może nie tego dnia. A może i tego.

Ta świadomość zamontowała w jego głowie tykający zegar, a w sercu dzwonek, który odmierzał każdą godzinę, nieubłaganie.

I tak Evandro się modlił. Chodził na msze. Czytał Biblię. I starał się codziennie łączyć ze Zbawicielem i Ojcem Niebieskim.

I pił. Za dużo pił.

I przez jakiś czas również za dużo palił i brał kokainę, okropne nałogi, ale już od ponad pięciu lat widziane wyłącznie w lusterku wstecznym.

I kochał żonę i dzieci, i starał się, żeby codziennie o tym wiedzieli i to czuli.

Ale to nie wystarczało. Ta przepaść – kurewsko ziejąca otchłań, luka, wyrwa, wyszarpana w samym środku

jego jestestwa – nie chciała się zbliżyć.

Bez względu na to, co dostrzegali w nim inni, on sam widział człowieka biegnącego ku linii horyzontu, której nigdy nie dosięgnie. I pewnego dnia w trakcie biegu światło po prostu zgaśnie. I nigdy więcej się nie zapali. Nie na tym świecie.

A wtedy jego zegar zaczynał tykać szybciej, a dzwonek jazgotał głośniejsze, budząc w Evandro Torresie szaleństwo, poczucie bezradności i potrzebę, by coś, cokolwiek, zakotwiczyło go w teraźniejszości.

Tym czymś – był już na tyle stary, by to wiedzieć – było ciało.

I dlatego po raz pierwszy od dwóch lat wylądował w łóżku Lisy Romsey. Rzucili się na siebie, jakby nie minęła nawet chwila, odnaleźli swój rytm, zanim wylądowali na materacu, ich oddechy i skóra pachniały alkoholem, ale były to gorące oddechy, gorąca skóra. A kiedy Evandro doszedł, poczuł to nawet w najdrobniejszej kosteczce swojego ciała. Lisa miała orgazm w tym samym czasie; jęk, który wyrwał się z jej gardła, był tak głośny, że uniósł sufit.

Minęły jakieś cztery sekundy, zanim Evandro się z niej zsunął, i co najmniej pięć, zanim pojawiły się wyrzuty sumienia.

Lisa usiadła i sięgnęła ponad nim po butelkę stojącą na nocnej szafce. Wzięła z gwinta kilka łyków.

Powiedziała: „Jezu”. I „kurde”. I „cholera”.

Podowała butelkę Torresowi.

Pociągnął łyk.

– No co, zdarza się.

– Ale nie powinno, ty draniu.

– Dlaczego to ja jestem draniem?

– Bo jesteś żonaty.

– Niedobrze żonaty.

Odebrała mu butelkę.

– Chcesz powiedzieć „nieszczęśliwie”.

– Nie. Chcę powiedzieć, że przeważnie jesteśmy szczęśliwi, ale ta cała domowo–wierna gra nie wychodzi nam w żaden sposób dobrze. To dla nas jakaś teoria strun. Kurde, jutro muszę spojrzeć mojemu spowiednikowi w oczy i przyznać się, że spaprałem.

– W życiu nie słyszałam o gorszym katoliku od ciebie.

Torres spojrział na nią z zaskoczeniem i roześmiał się cicho.

– Są gorsi.

– Jak to możliwe, ty grzeszniku?

– Nie chodzi o grzeszenie – wyjaśnił. – Chodzi o pogodzenie się z faktem, że urodziłeś się upadły i przez całe życie musisz za to pokutować.

Romsey przewróciła oczami.

– To może wypadniesz z mojego łóżka i się stąd zabierzesz?

Torres westchnął i wygrzebał się spod kołdry. Usiadł na łóżku i włożył spodnie, rozglądając się za koszulą i skarpetkami. Podchwycił w lustrze spojrzenie Romsey i zrozumiał, że pomimo najszczerzych wysiłków jakoś go

polubiła. Dzięki Ci, Jezu, za pomniejsze cuda.

Romsey zapaliła papierosa.

– Kiedy wczoraj odszedłeś, trochę poszperałam w sieci na temat twojej dziupli.

Torres znalazł jedną skarpetkę, ale druga gdzieś się zgubiła.

– Tak?

– Wspomniano o nim dziesięć lat temu w „Nierozwiązanej sprawie”.

Torres przez chwilę przestał szukać skarpetki. Podniósł wzrok na Romsey.

– Serio?

Romsey sięgnęła za siebie; w jej ręce znalazło się coś, czego nie potrafił rozpoznać. Rzuciła tym i koło jego biodra wylądowała skarpetka.

– Pewien chłopak, niejaki Richard Whelan, wyszedł stamtąd pewnego wieczora i nikt więcej go nie widział. Gdybyś rozwiązał sprawę morderstwa sprzed dziesięciu lat... !

– Wróciłbym do zabójstw.

Zmarszczyła brwi.

– Nigdy nie wrócisz do zabójstw.

– Dlaczego?

– Ni-gdy.

– Dlaczego? – spytał znowu. Znał odpowiedź, ale miał nadzieję, że sytuacja jakoś się zmieniła.

Spojrzała na niego ciężko.

– Bo wydziałem dowodzi Scarpone.

– I?

– I przeleciałeś jego żonę, ty debilu. A potem odwiozłeś ją do domu, pijany, na służbie, i przy okazji rozwalileś radiowóz.

Torres zamknął oczy.

– Dobra, nie wrócę do zabójstw.

– Ale gdybyś rozwiązał sprawę tego rodzaju, mógłbyś trafić do walki z przestępczością.

– Tak?

Uśmiechnęła się do niego.

– Tak.

Torres włożył skarpetkę. Bardzo podobała mu się ta myśl.

Byłem zagubiony, powiedział w dniu swojego przeniesienia, ale teraz się odnalazłem.

Marv wyszedł z marketu z dwiema kawami, torbą pieczywa, „Heraldem” pod pachą i dziesięcioma zdrapkami Big Buckaroo w kieszeni.

Dawno temu, w najwznieściejszym, lecz najtrudniejszym momencie swojego życia, Marv wyrzekł się kokainy. Niespodziewanie się wzbogacił i zrobił, co należało – spłacił długi i poszedł na detoks. Ale do tego dnia był zdegenerowaną mendą bez godności i samokontroli. Gdy spłacił ten dług i wyszedł na prostą, odzyskał godność. Zapuścił się przy tym, tak że tylko profesjonalistki zgadzały się iść z nim do łóżka, i pewnie spieprzył więcej przyjaźni, niż ludzie mają włosów na głowie, ale przynajmniej miał swoją godność.

Miał także dziesięć zdrapek, które zamierzał powoli zdrapać, kiedy Dottie będzie oglądała „Wyprawę Robinson”, „Projekt Runway” czy jakie tam jeszcze główniane reality show znajdzie się w dzisiejszym programie.

Zszedł z chodnika; tuż przed nim zwolnił jakiś samochód.

Potem się zatrzymał.

Szyba od strony pasażera zjechała w dół.

Kierowca przechylił się do okna i powiedział: – Hej. – Marv obejrzał najpierw samochód, potem faceta. Samochód to była jetta z dwa tysiące jedenastego lub okolic. Takimi jeździli studenci albo niedawni absolwenci, ale ten gość miał pod czterdziestkę. Było w nim coś wybitnie nijakiego, twarz tak anonimowa, że człowiek nie potrafi opisać jej rysów, nawet kiedy ma ją przed oczami. Marv zauważył jasne odcienie ziemi – jasnobrązowe włosy, jasnobrązowe oczy, beżowe spodnie. – Może mi pan powiedzieć, jak dojechać do szpitala? – spytał facet.

– Musi pan zakręcić, wrócić jakiś kilometr i będzie po lewej.

– Po lewej?

– No.

– Mojej lewej?

– Aha.

– Czyli nie pańskiej.

– Obaj jesteśmy odwrócenii w tym samym kierunku.

– Czyżby?

– Ogólnie biorąc.

– No dobrze. – Facet uśmiechnął się do niego. Mógł to być uśmiech wyrażający wdzięczność albo coś innego, coś zachwianego i niewiadomego. Trudno stwierdzić. Facet, nie odwracając spojrzenia od Marva, zakręcił kierownicą i zrobił idealny zwrot. Marv odprowadził go wzrokiem, starając się nie zwracać uwagi na pot spływający mu po udach w dniu, w którym temperatura wynosiła zero stopni.

Bob włożył płaszcz, gotów na kolejny dzień w barze. Poszedł do kuchni, gdzie Rocco z zapalem przeżuwał kawałek rzemienia. Nalał wody do psiej miski, rozejrzał się, odnalazł wzrokiem żółtą kaczuszkę, z którą Rocco się nie rozstawał, i włożył ją do klatki. Miskę postawił w drugim kącie. Lekko strzelił palcami.

– Chodź, mały. Klatka. – Rocco podreptał do klatki i przytulił się do kaczuszki. Bob pogłaskał go po pysku i zamknął drzwi. – Do zobaczenia wieczorem.

Przeszedł korytarzem do drzwi wyjściowych.

Facet na ganku był chudy. Nie chorobliwie chudy. Twardo chudy. Jakby coś, co w nim płonęło, wypaliło cały tłuszcz. Miał niebieskie oczy, tak blade, że prawie szare. Rzadkie włosy były równie jasne, jak bródka. Bob natychmiast go rozpoznał – to ten sam chłopak, który minął go w parku i powiedział, że Rocco jest ładnym psem.

Po dokładniejszych oględzinach okazało się, że to właściwie nie chłopak. Tak z bliska wyglądał na trzydziestoletniego mężczyznę.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Pan Saginowski?

Bob wyciągnął ku niemu dłoń.

– Tak.

– Bob Saginowski? – Uścisnął dużą dłoń Boba swoją małą rączką. Miał całkiem silny chwyt.

– Aha.

– Eric Deeds. – Puścił jego rękę. – Zdaje się, że masz mojego psa.

Bob poczuł się, jakby ktoś dał mu w twarz workiem z lodem.

– Co?

Eric Deeds założył ręce na piersi.

– Brr. Zimno tu. Nawet psa by... Właściwie gdzie on jest? – Zrobił ruch, jakby chciał wejść. Bob zastąpił mu drogę. Chłopak zmierzył go wzrokiem, nie przestając się uśmiechać. – Na pewno jest u ciebie. Trzymasz go w kuchni? Czy w piwnicy?

– O czym ty mówisz?

– O psie.

– Słuchaj, spodobał ci się mój pies w parku, ale...

– To nie jest twój pies.

– Co? Jest mój.

Eric pokręcił głową jak zakonnice, kiedy przyłapują człowieka na kłamstwie.

– Możemy pogadać przez minutkę? – Uniósł palec wskazujący. – Tylko jedną minutkę.

W kuchni Eric Deeds powiedział:

– No proszę, oto i on. – I dodał: – Mój piesek. – I

jeszcze: – Ale urósł. – I: – Zrobił się wielki. – Bob otworzył klatkę. Serce mu się ścisnęło, kiedy Rocco podszedł do Erica. Nawet wspiął mu się na kolana, gdy Eric nieproszony usiadł za stołem i dwa razy klepnął się po wewnętrznej stronie uda. Bob nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób facet wprosił się do jego domu. Należał do osób, które – jak gliniarze i tirowcy – jak chcą wejść, to wchodzą. – Bob – powiedział Eric Deeds. – Znasz laskę imieniem Nadia Dunn? – Pogłaskał Rocco po brzuszku. Bob poczuł ukłucie zazdrości, kiedy Rocco zaczął przebierać tylną łapą, choć przez jego grzbiet przechodził nieustanny, niemal konwulsyjny dreszcz.

– Nadia Dunn? – powtórzył Bob.

– Raczej nie znasz tyle Nadii, żeby ci się pomyliły, staruszk. – Eric Deeds podrapał Rocco pod pyskiem. Szczeniak miał uszy przyklejone do głowy i ogon między nogami. Wyglądał na zawstydzonego, uciekał wzrokiem.

– Znam ją. – Bob zabrał psa z kolan Erica, przeniósł go na swoje i podrapał go za uszami. – Parę razy pomogła mi przy Rocco.

Kiedy Bob niespodziewanie zabrał szczeniaka Ericowi, ten spojrział na niego, mrużąc oczy, jakby pytał: „Co to, kurwa, ma znaczyć?”. Nadal się uśmiechał, ale nie był to szeroki uśmiech, raczej zupełnie pozbawiony radości. Uniósł brwi, co nadało jego oczom pełnego zaskoczenia wyrazu, jakby nigdy nie spodziewały się znaleźć na jego twarzy. W tej chwili wyglądał na człowieka skłonnego do okrucieństwa, człowieka, który

użalając się nad sobą, resztę świata ma w dupie.

– Rocco? – spytał.

Bob skinął głową. Rocco odkleił uszy od czaszki i polizał go po nadgarstku.

– Tak się nazywa. A ty jak na niego wołałeś?

– „Psie”. Czasem „sukinsynu”.

Bob stracił na jakąś sekundę zdolność artykułowania słów.

– Jest mój – powiedział w końcu.

Eric pokręcił głową.

– Wzięłeś go ode mnie w leasing. – Spojrzał na psa w ramionach Boba. – Termin upłynął.

– Biłeś go.

Eric sięgnął do kieszeni koszuli. Wyjął papierosa i włożył go do ust. Zapalił, zgasił zapałkę i rzucił ją na kuchenny stół Boba.

– Tu nie wolno palić.

Eric zmierzył Boba nieruchomym spojrzeniem i palił dalej.

– Ja go biłem?

– Aha.

– No i co z tego? – Eric strzepnął popiół na podłogę. – Zabieram psa, Bob.

Bob wyprostował się, prezentując całą swoją wysokość. Mocno przytulił Rocco, który zaczął się trochę wiercić i lekko uszczypnął go zębami w wierzch ręki. Jeśli sytuacja do tego dojrzeje, zdecydował Bob, staranuje Erica Deedsa swoim ciałem, mierzącym metr dziewięćdziesiąt

wzrostu i ważącym ponad sto dwadzieścia kilo. Nie teraz, tak zwyczajnie stojąc, ale gdyby Eric wyciągnął rękę po Rocco... O, wtedy...

Eric uśmiechnął się do niego.

– Wszedłeś w tryb bojowy, co? Usiądź. Serio. – Odchylił się na krześle i wydmuchnął dym w sufit. – Spytałem, czy znasz Nadie, bo ja ją znam. Od dzieciństwa mieszkamy na tym samym osiedlu. Śmieszna rzecz z tymi dzielnicami, można nie znać wielu osób, zwłaszcza jeśli nie są w twoim wieku, ale z osiedla znasz wszystkich. – Spojrzał na Boba, który usiadł. – Widziałem cię tamtej nocy. Zrobiło mi się głupio, że mnie tak poniosło, no nie, więc wróciłem sprawdzić, czy zwierzak naprawdę zdechł. I zobaczyłem, jak go wyjmujesz z kubła i niesiesz na ganek Nadii. Zabujałeś się w niej?

– Naprawdę powinieneś już iść – powiedział Bob.

– Nie dziwiłbym się. Może to nie jakaś miss świata, ale i nie kompletny pasztet. A ty też piękny nie jesteś, co nie?

Bob wyjął z kieszeni komórkę i otworzył klapkę.

– Dzwonię na policję.

– Ależ proszę. – Eric skinął głową. – Zarejestrowałeś go i tak dalej? Przepisy wymagają, żeby zarejestrować psa. Co z chipem?

– Co? – spytał Bob.

– Chip identyfikacyjny. Wszczepiają je psom. Jak sierściuch ucieknie i ktoś przyniesie go do weterynarza, to ten skanuje psa, sczytuje kod kreskowy i wysyła

wiadomość właścicielowi. A właściciel ma przy sobie taki świstek, na którym jest numer chipu. O, taki. – Eric wyjął z portfela karteczkę i pokazał ją Bobowi. Widniał na niej kod kreskowy i inne takie. Po chwili schował ją do portfela i powiedział: – Masz mojego psa, Bob.

– Pies jest mój.

Eric spojrzał Bobowi w oczy i pokręcił głową.

Bob przeniósł Rocco przez kuchnię. Otwierając drzwi klatki, czuł na plecach spojrzenie Erica Deedsa. Włożył szczeniaka do klatki. Wyprostował się. Odwrócił się do Erica i powiedział:

– Wychodzimy.

– Serio?

– No.

Eric klepnął się w uda i wstał.

– No to w takim razie wychodzimy.

Przeszli ciemnym korytarzem i znowu stanęli przed drzwiami. Eric zauważył stojak z parasolem. Wyjął go i spojrzał na Boba. Parę razy rozłożył i złożył parasol.

– Biłeś go – powiedział Bob, bo wciąż wydawało mu się to istotnym szczegółem.

– Ale powiem policji, że ty to robiłeś. – Eric nadal rozkładał i składał parasol przy cichym łopocie materiału.

– Czego chcesz? – spytał Bob.

Eric uśmiechnął się do niego nieznacznie, jakby intymnie. Ściśle owinął parasol paskiem. Otworzył drzwi. Wyjrzał na zewnątrz, a potem przeniósł spojrzenie na Boba.

– Teraz jest słonecznie, ale nigdy nie wiadomo.

Wyszedł na chodnik, odetchnął głęboko i ruszył przed siebie pod bezchmurnym niebem, niosąc pod pachą parasol.

Rozdział 8

Reguły i przykazania

Eric Deeds urodził się i wychował (jeśli można to tak ująć) w East Buckingham, ale parę lat – parę trudnych lat – spędził poza domem. Wrócił do niego nieco ponad rok temu. Czas nieobecności w East Buckingham upłynął mu w Karolinie Południowej, dokąd Eric pojechał, żeby popełnić przestępstwo. Ale nie bardzo mu wyszło i w efekcie właściciel lombardu skończył z krwotokiem wewnątrzczaszkowym i upośledzeniem mowy, jeden kumpel Erica skończył martwy, leżąc jak głupi w wiosennym deszczu, a Eric i drugi jego kumpel skończyli w zakładzie penitencjarnym Broad River z wyrokiem trzech lat. Eric nie został stworzony do przetrwania w trudnych warunkach i trzeciego dnia odsiadki wylądował w środku zamieszek w stołówce. Podniósł ręce ze strachu i przypadkiem zablokował cios kosy, której ostrze przebiło jego dłoń, nie docierając do głowy niejakiego Padgetta Webstera. A Padgett był dilerem narkotykowym, który cieszył się szacunkiem w Broad River.

Padgett został obrońcą Erica. Nawet kiedy przygniótł go do materaca i wszedł w jego tyłek fiutem długości i grubości szklarniowego ogórka, powtarzał mu, że jest jego dłużnikiem. Nie zapomni mu tego. Jak Eric wyjdzie, to niech go znajdzie i się przypomni, a dostanie od niego coś na rozkręcenie poodsiadkowego życia.

Padgett wyszedł pół roku przed Erikiem i Eric miał czas, by w samotności zastanowić się nad pewnymi rzeczami. By rozważyć swoje życie, tę krętą jak korkociąg drogę, która doprowadziła go w to miejsce. Jego jedyny kumpel w więzieniu – Vinny Campbell, który przyjechał z nim z Bostonu i wpadł razem z nim – zarobił dodatkowy rok za rozwalenie młotkiem łokcia innego więźnia w warsztacie stolarskim. Zrobił to z polecenia arian, swoich nowych braci, którzy w dowód wdzięczności wciągnęli go w nałóg heroinowy. Vinny prawie się już nie odzywał do Erica, snuł się tylko z tym jeżem na głowie i wielkimi worami pod oczami, które z czasem stały się czarne jak kawa.

W Broad River byli zabawkami z połamanymi kończynami, zerwanymi przewodami, wybebeszoną wyściółką. Takie zabawki nawet naprawione nie są mile widziane w pokoju dziecięcym. Jedyną szansą Erica na przetrwanie w tym świecie było stworzenie własnych tablic z przykazaniami. Przykazaniami tylko dla niego. Zrobił to pewnej nocy w celi – sporządził przemyślaną Listę dziewięciu reguł.

Zapisał je na kartce papieru, którą złożył i wyniósł z zakładu penitencjarnego Broad River – z zagięciami wytartymi i spuchniętymi od ciągłego składania i rozkładania.

Dzień po wyjściu na wolność Eric ukradł samochód. Pojechał nim do supermarketu przy autostradzie, w którym zwinął hawajską koszulę, dwa rozmiary za dużą, oraz parę

rolek taśmy klejącej. Za oszczędzone pieniądze kupił broń od faceta, którego nazwisko podano mu w Broad River. Potem, w upale, który unosił się białymi smużkami z czarnego asfaltu i kapał z drzew, zadzwonił do Padgetta z budki telefonicznej przed motelem w Bremeth i umówił się z nim na spotkanie.

Resztę dnia przesiedział w pokoju, wspominając słowa więziennego terapeuty – że nie jest zły. Jego umysł nie jest zły. Wiedział, że nie; poświęcił wiele czasu na poznawanie jego różowych fałd. Był tylko zagubiony, zraniony i pełen zniekształconych części jak złomowisko samochodowe. Niedoświetlone fotografie, zatłuszczony szklany blat, zlew upchnięty na ukos między dwiema betonowymi ścianami, wagina jego matki, dwa plastikowe krzesła, mroczny bar, upačkane szmaty, orzeszki ziemne w miseczce, wargi kobiety mówiącej: „Naprawdę cię kocham, naprawdę”, biała ogrodowa huštawka z twardego plastiku, piłka do baseballa, znikająca na tle szaroniebieskiego nieba, kratka ściekowa, szczur, dwa batoniki, które ścisła mała, spocona rączka, wysokie ogrodzenie, beżowa bawełniana sukienka zarzucona na oparcie winylowego samochodowego siedzenia, kartka z życzeniami powrotu do zdrowia podpisana przez całą szóstą klasę, drewniany pomost, pod którym chlupocze woda, mokre trampki.

Gdy o północy zjawił się pod tylnymi drzwiami domu Padgetta, Lista spoczywała w jego tylnej kieszeni. Wilgoć sączyła się z drzew w ciemności, miarowo i miękko

rozpluskiwała się na popękanych kamiennych płytach chodnika. Cały ten stan ociekał wilgocią. Według Erica wszystko było tu za mokre. Rozmiękle. Północ, a on czuł na karku krople wilgoci, pot zostawiał ciemne plamy pod pachami.

Chciał się stąd jak najszybciej wynieść. Zostawić za sobą Broad River, baniany, drapiący w gardle zapach tytoniowych pól, fabryk tekstylnych i tych wszystkich czarnych ludzi – wszędzie czarni, ponurzy, przebiegli i poruszający się ze zwodniczą powolnością – i to całe nieustanne „kap, kap, kap” amerykańskiego Południa. Chciał wrócić do brukowanych ulic, jesiennego nocnego ziąbu i przyzwoitych sklepów z kanapkami. Do barów, w których nie puszcza się muzyki country, i na ulice, gdzie co trzeci pojazd nie jest pikapem, a ludzie nie mają tak mocnego akcentu, że nie rozumiesz połowy z tego, co mówią.

Eric przybył tu, żeby odebrać kilogram czarnej smoły – heroiny, którą miał sprzedać na Północy i podzielić się z Padgettem zyskiem sześćdziesiąt do czterdziestu procent. Sześćdziesiąt miał dostać Padgett, czterdzieści Eric, ale i tak wyszedłby na swoje, bo nie musiał wpłacić kaucji za towar. Padgett zamierzał mu go dać, rewanżując się za to, że Eric osłonił go własną ręką.

Padgett otworzył drzwi zabudowanego ganku i do małej chatki wpadło tchnienie wietrzyku, poruszającego koronami drzew. Ganek był oświetlony zieloną żarówką i unosił się w nim zapach mokrego zwierzęcia. Eric

zauważył worek węgla drzewnego, stojący tuż przy drzwiach koło zardzewiałego grilla i tekturowego pudła, pełnego pustych butelek po winie i półlitrowek whisky.

– Co za widok! – zawołał Padgett i klepnął Erica w ramię. Padgett był szczupły i twardy, miał spęczniałe, węzłaste mięśnie. Jego włosy, prawie całkiem posiwiałe, wyglądały jak śnieg na hałdzie węgla. Bił od niego zapach gorąca i pizma. – W dodatku biały widok. Takich dawno tu nie oglądano.

Żeby się tu dostać, Eric musiał przejechać autostradą przez małe miasteczko, skrócić w prawo za torami, minąć trzy stacje benzynowe, jeden bar i supermarket, przemierzyć pięć kilometrów wyboistymi ulicami, poprzecinanymi piaszczystymi drózkami oraz dżunglami gnijących eukaliptusów, rozpościerających się nad opuszczonymi ruderami. Ostatnią białą twarz widział gdzieś w okolicach torów, tysiąc lat temu. Na cztery osiedla krzywych domków i ciemnych spłachetków ziemi przypadała może jedna działająca latarnia. Tubylcy stali na zapadniętych gankach, pijąc whisky i paląc trawę, sterty złomu rdzewiały porośnięte trawą, a hebanowe kobiety z wysokimi kośćmi policzkowymi przechodziły za popękkanymi, odsłoniętymi szybami, niosąc w ramionach niemowlęta. Północ, a wszystko jakby zastygło w czujnym letargu, czekając, aż ktoś przykręci kaloryfer.

– Parno tu u was – powiedział Eric, kiedy weszli do domu.

– No, kurde – zgodził się Padgett. – Nie można

powiedzieć. Jak leci, czarnuchu?

– Dobrze. – Minęli salon, zwiędły i cuchnący z upału. Eric przypomniał sobie, jak Padgett kładł się na nim po zgaszeniu świateł i szeptał mu do ucha: „Mój mały biały czarnuch”, zaciskając palce w jego włosach.

– To Monica – powiedział Padgett, wchodząc do kuchni. Monica siedziała przy stole pod oknem, wypłowiała i węzłasta, z oczami wielkimi i martwymi jak dwa odpływy w umywalce i skórą zbyt napiętą na kościach. Eric wiedział z rozmów w celi, że jest kobietą Padgetta, matką czwórki jego dzieci, które dawno stąd prysnęły, i że na prawo od jej ręki na hakach przyśrubowanych pod blatem wisi strzelba dwunastka z obciętą lufą. Monica pociągnęła łyk słabego wina, skrzywiła się na powitanie i wróciła do przeglądania pisma leżącego koło jej łokcia. Reguła numer jeden, pomyślał Eric. Pamiętaj o regule numer jeden. – Nie zwracaj na nią uwagi – powiedział Padgett, otwierając lodówkę. – Między jedenastą wieczorem i południem następnego dnia jest taka, że bez kija nie podchodź. – Podał Ericowi puszkę milwaukee’s best, wziął sobie drugą z całego zastępu stojącego na górnej półce i zamknął drzwi. – Monica – rzucił – to ten gość, o którym ci opowiadałem, mały czarnuch, który uratował mi życie. Pokaż jej swoją rękę, człowieku.

Eric podsunął jej dłoń pod nos, pokazując skręcony supeł blizn w miejscu, które kosa przebiła na wylot. Monica od niechcienia skinęła głową i Eric opuścił dłoń.

Nadal nie miał w niej czucia, choć wszystko działało jak należy.

Monica znowu wróciła do pisma. Odwróciła stronę.

– Wiem, kto to jest, ty stary idioto. Nie przestajesz gadać o pudle, odkąd z niego wyszedłeś.

Padgett uśmiechnął się promiennie do Erica.

– Od dawna chodzisz po wolności?

– Od wczoraj. – Eric pociągnął długi łyk piwa.

Przez parę minut gadali o Broad River. Eric opowiedział Padgettowi o wszystkich zmianach w układzie sił, na ogół nieistotnych, a także o klawiszu, który podprowadził prochy więźnia no i nieźle się przejechał, bo dostał takiej jazdy, że wydawało mu się, iż jego skóra stała się fioletowa, i zerwał sobie kilka paznokci, drapiąc nimi o mur na spacerunku. Padgett wycisnął z Erica wszystkie plotki; Eric przypomniał sobie, jaka była z niego stara kwoka, kiedy każdego ranka siadywał na siłowni ze starszymi więźniami i wszyscy rechotali i gadali jak w talk-show.

Padgett wyrzucił puste puszki do kosza i wyjął z lodówki dwie kolejne.

– Mówiłem ci, że dzielimy się osiemdziesiąt do dwudziestu, nie?

Eric poczuł, że w kuchni pojawiły się złe wibracje.

– Mówiłeś, że sześćdziesiąt do czterdziestu.

Padgett zrobił wielkie oczy.

– Przecież daję ci towar za darmo. Czarnuchu, może uratowałeś mi życie, ale, kurde...

– Powtarzam tylko, co mi powiedziałeś.

– Coś ci się przesłyszało. Nie, mowy nie ma. Będzie osiemdziesiąt do dwudziestu. I tak wysyłam cię w świat z towarem na piękne oczy. A jak nie wrócisz? Okazałem ci wielkie zaufanie, człowieku. Gigantyczne.

– To fakt – odezwała się Monica, nie odrywając wzroku od pisma.

– No. Osiemdziesiąt do dwudziestu. – Oczy Padgetta zrobiły się małe i nieszczęśliwe. – Jasne?

– Jasne – powiedział Eric. Czuł się mały. I biały. – Jasne, Padgett, świetnie.

Padgett znowu błysnął swoim stuwatowym uśmiechem.

– No. Mógłbym powiedzieć dziewięćdziesiąt do dziesięciu i co byś mi zrobił, czarnuchu, mam rację?

Eric wzruszył ramionami i pociągnął łyk piwa, patrząc na zlew.

– Spytałem, czy mam rację.

Eric spojrzał na starego.

– Masz rację, Padgett.

Padgett skinął głową i trącił swoją puszką puszkę Erica. Upił łyk.

Reguła numer dwa, upomniął się Eric. Nie zapominaj o niej. Ani na sekundę, do końca życia.

Do kuchni wszedł szczupły facet w kolorowym bawełnianym szlafroku i brązowych skarpetkach. Pociągał nosem, a do górnej wargi przyciskał zwinięte w kłęb chusteczki jednorazowe. Pewnie Jeffrey, domyślił się Eric,

młodszy brat Padgetta. Padgett opowiedział mu kiedyś, że – *o ile wie* – Jeffrey zabił pięciu mężczyzn i nie zrobiło to na nim większego wrażenia niż kąpiel. Powiedział, że jeśli Jeffrey ma duszę, to trzeba by jej szukać z psami tropiącymi.

Jeffrey miał mętne oczy kreta, którymi omiótł twarz Erica.

– Jak leci? Dobrze?

– Dobrze – powiedział Eric. – A u ciebie?

– Dobrze. – Jeffrey wytarł nos chusteczką. Pociągnął nim mocno i z siorbnięciem, otworzył szafkę nad zlewem i wyjął butelkę robitussinu. Otworzył ją kciukiem, odchylił głowę i wypił połowę.

– A naprawdę jak się czujesz? – spytała Monica, nadal wpatrzona w pismo. Po raz pierwszy odkąd Eric wszedł do domu, okazała zainteresowanie kimkolwiek i czymkolwiek.

– Niedobrze – powiedział Jeffrey. – Sukinsyn we mnie wlaź i nie chce wyjść.

– Powinieneś zjeść zupe. I przykryć się kocem.

– Jasne. Jasne, masz rację. – Jeffrey zamknął butelkę i odstawił ją na półkę.

– Gadałeś z tym czarnuchem? – spytał Padgett.

– Z którym?

– Z tym, co zawsze stoi przed Pic–N–Pay.

Reguły numer trzy i pięć, powtarzał Eric w duchu jak mantrę. Trzy i pięć.

– Gadałem. – Jeffrey pociągnął mocno nosem i wytarł

go chustką.

– I?

– I co? Czarnuch stoi codziennie w tym samym miejscu. Nigdzie się nie wybiera.

– Nie o niego się martwię, tylko o jego kumpli.

– Kumpli. – Jeffrey pokręcił głową. – Kumple tego gnojka nie stanowią problemu.

– Skąd ten wniosek?

Jeffrey zakaszlał kilka razy pod osłoną ręki; kaszel szczekał mu w piersi jak topór w morzu kołpaków. Jeffrey otarł oczy i spojrzał na Erica w taki sposób, jakby dostrzegł go po raz pierwszy. Nagle zauważył w twarzy Erica coś, co mu się nie spodobało.

– Obmacałeś tego chłopaka? – spytał Padgetta.

Padgett machnął lekceważąco ręką.

– E, tylko spójrz na niego. Nie narobi żadnych problemów.

Jeffrey wycharknął do zlewu kłęb flegmy.

– Dajesz ciała, człowieku. Zaniedbujesz się.

– To samo mówię – odezwała się Monica znużonym monotonnym głosem i przewróciła kolejną stronę.

– Biały chłopcze – powiedział Jeffrey, przechodząc przez kuchnię – muszę cię obszukać, człowieku.

Eric odstawił piwo na krawędź kuchenki i rozłożył ręce.

– Postaram się cię nie zarazić. – Jeffrey wcisnął kłęb chusteczek do kieszeni szlafroka. – Nie chcesz dostać ode mnie tego sukinsyna. – Obmacał pierś Erica, potem talię,

jądra, wewnątrz uda i kostki. – Łeb od niego pęka. Gardło mam zdarte, jakby wpadł do niego kot i pazurami wyczołgiwał się na górę. – Jeffrey poklepał Erica po krzyżu szybko i pewnie i pociągnął nosem. – Dobra, jesteś czysty. – Odwrócił się do Padgetta. – Takie trudne, starcze?

Padgett przewrócił oczami.

Eric podrapał się po karku i zastanowił się, ile osób umarło w tym domu. Tak jak często zdarzało mu się w więzieniu, pomyślał ze zdziwieniem, jak nudne i przyziemne może być to, co w ludziach najgorsze. Światło żarówki nad jego głową wbijało mu się w czaszkę i rozlewało ukropem w mózgu.

– Gdzie gin? – spytał Jeffrey.

Padgett wskazał półkę nad kuchenką.

Jeffrey zdjął butelkę seagram's i wziął szklankę.

– Chyba kazałem trzymać go w zamrażarce. Lubię pić zimne, człowieku.

– Jak już stąd wyjdiesz, kup sobie różaniec. Zmieniłeś się w starą babę, Jeffrey. – Kuchnia lekko się zakołysała, gdy Eric podrapał się po karku, sięgając za kołnierz i między łopatki. Było mu gorąco, w głowie mu łomotało, a w ustach wyschło. Strasznie wyschło. Jakby miał nie wypić już nic aż do śmierci. Jego spojrzenie padło na puszkę piwa, którą odstawił, kiedy Jeffrey postanowił go przeszukać. Zastanowił się, czy po nią sięgnąć, ale uznał, że nie może sobie na to pozwolić. – Codziennie nic, tylko gderasz. Marudzisz jak, cholera, nie wiem co. Ale strasznie.

Padgett opróżnił puszkę, zgniótł ją i otworzył lodówkę, żeby wyjąć następne piwo.

Jeffrey postawił drinka na brzegu zlewu, odwrócił się do Erica i spytał tonem przygnębionego zaskoczenia:

– A ty co, czarnuchu?

Wtedy Eric wyjął dłoń zza kołnierza koszuli. Trzymał w niej małą dwudziestkędwójkę z kawałkiem taśmy klejącej nadal przyklepionej do lufy. Ciało na plecach mrowiło go w miejscu, w którym zerwał taśmę. Strzelił Jeffreyowi tuż pod jabłko Adama. Jeffrey ześliznął się po szafce na podłogę pod zlewem. Następna kula trafiła w ścianę za uchem Moniki, która znalazła się pod stołem, zgięta wpół, z głową między udami. Eric wpakował jej kulkę w czubek czaszki. Przez jakąś sekundę z fascynacją przyglądał się małej dziurce, która pojawiła się w jej głowie, tak czarnej, jak jeszcze żadna dziura w jego życiu, ciemniejszej niż bardzo, bardzo ciemne włosy Moniki. Potem się odwrócił. Następna kula trafiła w Padgetta, wytrąciła puszkę z jego ręki i obróciła go wokół własnej osi, aż uderzył biodrem i bokiem głowy w drzwi lodówki.

Cała kuchnia zapulsowała od echa strzałów.

Broń w ręce Erica drżała, ale nie bardzo, a łomot w jego głowie z wolna cichł.

Siedzący na podłodze Padgett powiedział: – Ty głupi posrańcu. – Głos miał cienki jak dziewczynka. Dziurę na środku jego przepoconego podkoszulka otaczała rozrastająca się plama krwi.

Właśnie zastrzeliłem troje ludzi, pomyślał Eric. Ożeż

w mordę.

Podniósł z podłogi puszkę piwa. Otworzył ją; piwo siknęło na nogę stołu. Włożył puszkę w rękę Padgetta i patrzył, jak piana wypiętrza się i zalewa jego nadgarstek i palce. Twarz Padgetta stała się biała jak jego włosy. Gdzieś z głębi jego piersi dobiegał cichy gwizd. Gdy ciało Moniki spadło z krzesła i runęło na linoleum, Eric na chwilę usiadł na podłodze.

Przesunął dłonią po zaśnieżonej hałdzie, głowie Padgetta. Nawet w tym stanie Padgett wzdrygnął się niemrawo, usiłując się odsunąć. Ale nie miał dokąd uciec i Eric kilka razy przesunął dłonią po jego włosach. Potem odszedł kawałek dalej.

Padgett oparł dłoń o podłogę i spróbował się dźwignąć. Ręka mu się ugięła i klapnęła na podłogę. Ostatkiem sił spróbował namacać na oślep krzesło. W końcu udało mu się położyć dłoń na siedzeniu, a kiedy się podciągnął, język wysunął mu się na brodę. Udało mu się trochę podnieść – z ugiętymi kolanami, dygocząc – a potem krzesło odjechało, a Padgett znowu usiadł, tym razem o wiele ciężiej, i znieruchomiał, płytko oddychając przez stulone usta, ze spuszczonego wzrokiem.

– Dlaczego uznałeś, że jesteś lepszy ode mnie? – spytał Eric. Wargi miał jak z gumy. Stary ciągle łapał te płytkie oddechy, wytrzeszczając oczy, z otwartymi ustami. Usiłował coś powiedzieć, ale wychodziło mu tylko coś w rodzaju „huu, huu, huu”.

Eric odchylił się, żeby wycelować. Padgett spojrzał

prosto w lufę – jak dzikie, przyparte do muru stworzenie. Eric pozwolił mu się napatrzeć.

Padgett mocno zacisnął powieki, czekając na kulę.

Eric go przetrzymał.

I kiedy Padgett otworzył oczy, strzelił mu w twarz.

– Reguła numer siedem. – Wstał. – Ruchy, ruchy.

Poszedł do sypialni w głębi domu i otworzył drzwi szafy. Znajdował się w niej sejf. Miał jakiś metr wysokości i pół metra szerokości, a po wielu nocach z Padgettem w celi Eric wiedział, że nie ma tam nic oprócz książek telefonicznych. Sejf nie był nawet przyśrubowany do podłogi. Eric wyciągnął go, stękając z wysiłku, i przesunął z boku na bok, aż udało mu się wywlec go poza próg i ustawić na lewo od drzwi. Ukazała mu się podłoga, podrapana i porysowana. Podważył deskę, która uniosła się bez problemu. Rzucił ją za siebie i podważył cztery kolejne. Spojrzał na skarb – niezliczone pakiety szczelnie owiniętej czarnej smoły. Wyjął je po kolei i ułożył na łóżku aż do opróżnienia skrytki. Czternaście pakietów. Rozejrzał się za jakąś walizką albo torbą gimnastyczną, ale nie znalazł nic takiego, więc wrócił do kuchni. Musiał przejść nad nogami Padgetta i głową Moniki, żeby otworzyć drzwiczki pod zlewem. Znalazł pudełko worków na śmieci i w tej samej chwili dotarło do niego, że przecież o te same drzwi opierał się przed chwilą Jeffrey. Jeffrey w szlafroku, brązowych skarpetkach i z kulą, kurwa, w gardle.

Zauważył smugi i skrzepy krwi na szufladach po lewej, a także na podłodze i drzwiach prowadzących na

korytarz. Te rozbryzgi były jak grube czerwone ćmy, za którymi podążył. Spodziewał się znaleźć Jeffreya w korytarzu, rzeźącego na brzuchu lub już martwego.

Ale Jeffreya tam nie było. Czerwone ćmy prowadziły na wąskie, zapadnięte schody z wytartym, spłowiałym chodnikiem na środku, i znikwały w ciemnościach piętra. Pod sufitem wisiała goła żarówka. Eric słyszał urywany oddech. Dochodził dokładnie od strony żarówki, z jednego z pokoiów na górze. Usłyszał szurnięcie wysuwanej szuflady. Przełknął nagły dreszcz paniki. Reguła numer siedem, reguła numer siedem. Nie myśl, działaj. Cofnął się szybko na ganek i chwycił worek z węglem drzewnym, który tam zauważył. Wystarczy zapałka. Nie trzeba płynu. Ach, te współczesne ułatwienia.

Wrócił na korytarz i zmusił się do spokojnego działania. Zajrzał na schody, nasłuchując charczącego oddechu dobiegającego z przestrzelnego gardła. Kiedy upewnił się, że Jeffrey nie czeka na niego na ciemnych schodach ani na podeście na górze, położył worek węgla na najniższym stopniu.

Rozpalenie ognia zajęło mu około trzydziestu sekund. Przy okazji osmalił sobie kciuk, którym obracał kółeczko zapalniczki. I raptem buchnęły płomienie. Przez lata w ten chodnik musiały wsiąknąć hektolitry rozlanego alkoholu, bo jego brzegi zajęły się ogniem jak światła na pasie startowym. Tlenek węgla uderzył do głowy Ericowi, który odstąpił od ognia. Dym był czarny i przesycony naftowym odorem. Eric chciał obejść ogień; tuż przed nim w

podłodze zaryła kula. Kolejna świsnęła mu koło głowy i trafiła w drzwi ganku.

Eric wycelował w ogień i strzelił w mrok. Płomień natychmiast odpowiedział serią strzałów. Pociski uderzyły w ściany, obryzgując go odłamkami tynku.

Przykucnął pod ścianą. Ogniste języki polizwały go w ucho i raptem okazało się, że jego ramię płonie. Zdusił ogień, ale teraz ściana za nim stanęła w płomieniach. Ściana, sypialnia za nią, schody. Kurwa. W tej sypialni była heroina. Czekwała na łóżku!

Korytarz zmienił się w ogniste piekło. Czarne kłęby tłustego dymu paliły mu oczy i płuca. Strzelił do Jeffreya, który przeskoczył balustradę schodów i spadł w płomienie, z bezużyteczną dziewiątką w ręce. Gdy wylądował na podłodze, Eric strzelił do niego jeszcze raz. Jeffrey zawrócił w ogień, w palącym się szlafroku, nadal ściskając ręką rozszarpane gardło.

Eric usiłował ominąć ogień – nadaremnie. Był wszędzie. A tam, gdzie go nie było, zalegał czarny dym.

Głupi, pomyślał. Ericu, jesteś głupi. Głupi, głupi, głupi. Ale nie tak głupi jak trójka martwych gównojadów, których zostawiłeś za sobą.

Opuścił dom i odszedł ścieżką ze spękanych kamieni, wśród plusków wody kapiącej z drzew. Wsiadł do samochodu i odjechał piaszczystą drogą. Skreślił w inną drogę o spękanej i roztartej na okruchy asfaltowej nawierzchni i zastanowił się, jak, do kurwy nędzy, można żyć w takich gównianych warunkach. Weźcie się do

roboty, nieroby, pomyślał. Odstawcie crack. Zaczniście się szanować, bo nie będziecie lepsi od myszokoczków. Małych, piszczących myszokoczków w obesranej ciasnej klatce.

Nawet gdyby jego plan się powiódł, nawet gdyby wyszedł z tego domu z kilkoma kilogramami czarnej smoły, nie miał gwarancji, że zdołałby ją sprzedać. Niby komu? Nie znał w Bostonie nikogo, kto mógłby upłynnić taką ilość towaru, a nawet gdyby go z kimś takim skontaktowano, ten ktoś pewnie by go orznął. Albo i zabił, żeby Eric go nie wsypał. Więc może i dobrze, że tak się stało, ale teraz wracał do domu bez towaru i szansy na zarobienie kasy. Nie żeby nie mógł jej zarobić, jeśli będzie miał oczy i uszy otwarte. Stare śmierdzące East Buckingham miało jedną zaletę – było w nim cholernie dużo brudnej forsy, napływającej i odpływającej każdego dnia, o wiele więcej niż legalnych dochodów. Inteligentnemu człowiekowi wystarczyło tylko cierpliwie poczekać.

Wyjął Listę, rozłożył ją jedną ręką i położył na udzie, żeby mógł czytać ją podczas jazdy. W samochodzie było ciemno, ale znał ją na pamięć, po prostu lubił czuć ją na nodze. Słowa, starannie wypisane jego ręką, głosiły: 1. Nigdy nie ufaj więźniowi.

2. Nikt cię nie kocha.

3. Strzelaj pierwszy.

4. Myj zęby trzy razy dziennie.

5. Oni zrobiliby ci to samo.

6. Nie rób za darmo.
7. Pracuj szybko.
8. Zawsze wydawaj się normalny.
9. Kup sobie psa.

Skrecił w lewo przy torach i zobaczył przed sobą światła supermarketu. Pomyślał, że droga w tamtą stronę wydawała się dwa razy dłuższa od drogi powrotnej i że to dziwne, ale tak jest zawsze, a potem pomyślał jeszcze: Nadia.

Ciekawe, co teraz porabia.

Rozdział 9

Niezmiennosc

Rardy nie pokazywał się od napadu. Wypisano go ze szpitala następnego dnia, tyle im powiedziano, ale od tej pory zniknął jak kamfora. Pewnego ranka rozmawiali o tym w pustym barze, wśród krzeseł leżących jeszcze na stolikach.

– To do niego niepodobne – stwierdził kuzyn Marv.

Bob rozpostarł gazetę na barze przed sobą. Klamka zapadła – archidiecezja podała do publicznej wiadomości, że kościół pod wezwaniem Świętego Dominika w East Buckingham zostanie zamknięty. Kardynał określił datę zamknięcia jako „bliską”.

– Już mu się zdarzało nie przychodzić – zauważył.

– Nie kilka dni z rzędu – odparł kuzyn Marv. – I zawsze uprzedzał. – W gazecie były dwa zdjęcia Świętego Dominika, jedno niedawne, drugie sprzed stu lat. Niebo się nie zmieniło. Ale ci, którzy oglądali niebo z tego pierwszego zdjęcia, już nie żyli. I może cieszyli się, że nie muszą oglądać świata, który tak się zmienił. Kiedy Bob był dzieckiem, parafia była całym krajem. Zawierała w sobie wszystko, czego się potrzebowało i co powinno się wiedzieć. Teraz, gdy archidiecezja zamknęła połowę parafii, żeby zapłacić za zbrodnie księży pedofilów, Bob nie mógł dłużej nie dostrzegać, że czasy dominacji parafii, teraz upadających, dobiegły końca. Był pewnym rodzajem

faceta z pewnego półpokolenia, prawie pokolenia, i choć zostało ich jeszcze wielu, byli starsi, bardziej siwi, mieli kaszel palacza, chodzili do lekarzy i ciągle do nich wracali. – No, nie wiem – powiedział Marv. – Ta sprawa z Rardym mnie gryzie, powiadam ci. No bo wiesz, jestem prześladowany...

– Nikt cię nie prześladowuje.

– A co powiesz o tym facecie w samochodzie?

– Pytał cię o drogę.

– Rzecz w tym, jak pytał, z jakim spojrzeniem. A gość z parasolem?

– Chodziło o psa.

– O psa. Skąd wiesz?

Bob spojrział w mroczny kąt baru i zobaczył otaczającą go śmierć – pewnie efekt uboczny napadu i tego biedaka w furgonetce, którego widok wciąż miał przed oczami. Cienie stały się szpitalnymi łózkami, zgarbionymi starcami, czekającymi na kartki z pozdrowieniami, pustymi fotelami na kółkach.

– Rardy źle się czuje i tyle – powiedział w końcu. – Przyjdzie.

Ale parę godzin później, gdy Marv stał za barem, obsługując hardcore'owych zawodników pijących już za dnia, Bob wyskoczył do mieszkania Rardy'ego, wciśniętego między dwa inne w sfatygowanym dwupiętrowym domu na Perceval.

Bob usiadł w salonie z Moirą, żoną Rardy'ego. Kiedyś była z niej ładna dziewczyna, ale życie z Rardym i

dzieckiem z jakimś upośledzeniem wyszało z niej urodę jak słodycz napoju przez słomkę.

– Nie widziałam go od dawna.

– Od dawna?

Skinęła głową.

– Dużo pije, tylko się nie przyznaje. – Bob pochylił się ku niej, zaskoczony. – No wiem, wiem – powiedziała. – Dobrze to ukrywa, ale tankuje od rana.

– Widziałem, jak czasem pije jednego drinka.

– Te minibutelecзки, wiesz. Nosi je w kurtce. No więc nie wiem, może jest z braćmi albo jakimiś dawnymi kumplami z Tuttle Park.

– Kiedy ostatnio? – spytał Bob.

– Kiedy go widziałam? Parę dni temu. Ale gnojek już wcześniej mi tak znikął.

– Dzwonisz do niego?

Moira westchnęła.

– Nie odbiera.

Dziecko, wciąż w piżamie, choć była trzecia po południu, stanęło w progu. Patrick Dugan, dziewięcio- lub dziesięcioletni, Bob nie potrafił sobie przypomnieć, spojrzał na niego jak na obcego, choć widywał go setki razy, a potem popatrzył na Moirę, cały rozedrgany, nerwowo rzucający chudymi ramionkami.

– Powiedziałaś – zwrócił się do matki. – Potrzebuję pomocy.

– Dobrze. Pozwól, że najpierw skończę rozmawiać z Bobem.

– Powiedziałaś, powiedziałaś, powiedziałaś.
Potrzebuję pomocy. Potrzebuję.

– Zrozum, kochanie. – Moira przymknęła na chwilę oczy. – Powiedziałam, że zaraz przyjdę, i przyjdę. Tylko zrób tak, jak mówiliśmy. Popracuj sam przez parę minut.

– Ale powiedziałaś. – Patrick przeskoczył z nogi na nogę. – Powiedziałaś.

– Patrick. – W głosie Moiry zabrzmiała nutka ostrzeżenia.

Patrick zawył. Jego twarz wykrzywił brzydki grymas furii i strachu. To wycie było jakimś pierwotnym odgłosem, niczym odgłos z zoo, zew do niewiele mogących bogów. Twarz chłopca nabrała czerwieni oparzenia słonecznego, ścięła na szyi nabrzmiały. Wycie przeciągało się, trwało bez końca. Bob spuścił wzrok, potem wyjrzał przez okno, starając się zachowywać naturalnie. Moira wyglądała, jakby miała dość. W końcu bachor zamknął buzię i pobiegł do siebie.

Moira rozpakowała listek gumy do żucia i włożyła go do ust. Podała paczkę Bobowi, który podziękował i poczęstował się. Przez chwilę siedzieli w milczeniu i żuli.

Moira wskazała kciukiem miejsce, w którym przed chwilą stał jej syn.

– Rardy powiedziałby ci, że to dlatego pije. Podobno Patrick ma ADHD albo ADD, albo kognitywną dyscośćamcośćam, albo wszystko naraz. Moja matka twierdzi, że to po prostu głupi gnój. A ja nie wiem. To moje dziecko.

- Jasne – powiedział Bob.
- Wszystko z tobą dobrze?
- Ze mną? – Bob wyprostował się lekko. – Tak, a co?
- Wyglądasz inaczej.
- Jak?

Moira wzruszyła ramionami i wstała.

– Nie wiem. Jakbyś urósł czy coś. Jak zobaczysz Rardy’ego, powiedz mu, że potrzebujemy płynu do czyszczenia i proszku do prania.

Poszła do syna. Bob wyszedł.

Nadia i Bob siedzieli na huśtawkach na pustym placu zabaw w Penitentiary Park. Rocco leżał w piasku u ich stóp z piłką tenisową w pysku. Bob zerknął na bliznę na szyi Nadii, a ona to zauważyła.

– Nigdy o to nie pytasz. Jesteś jedyną osobą, która nie spytała o to po pięciu minutach znajomości.

– Nie moja sprawa – powiedział.

– Skąd jesteś?

Bob rozejrzał się.

– Stąd.

– Nie, z jakiej planety?

Bob uśmiechnął się i pokręcił głową. W końcu zrozumiał, o co chodzi ludziom, kiedy mówią „oblać się rumieńcem szczęścia”. Tak się przy niej czuł – kiedy tylko o niej myślał albo teraz, gdy siedzieli na tyle blisko, żeby się dotknąć (choć nigdy tego nie robili) – rumienił się ze szczęścia.

– Kiedyś, gdy ludzie musieli zatelefonować na ulicy,

szli do budki i zamykali drzwi. Albo mówili najciszej jak można. A teraz? Bez żenady relacjonują na żywo, jak wypróżniają się w publicznej toalecie. Ja tego nie rozumiem. – Nadia parsknęła śmiechem. – No co?

– Nic. Nie. – Podniosła rękę w przeproszającym geście. – Po prostu nigdy nie widziałam, żebyś się czymś tak przejął. Chyba nie nadażam. Co ma budka telefoniczna do mojej blizny?

– Nikt nie szanuje już prywatności – wyjaśnił Bob. – Wszyscy chcą wiedzieć o wszystkim, kurwa mać. Przepraszam. Wybacz. Nie powinienem był tego mówić. Jesteś damą.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Mów dalej.

Nawet nie poczuł, że uniósł rękę do ucha. Zorientował się i opuścił ją.

– Każdy chce ci coś powiedzieć – cokolwiek, byle co – o sobie i gadają, że gęba im się nie zamyka. Ale kiedy przychodzi czas pokazać, kim są? Wtedy rura im mięknie. Wtedy ogarnia ich cykor. I usiłują to zagadać, zatuszować wyjaśnianiem tego, czego nie da się wyjaśnić. A potem gadają o kimś innym. Czy to ma sens?

Jej szeroki uśmiech zmienił się w grymas pełen zaciekawienia i jednocześnie nieprzenikniony.

– Chyba nie.

Przyłapał się na oblizywaniu górnej wargi – stary nerwowy nawyk. Chciał jej to wytłumaczyć. Chciał, żeby zrozumiała. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czegoś tak

pragnął.

– Ta twoja blizna – powiedział – jest twoja. Opowiesz mi o niej, kiedy mi opowiesz. Albo nie. Obojętne.

Przez jakiś czas patrzył na kanał. Nadia pogłaskała go po rękę i także spojrzała na kanał. I tak sobie siedzieli.

Przed pracą Bob wpadł do Świętego Dominika i usiadł w pustej ławce w pustym kościele, chłonąc ciszę.

Ojciec Regan wszedł przed ołtarz z zakrystii, ubrany w zwykły strój, choć spodnie miał czarne. Przez chwilę patrzył na siedzącego Boba.

– Czy to prawda? – spytał Bob.

Ojciec Regan ruszył między ławkami. Usiadł w rzędzie przed Bobem. Odwrócił się i położył rękę na oparciu.

– Diecezja uważa, że lepiej spełnimy nasze pasterskie powinności, jeśli połączymy się ze Świętą Cecylią.

– Ale chcą sprzedać ten kościół – powiedział Bob i wskazał na swoją ławkę.

– Ten budynek i szkoła zostaną sprzedane.

Bob spojrział na wysokie sklepienie. Patrzył na nie, odkąd skończył trzy lata. Nie znał sufitu innego kościoła. Tak miało być do dnia jego śmierci. Tak było w przypadku jego ojca i ojca jego ojca. Niektóre rzeczy – te nieliczne, wybrane – mają pozostać niezmiennie.

– A ty, ojcze?

– Jeszcze nie dostałem przydziału – powiedział ojciec Regan.

– Chronią pedofilów i tych gnojków, którzy ich kryli,

ale jeszcze nie wiedzą, co z tobą zrobić? Zaszranie geniusze – prychnął Bob.

Ojciec Regan spojrział na niego takim wzrokiem, jakby po raz pierwszy widział takiego Boba. I może rzeczywiście tak było.

– Wszystko dobrze? – spytał.

– Jasne. – Bob popatrzył na transept. Nie po raz pierwszy zastanowił się, w jaki sposób w 1878 – czy nawet w 1078 – zebrano pieniądze na budowę czegoś takiego.

– Jasne, jasne, jasne – powtórzył ojciec Regan. – Rozumiem, że zaprzyjaźniłeś się z Nadią Dunn. – Bob spojrział na niego. – W przeszłości miała kłopoty. – Ojciec Regan lekko klepnął ławkę. Klepnięcie zmieniło się w roztargnioną pieśczętę. – Niektórzy mogliby powiedzieć, że nadal je ma.

Milczący kościół wznosił się nad nimi, tętniący jak trzecie serce.

– Masz przyjaciół? – spytał Bob.

Ojciec Regan uniósł brwi.

– Pewnie.

– Ale nie innych księży. Mam na myśli kumpli. Ludzi, którzy, no nie wiem, są w pobliżu.

Ojciec Regan skinął głową.

– Tak, Bob. Mam.

– A ja nie. To znaczy nie miałem. – Bob znowu rozejrzał się po kościele. Uśmiechnął się do ojca Regana. – Z Bogiem – powiedział i opuścił ławkę.

– Z Bogiem – powiedział ojciec Regan.

W drodze do drzwi Bob przystanął przed kropielnicą. Przeżegnał się. Przez chwilę stał ze spuszczoną głową. Potem przeżegnał się po raz drugi i wyszedł przed środkowe drzwi.

Kto święty, niech podejdzie

Kuzyn Marv stał w progu drzwi na zapleczu baru, pałac. Bob zbierał puste kubły na śmieci z wczorajszej nocy. Jak zwykle śmieciarze porozrzucali je po całym zaułku i Bob musiał się trochę nachodzić, żeby je przynieść.

– Chybaby im korona z głowy spadła, jakby musieli je odstawić na miejsce – powiedział kuzyn Marv. – To by wymagało uprzejmości.

Bob ustawił dwa plastikowe kubły jeden na drugim i przeniósł je pod ścianę. Pod tą ścianą, między beczkami a pułapką na szczury, zauważył czarny foliowy worek, w rodzaju tych, jakich używa się na budowach, wyjątkowo wytrzymały. On go tu nie zostawił. Na tyle dobrze znał lokale po sąsiedzku – studio paznokci Sajgon i gabinet dr. Sanjeeva K. Seta – by wiedzieć, jak wyglądają ich śmieci. Ten worek do nich nie należał. Na chwilę zostawił tę sprawę i poszedł w zaułek po ostatni kubeł.

– Gdybyś zapłacił za kontener na śmieci...

– A dlaczego miałbym płacić za kontener na śmieci? – spytał kuzyn Marv. – Już nie jestem właścicielem baru, pamiętasz? „Zapłać za kontener”. To nie tobie Chovka odebrał bar.

– To było dziesięć lat temu.

– Osiem i pół. – Bob przyniósł ostatni kubeł i ustawił

go pod ścianą. Podeszedł do czarnego foliowego worka, chyba dwustulitrowego, ale nie całkiem wypełnionego. To, co się w nim znajdowało, nie było duże, lecz wypchało worek po bokach, mogło mieć od trzydziestu centymetrów do pół metra. Może kawałek rury kanalizacyjnej albo tekturowej tuby, w jakich przechowuje się plakaty. – Dottie uważa, że powinniśmy pojechać do Europy – powiedział kuzyn Marv. – Na to mi przyszło. Stałem się facetem, który jedzie zwiedzić Europę z siostrą i z aparatem fotograficznym u szyi. – Bob stanął nad workiem. Był związany, ale na tyle luźno, że wystarczyłoby lekkie pociągnięcie, żeby rozchylił się jak pęk róży. – Dawniej – ciągnął kuzyn Marv – jak chciałem się wybrać na wycieczkę, to jechałem z Brendą Mulligan, Cheryl Hodge albo, albo... pamiętasz Jillian?

Bob zrobił kolejny krok w stronę worka. Był już tak blisko, że bardziej zbliżyć się nie mógł, chyba żeby do niego wlaź.

– Jillian Wangrove. Była ładna – powiedział.

– To była wystrzałowa szprycha! Chodziliśmy ze sobą przez całe lato. Wpadaliśmy do tego baru na świeżym powietrzu w Marina Bay. Jak on się nazywał...?

Bob usłyszał własny głos, mówiący:

– The Tent.

Jednocześnie otworzył worek i zajrzał do środka. Płuca wypełnił mu ołów, a czaszkę hel. Odwrócił na chwilę głowę i zaulek przechylił się w prawo.

– The Tent – mówił Marv. – Właśnie, właśnie. Jeszcze

działa?

– Tak – Bob znów usłyszał własny głos, docierający do niego jak z jakiegoś tunelu. – Ale nazywa się inaczej.

Obejrzał się przez ramię na Marva. Pozwolił mu zobaczyć swoje oczy.

Kuzyn Marv rzucił peta w zaulek.

– Co jest?

Bob stał bez ruchu z workiem w ręku. Z wnętrza wypłynął odór rozkładu, podobny do smrodu surowych części kurczaka, zostawionych na słońcu.

Kuzyn Marv spojrział na worek, a potem na Boba. Został w progu.

– Musisz... – zaczął Bob.

– Nie muszę.

– Co?

– Nic nie muszę. Jasne? Zostanę, kurwa, tutaj. Zostanę tutaj, bo...

– Musisz zobaczyć...

– Niczego nie muszę zobaczyć! Słyszysz? Nie muszę zobaczyć Europy ani tej zasranej Tajlandii, ani tego gówna w worku. Zostaję tutaj.

– Marv.

Marv potrząsnął głową zaciekle jak uparte dziecko.

Bob czekał.

Kuzyn Marv wytarł oczy, nagle zawstydzony.

– Kiedyś byliśmy ekipą. Pamiętasz? Ludzie się nas bali.

– No – powiedział Bob.

Marv zapalił kolejnego papierosa. Ruszył w stronę torby, tak jak się idzie po ogłuszonego szopa siedzącego w kącie piwnicy.

Dotarł do Boba. Spojrzał do worka.

Ręka, odcięta tuż pod łokciem, leżąca na małej stercie zakrwawionych pieniędzy. Na przegubie znajdował się zegarek, który zatrzymał się na szóstej piętnaście.

Kuzyn Marv odetchnął powoli, aż w płucach zabrakło mu powietrza.

– To jest po prostu... To znaczy...

– Wiem – powiedział Bob.

– To...

– Wiem.

– To nieprzyzwoite.

Bob pokiwał głową.

– Musimy coś z tym zrobić.

– Z pieniędzmi? Czy z...?

– Suma pewnie zgadza się z tym, co straciliśmy tamtego wieczora.

– No dobra, czyli...

– Czyli oddamy im pieniądze. Tego oczekują.

– A to? – Marv wskazał rękę. – To?!

– Nie możemy tego tak zostawić. Ten gliniarz znowu by się przyczepił.

– Przecież jesteśmy niewinni.

– Nie tym razem. Jak myślisz, co pomyślą Chovka i papa Umarov, jeśli gliny zaczną się nami interesować?

– No tak – mruknął kuzyn Marv. – Jasne, jasne.

– Musisz się skupić.

Marv wybałuszył oczy.

– Ty mówisz mnie, że mam się skupić?

– No – powiedział Bob i wniósł worek do baru.

W malutkiej kuchni, obok czteropalnikowego grilla i frytkownicy, znajdował się blat, na którym przygotowywali kanapki. Bob wyłożył go woskowanym papierem. Wyciągnął płachtę folii spożywczej z rolki nad blatem. Opłukał nad zlewem zakrwawioną rękę i zawinał ją w folię. Następnie położył ją na papierze.

Wstrząśnięty Marv przyglądał mu się od progu z odrazą.

– Jakbyś to robił z tysiąc razy – zauważył. Bob łypnął na niego. Kuzyn Marv drgnął i spuścił wzrok. – Zastanawiasz się, czy gdybyś nie wspomniał o zegarku...

– Nie – rzucił Bob, trochę ostrzej, niż zamierzał. – Nie zastanawiam się.

– A ja tak – powiedział kuzyn Marv.

Bob owinał rękę w papier i zakleił jego brzegi. Teraz można by ją wziąć za drogi kij bilardowy albo dużą kanapkę. Bob schował ją do torby gimnastycznej.

Wyszedł z Marvem z kuchni i ujrzał Erica Deedsa, siedzącego z dłońmi złożonymi na barze, jak klient czekający na drinka.

Marv i Bob minęli go, nie zatrzymując się.

– Bar zamknięty – rzucił Marv w przelocie.

– Macie breezeera? – spytał Eric.

– Komu byśmy go podawali? – spytał Marv. –

Gimbazie?

Bob i kuzyn Marv obeszli bar i stanęli przed Deedsem.
Ten wstał.

– Drzwi były otwarte, więc pomyślałem...

Marv i Bob spojrzeli na siebie.

– Bez urazy – powiedział kuzyn Marv – ale spierdalaj.

– Na pewno nie macie breezeera? – Eric ruszył do drzwi. – Fajnie się spotkać, Bob. Pozdrów ode mnie Nadie, ziom.

Wyszedł.

Marv pobiegł do drzwi i przekręcił klucz.

– My się tu wozimy z kawałkiem człowieka, a drzwi otwarte – rzucił.

– Przecież nic się nie stało – powiedział Bob.

– Ale mogło. – Marv odetchnął głęboko. – Znasz tego szczyła?

– To ten, o którym ci opowiadałem.

– Ten, co twierdzi, że to jego pies?

– No.

– Typ ma nierówno pod sufitem.

– Znasz go?

Kuzyn Marv skinął głową.

– Mieszka na Mayhew Street. W parafii Świętej Cecylii. Ty to jesteś ze starej szkoły – jak ktoś nie jest z twojej parafii, to równie dobrze mógłby być, kurwa, jakimś Flamandem. To kawał gnoja. Był parę razy w pierdlu. Odsiedział miesiąc w wariatkowie, jeśli dobrze pamiętam. Cała ta zasrana rodzina Deedsów powinna być

ubezwłasnowolniona już pokolenie temu. Chodzi plotka, że to on zabił Dawne Czasy.

– Też tak słyszałem – powiedział Bob.

– Usunął go z powierzchni planety Ziemia. Tak powiadają.

– No tak – mruknął Bob, a ponieważ nie miał nic więcej do powiedzenia, wziął torbę i wyszedł tylnymi drzwiami.

Po jego odejściu Marv włożył zakrwawione banknoty do zlewu. Wcisnął przełącznik do toniku na pistolecie do napojów gazowanych i prysnął na pieniądze.

Znieruchomiał, zapatrzony na strugi krwi.

– Zwierzęta – szepnął i zamknął oczy, żeby nie widzieć rzek czerwieni. – Pierdolone dzikusy.

W Penitentiary Park Bob rzucił patyk i Rocco popędził po niego co sił w łapach. Przyniósł patyk, upuścił przed Bobem, więc Bob znowu go rzucił z całej mocy. Kiedy Rocco galopował ścieżką, Bob sięgnął do torby gimnastycznej i chwycił opakowaną rękę. Skrecił nad kanał i cisnął nią jak tomahawkim. Patrzył, jak pakunek zakreśla wysoki łuk i koziółkuje, aż w końcu osiąga zenit i spada jak kamień. Wylądował na środku kanału z większym rozbryzgiem, niż spodziewał się Bob. I z głośniejszym chlupotem. Tak głośnie, że Bob przestraszył się, czy samochody przejeżdżające jezdnią na drugim brzegu kanału nie zaczną się zatrzymywać. Ale żaden nawet nie zwolnił.

Rocco wrócił z patykiem.

– Grzeczny piesek – pochwalił go Bob. Znowu rzucił patyk, który odbił się od asfaltu i poleciał w trawę. Rocco pobiegł za nim.

Za plecami Boba rozległ się pomruk silnika. Bob odwrócił się, spodziewając się zobaczyć furgonetkę parkowego strażnika, ale jechał ku niemu detektyw Torres. Bob nie miał pojęcia, czy policjant coś widział.

Torres wysiadł z samochodu i podszedł do niego.

– Dzień dobry panu – powiedział. Zerknął na pustą torbę gimnastyczną. – Jeszcze ich nie złapaliśmy. – Bob nie zrozumiał. – Facetów, którzy napadli na wasz bar.

– A.

Torres parsknął śmiechem.

– Pamięta pan, prawda?

– Oczywiście.

– Czy może obrobili was tyle razy, że już wam się miesza?

Rocco przybiegł do nich, zziębnięty, i upuścił patyk. Bob znowu go rzucił i szczeniak jeszcze raz za nim pogalopował.

– Nie. Pamiętam – powiedział Bob.

– To dobrze. No więc jeszcze ich nie znaleźliśmy.

– Tak się domyślałem.

– Domyślał się pan, że nie zrobiliśmy, co do nas należy?

– Nie. Zawsze słyszałem, że najtrudniej aresztować włamywaczy.

– Czyli twierdzi pan, że moje zajęcie nie ma sensu. –

Bob wiedział, że nie ma szans wygrać w takiej rozmowie, więc po prostu dał spokój. Po chwili Torres spytał: – Po co ta torba?

– Trzymam w niej smycze, piłki, worki na kupy i takie tam.

– Jest pusta.

– Worki się zużyły, piłka zginęła.

Rocco przytruchtał do nich i upuścił patyk. Bob rzucił patyk, pies odbiegł.

– Richie Whelan – powiedział Torres.

– Co z nim? – spytał Bob.

– Pamięta go pan?

– Jego przyjaciele tydzień temu opijali w barze rocznicę.

– Jaką rocznicę?

– Dnia, w którym widziano go ostatni raz.

– Co wydarzyło się w waszym barze.

– No tak. Wyszedł po trawę. Tak słyszałem.

Torres przytaknął.

– Zna pan Erica Deedsa? Takiego blondyna?

– Nie. To znaczy może znam, ale nazwisko nic mi nie mówi.

– Podobno tego dnia poróżnił się z Whelanem.

Bob posłał Torresowi bezradny uśmiech i także wzruszenie ramion. Torres pokiwał głową i kopnął kamyk czubkiem buta.

– Kto jest święty, niech podejdzie.

– Słucham? – spytał Bob.

– To stanowisko Kościoła na temat tego, kto może przyjmować komunię. Jeśli jesteś w stanie łaski, śmiało zasuwasz przed ołtarz. Jeśli nie, odpokutuj i zasuwasz. Ale pan ciągle nie przyjmuje sakramentu. Zapomniał pan czegoś odpokutować? – Bob nie odpowiedział. Znowu rzucił patyk szczeniakowi. – Wie pan, na ogół daję ciała. To trudny zawód. Ale potem idę się wypowiadać. To lepsze niż terapia albo spotkania anonimowych alkoholików. Dogaduję się z Bogiem i następnego dnia przyjmuję Jego ciało jako komunię. A pan? Pan nie. – Rocco przyniósł patyk i tym razem to Torres go podniósł. Trzymał go tak długo, aż szczeniak zaczął piszczeć – cienkim głosem, którego Bob jeszcze nigdy nie słyszał. No ale on nie miał zwyczaju dręczyć psa. W chwili gdy Rocco miał już wyrwać patyk z ręki Torresa, gliniarz zamachnął się i rzucił. Rocco popędził za swoją zdobyczą. – Szczera pokuta – powiedział Torres. – Niech się pan nad tym zastanowi. Ładny pies.

I odszedł.

Wszyscy umieramy

Po odejściu Torresa Bob chodził przez jakiś czas po parku, ale nie zapamiętał z tego wiele. Ocknął się, kiedy dotarł ze szczeniakiem do samochodu. Tak mu się kręciło w głowie, że bał się prowadzić, więc przez jakiś czas stał, spoglądając w przykre zimowe niebo, na słońce, uwięzione za grubą jak ręcznik ścianą szarości. Czy jeżeli za parę miesięcy ręka wypłynie gdzieś w pobliżu, Torres skojarzy fakty? Czy wtedy czepi się Boba?

On już się ciebie czepia.

Bob odetchnął głęboko, zatrzymał powietrze w płucach i wypuścił je. Tym razem nie zakręciło mu się w głowie ani nie zabrakło mu tlenu.

Powiedział sobie, że wszystko się ułoży.

Wsiadł do samochodu, spojrzął na swoje odbicie w lusterku wstecznym i powiedział na głos:

– Wszystko się ułoży.

Nie żeby od razu w to wierzył, ale co mógł zrobić?

Pojechał do parafii Świętego Dominika, do swojego domu, żeby odstawić Rocco. Kiedy wysiadł z samochodu, zobaczył Nadię wychodzącą z domu.

– Przyszłam, żeby zabrać go na popołudniowy spacer – powiedziała. – Przestraszyłam się. Masz włączoną komórkę?

Bob spojrzął na telefon.

– Przełączyłem na wibrację. Nic nie czułem.

– Dzwoniłam parę razy.

Na wyświetlaczu widniał napis: „Nieodebrane połączenie: Nadia (6)”.

– Teraz widzę.

Przechyliła lekko głowę.

– Myślałam, że dziś pracujesz.

– Pracuję – powiedział. – Tylko... No. Dużo by opowiadać. Ale powinienem do ciebie zadzwonić. Przepraszam.

– E, nie. Nie przejmuj się.

Bob wszedł na ganek. Rocco rzucił się na ziemię u stóp Nadii, która podrapała go po piersi.

– Znasz niejakiego Erica Deedsa? – spytał Bob.

Nadia nie podniosła głowy. Nadal drapała Rocco po piersi.

– Nie żebym go aż tak znała, ale go znam. No wiesz, z widzenia.

– Powiedział to tak, że myślałem...

– Myślałeś, że co?

– Że nic. Właściwie to nie wiem...

Teraz na niego spojrzała. Spojrzała na niego i miała w oczach coś, czego dotąd nie zauważył. Coś takiego, że nabrał ochoty, żeby odwrócić się i wiać co sił w nogach.

– Czego się mnie czepiasz?

– Ja? Ja tylko pytam.

– Insynuujesz.

– Nieprawda.

– A teraz kłócisz się tylko po to, żeby się kłócić.

– Nieprawda.

Wstała z klęczek.

– Wiesz co? Nie potrzebuję tego szajsu. Jasne?

– Czekał – powiedział Bob. – Co się właśnie stało?

– Wydaje ci się, że możesz mną poniewierać, wydaje ci się, że znalazłeś worek treningowy, w który będziesz młócić tymi wielkimi pięściami?

– Co? Jezu. Nie.

Chciała go wyminąć. Wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, a potem zmienił zdanie, ale było za późno.

– Nawet się nie waży mnie dotykać. – Cofnął się o krok. Wycelowała palec w jego twarz, a potem zeszła po schodach, zeskakując po dwa stopnie naraz. Na chodniku znowu na niego spojrzała. – Gnojek – powiedziała z oczami pełnym łez.

Odeszła.

Bob stał jak skamieniały. Nie miał pojęcia, jak mu się udało aż tak spieprzyć sprawę.

Po powrocie do baru Bob spędził na zapleczu godzinkę z suszarką do włosów i mokrymi banknotami. Kiedy wrócił z zaplecza, bar był prawie pusty. Tylko kilku starszków piło żytniówkę z dolnej półki przy barze blisko drzwi. Kuzyn Marv i Bob stanęli po drugiej stronie baru.

– Ja tylko zadałem pytanie – powiedział Bob – i nagle wszystko wywróciło się do góry nogami. Rozumiesz.

– Mógłbyś dać takiej brylant Hope'a, a zaczęłaby kwękać, że za mały. – Marv odwrócił stronę gazety. – Na

pewno nic nie zauważył?

– Torres? Na pewno.

Ale nie miał pewności.

Drzwi frontowe otworzyły się i w progu stanął Chovka, za którym podążał Anwar. Minęli trzech starszuchów, podszli do baru i usiedli naprzeciwko kuzyna Marva i Boba. Oparli łokcie na barze.

Zapadło milczenie.

Trzej starszuchowie – Pokaski, Limone i Imbruglia – wstali jednocześnie, nie zamieniwszy nawet jednego słowa, i odeszli w okolice stołu bilardowego.

Kuzyn Marv wytarł bar przed Chovką, choć przed minutą przeleciał już kontuar szmatą.

– Cześć.

Chovka nie odpowiedział. Spojrzał na Anwara. Obaj przenieśli wzrok z Boba na kuzyna Marva. Chovka sięgnął do kieszeni. Anwar sięgnął do swojej. Wyciągnęli ręce. Położyli na barze po paczce papierosów i zapalnicze. Bob poszperał pod barem i wyjął popielniczkę, którą trzymał tu dla Millie. Postawił ją między nimi. Chovka i Anwar zapalili papierosy.

– Chcesz drinka, Chovka? – spytał Bob. Chovka palił w milczeniu. Anwar też. – Marv – powiedział Bob.

– Co? – spytał kuzyn Marv.

– Anwar pije stellę.

Kuzyn Marv podszedł do lodówki. Bob zdjął z górnej półki butelkę irlandzkiej whiskey. Nalał sporą szklaneczkę i postawił przed Chovką. Kuzyn Marv wrócił ze stellą

artois i postawił ją przed Anwarem. Bob wziął podstawkę i wsunął ją pod szklanę. Potem wyjął dużą kopertę spod kasy i położył ją na barze.

– Banknoty są nadal trochę wilgotne, więc włożyłem je do woreczka strunowego – powiedział. – Ale nic nie brakuje.

– Do woreczka strunowego – powtórzył Chovka.

Bob skinął głową.

– Chciałem, ten, wrzucić je do suszarki, ale nie mamy, więc musiała wystarczyć suszarka do włosów. Ale jak się je rozłoży na stole, do rana będą suchutkie.

– A dlaczego są mokre?

– Musieliśmy je umyć.

– Coś na nich było? – Oczy Chovki były zupełnie nieruchome.

– Tak – powiedział Bob.

Chovka spojrzał uważnie na szklanę z drinkiem, którą postawił przed nim Bob.

– Nie to dałeś mi ostatnio.

– To była osiemnastoletnia bowmore. Powiedziałeś, że smakuje jak koniak. Pomyślałem, że to bardziej ci się spodoba.

Chovka uniósł szklanę do światła. Powąchał. Spojrzał na Boba. Uniósł szklanę do ust i pociągnął łyk. Odstawił szklanę na bar.

– Umieramy.

– Słucham?

– Wszyscy. Umieramy. Na wiele różnych sposobów.

Anwar, znałeś swojego dziadka?

Anwar wypił pół szklanki piwa jednym haustem.

– Nie. Od dawna nie żyje.

– Bob – powiedział Chovka. – Czy twoi dziadkowie żyją? Choćby jeden?

– Nie.

– Ale żyli pełnią życia?

– Jeden zmarł jako trzydziestolatek. Drugi dożył sześćdziesiątki.

– Ale żyli na tej ziemi. Różni, walczyli i robili dzieci. Uważali, że żyją w najlepszych czasach, że nic lepszego się nie wydarzy. A potem umarli. Bo wszyscy umieramy. – Pociągnął łyk i powtórzył cicho: – Umieramy. Ale przedtem... – Obrócił się do Anwara i podał mu szklankę. – Musisz spróbować tej whiskey, stary.

Klepnął Anwara po plecach i wybuchnął śmiechem.

Anwar pociągnął łyk. Oddał szklankę.

– Dobra.

– Dobra – prychnął Chovka. – Nie masz zrozumienia dla bardziej wyrafinowanych rzeczy. W tym problem. Pij to swoje piwo. – Dopił resztę, nie spuszczać wzroku z kuzyna Marva. Potem przeniósł spojrzenie na Boba. – Ty się rozumiesz na tym, co dobre, Bob.

– Dziękuję.

– W ogóle chyba rozumiesz więcej, niż się wydaje. – Bob nie odpowiedział. – Będziecie odpowiedzialni za dziupłę – oznajmił Chovka.

– Dziś? – spytał kuzyn Marv.

Chovka pokręcił głową.

Czekali, aż się odezwie.

– Super Bowl – powiedział Chovka.

On i Anwar wstali. Zabrali papierosy i zapalniczki. Poszli do drzwi. Bob i kuzyn Marv stali nieruchomo. Bob znowu poczuł, że kręci mu się w głowie, i to tak bardzo, że nie zdziwiłoby go, gdyby ocknął się dziesięć minut później na podłodze, nie mając pojęcia, jak się tam znalazł. Bar wprawdzie nie wirował mu przed oczami, ale na zmianę jaśniał i ciemniał.

– Zauważyłeś, że żaden nie zwrócił się do mnie, nie wspomniał o mnie, nie odnotował mojego istnienia? – zapytał kuzyn Marv. – Patrzyli na mnie jak na kawałek papieru toaletowego, który przykleił się do tyłka.

– Wcale tego tak nie odebrałem.

– Nie odebrałeś, bo byłeś zajęty kumpłowaniem się z nim. „Oto twój kordiał, biały panie, i wybacz mi, jeśli nie smakuje jak ten osiemnastoletni koniak, którym cię poczęstowałem podczas ostatniej inspekcji niewolników”. Jaja se robisz czy co? On chce mnie, kurwa, zabić.

– Nieprawda. Bredzisz.

– Wcale nie bredzę. Uważa mnie i tego nieżyjącego skurwiela Rardy’ego...

– Rardy żyje.

– Tak? A widziałeś go ostatnio? – Marv wskazał drzwi i dodał syczącym szeptem: – Ten pierdolony Czeczen uważa, że Rardy i ja spiskowaliśmy z Jednorękim Trupem. Ciebie uważa za zbyt głupiego, popieprzonego albo nie

wiem, zbyt *miłego*, żeby go okraść. Ale mnie rzuca spojrzenie śmierci.

– Gdyby uważał, że ukradłeś te pięć tysięcy, to skąd by się one wzięły w torbie?

– Co?

– Ci, co nas napadli, ukradli pięć tysięcy. W torbie z...

– Bob spojrział na stół bilardowy, upewniając się, że starszycy nadal tam są – ...z ręką było pięć tysięcy. Czyli znalazł pieniądze u chłopaka i odesłał je nam.

– Tak?

– Co oznacza, że nie może podejrzewać, że je masz, bo sam nam je odesłał, a my mu je oddaliśmy.

– Może myśleć, że wynajęłam tych bandytów, a oni przechowywali dla mnie kasę do czasu, aż wszystko się uspokoi. A nawet jeśli tak nie myśli, to według niego jestem mendą. Niegodną zaufania. A tacy faceci nie zastanawiają się, czy ich wnioski są racjonalne. Po prostu jednego dnia uznają cię za wesz, a drugiego ogłaszają Dzień Zabijania Wszy.

– Czy ty słyszysz, co mówisz?

Na twarzy Marva lśnił pot.

– Oni tu zrobią dziuplę podczas mistrzostw futbolu. A potem albo nas wystrzelają, albo dadzą nam żyć tak długo, aż ci inni walnięci Czeczenianie i Gruzjanie, którzy mają u nas udziały, dojdą do wniosku, że zorganizowaliśmy napad. A wtedy popracują nad nami przez jakieś trzy, cztery dni w piwnicy, stopniowo pozbawiając nas uszu, oczu, jaj, kurwa mać, i wszystkich zębów. A potem? Dwie

kulki w łeb, Bob. Dwie kulki w łeb.

Wyszedł z baru.

– Marv! – zawołał za nim Bob, Marv machnął ręką, jakby się opędzał, i dalej szedł do drzwi. – Nie mogę pracować sam w czwartkowy wieczór.

– Zadzwoń do agencji po barmanów.

– Marv!

Marv rozłożył ręce w geście „I co mi zrobisz?”, po czym otworzył drzwi. Wyszedł, a Bob został za barem. Staruszkowie gapili się na niego przez chwilę zza stołu bilardowego, a potem znowu zajęli się sobą.

Pod koniec tej długiej nocy Bob wrócił do siebie. Na swoim ganku zastał Nadie. Paliła papierosa. Bob poczuł, że twarz mu się rozjaśnia jak niebo na czwartego lipca.

– Zamarzniesz tu – powiedział.

Pokręciła głową.

– Dopiero wyszłam, żeby zapalić. Byłam w domu z Rocco.

– Nie obchodzi mnie, czy go znałaś. Wcale. Kazał cię pozdrowić, jakby to coś znaczyło.

– Co jeszcze powiedział?

– Że Rocco należy do niego.

Nadia rzuciła papierosa na ulicę. Bob otworzył przed nią drzwi i wpuścił ją do domu.

W kuchni wypuścił Rocco z klatki i posadził sobie na kolanach. Nadia wyjęła z lodówki dwa piwa i podała jedno Bobowi.

Przez chwilę pili w milczeniu.

– No więc Eric jest słodki, no nie? Na jedną noc to wystarczało. Bo wiesz, słyszałam te wszystkie historie o tym, że ma nie po kolei w głowie, ale potem wyjechał z miasta na jakiś czas, a kiedy wrócił, wydawał się spokojniejszy, jakby schował swoje demony, rozumiesz, gdzieś je upchnął. Przez jakiś czas wydawał się inny. A potem, jak znowu ześwirował, już przepadłam.

– Dlatego to był twój kubeł na śmieci.

Nadia spojrzała na Rocco i pokręciła głową.

– Nie. Nie byliśmy ze sobą z... rok. – Znowu pokręciła głową, usiłując przekonać sama siebie. – No więc pobił Rocco, uznał, że go zabił, i wrzucił go do moich śmieci, żeby co?

– Żebyś o nim myślała? Nie wiem.

Nadia zastanowiła się.

– To do niego podobne. O matko, przepraszam.

– Nie wiedziałas.

Nadia uklękła przed Bobem i Rocco. Wzięła głowę szczeniaka w dłonie.

– Rocco – powiedziała. – Nie znam się na świętych. Od czego jest jego patron?

– Od psów. Jest patronem psów.

– No tak.

– Oraz farmaceutów, kawalerów i fałszywie oskarżonych.

– To musi mieć pełne ręce roboty. – Nadia uniosła piwo w toaście. – Za świętego Rocco. – Wypili. Nadia usiadła na krześle i przesunęła palcem po bliźnie. –

Przyszło ci kiedyś do głowy, że niektóre rzeczy po prostu, no nie wiem, nie zasługują na wybaczenie?

– Czyje wybaczenie?

Wskazała w górę.

– No wiesz.

– Czasem się zdarza, że myślę o grzechach, po których nie ma powrotu. Choćby człowiek zrobił potem nie wiadomo ile dobra, diabeł tylko czeka, aż twoje ciało umrze, bo twoja dusza należy do niego. A może nie ma żadnego diabła, tylko umierasz i Bóg mówi: „Przykro mi, nie możesz wejść. Zrobiłeś coś niewybaczalnego, teraz musisz zostać sam. Na zawsze”.

– Już bym wolała diabła – powiedziała Nadia.

– No nie? A innym razem myślę, że to nie Bóg jest problemem, tylko my, wiesz? – Pokręciła głową. – Nie pozwalamy sobie wyjść z klatki.

Bob pomachał do niej łapką Rocco. Uśmiechnęła się i pociągnęła łyk piwa.

– Słyszałam, że bar nie jest własnością kuzyna Marva, tylko jakichś bandytów, ale ty nie jesteś bandytą. Więc dlaczego tam pracujesz?

– Ja i kuzyn Marv mamy wspólną historię. To mój prawdziwy kuzyn. Moja matka i ojciec jego i Dottie byli siostrami.

Nadia parsknęła śmiechem.

– Pożyczali sobie szminki?

– Co? Co ja powiedziałem? Nie, chciałem powiedzieć... wiesz, co chciałem powiedzieć. – Roześmiał

się. To był prawdziwy śmiech. Nie pamiętał, kiedy ostatnio mu się przytrafił. – Co się wygłupiasz?

– Bo lubię – powiedziała Nadia.

Cisza była cudowna.

Bob w końcu ją przerwał.

– Marv kiedyś myślał, że jest twardym gościem. Miał swoją ekipę. Zarobiliśmy trochę pieniędzy.

– Ale już nie macie ekipy?

– Trzeba być podłym. Twardym nie wystarczy. I tych podłych zrobiło się dużo. A myśmy się zagapili.

– Ale nadal jesteś w tym świecie.

Bob pokręcił głową.

– Tylko stoję za barem.

Przyjrzała mu się uważnie znad piwa i pozwoliła mu dostrzec swoje powątpiewanie, ale nie naciskała.

– Myślisz, że odpuści?

– Eric? – spytał. – Nie wydaje mi się takim typem.

– Nie jest. Zabił chłopaka, którego nazywali Dawne Czasy. No, to nie było jego...

– Richie Whelan, wiem.

Nadia skinęła głową.

– Eric go zabił.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Eric nie jest wielkim fanem „dlaczego”.

Chcesz jeszcze piwa? – Bob zawahał się. – Daj spokój. Wyluzuj.

– Dlaczego nie? – zapytał z uśmiechem.

Nadia postawiła przed nim kolejne piwo. Pogłaskała

Rocco po głowie. Usiadła i zaczęli wspólnie pić.

Bob odprowadził Nadię do jej drzwi.

– Dobranoc.

– Dobranoc, Bob. Dzięki.

– Za co?

Wzruszyła ramionami. Położyła mu rękę na ramieniu i musnęła jego policzek szybkim pocałunkiem. Potem znikła.

Bob wrócił do domu. Ulice były pogrążone w ciszy. Dotarł do długiego jezora lodu na chodniku. Zamiast go ominąć, prześliznął się po nim, rozkładając ręce dla zachowania równowagi. Jak dziecko. Na końcu ślizgawki uśmiechnął się do gwiazd.

W domu sprzątnął ze stołu puste puszki. Opłukał je i wrzucił do plastikowego worka wiszącego na uchwycie szuflady. Uśmiechnął się, patrząc na szczeniaka, który spał, zwinięty w kłębuszek, w kącie klatki. Wyłączył światło.

I znowu je włączył. Otworzył klatkę.

Rocco otworzył oczy i popatrzył na niego. Bob spojrział na nową ozdobę klatki: parasol, który Eric Deeds wcześniej zabrał z jego domu.

Wziął parasol i przez długi czas siedział, trzymając go w dłoniach.

Jak najlepiej

W piątek późnym rankiem Eric siedział w głębi pizzerii Hi-Fi, mając przed sobą kilka kawałków pizzy. W każdym lokalu zawsze siadywał w pobliżu drzwi. Lubił mieć je nie dalej niż trzy metry od siebie. Na wszelki wypadek, jak powiedział kiedyś dziewczynie.

– Na wypadek czego?

– Gdyby oni po mnie przyszli.

– Jacy oni?

– Zawsze są jacyś oni – powiedział Eric, patrząc jej w oczy – w tamtych czasach chodził z Jeannie Madden – i wydało mu się, że widzi w nich prawdziwe zrozumienie. W końcu – kurwa, w końcu! – ktoś go zrozumiał.

Dotknęła jego ręki.

– Zawsze są jacyś oni, tak?

– Tak – powiedział. – Tak.

Rzuciła go trzy godziny później. Zostawiła wiadomość na starej, wielgachnej automatycznej sekretarce, którą ojciec Erica trzymał w przedpokoju ich domu na Parker Hill. Wiadomość zaczęła się sympatycznie – Jeannette mówiła, że chodzi o nią, nie o niego, że ludzie po prostu się rozchodzą i że ma nadzieję, iż pewnego dnia zostaną przyjaciółmi, ale jeśli spróbuje jej wykręcić jakiś wariacki numer, jeśli choćby przejdzie mu to przez ten pieprzony łeb, to jej czterej bracia zastąpią mu drogę, kiedy

będzie się przechadzać po Bucky Avenue, i wybiją mu te zasrane szaleństwa z pierdolonej dupy. „Idź się leczyć, Eric. Serio, idź się leczyć. I zostaw mnie w spokoju”.

Zostawił ją w spokoju. Zaledwie pół roku później wyszła za Paula Giraldiego, elektryka. Dziś mieli już troje dzieci.

A Eric nadal obserwował drzwi tej samej pizzerii. Samotnie.

Rozwahał, czy z nich nie skorzystać, kiedy ten grubas, kuzyn Marv, podszedł do jego stołu, ale nie chciał robić scen i znowu stracić swoich przywilejów. W dwa tysiące piątym już raz zakazano mu wstępu na pół roku po incydencie ze sprite'em i zielonymi papryczkami i było to najdłuższe pół roku w jego życiu, bo w Hi-Fi robili najlepszą pizzę w historii piekarnictwa.

Więc został na miejscu, kiedy kuzyn Marv zdjął kurtkę i usiadł naprzeciwko.

– W dalszym ciągu nie podajemy breezerów – powiedział.

Eric nadal jadł, nie wiedząc, w co tu się gra.

Kuzyn Marv odsunął solniczkę i pojemnik z parmezanem i wbił w niego ciężkie spojrzenie.

– Dlaczego nie lubisz mojego kuzyna?

– Zabrał mojego psa. – Eric przesunął parmezan na poprzednie miejsce.

– Podobno go biłeś.

– Ale potem żałowałem. – Eric pociągnął mały łyk coli. – To się liczy.

Kuzyn Marv rzucił mu spojrzenie, które Eric widywał u wielu ludzi – jakby potrafili przeniknąć jego myśli i litowali się nad nim. Jeszcze sprawię, że będziesz się litować nad sobą, pomyślał Eric. Będziesz płakać, krwawić i błagać.

– Chcesz tego psa? – spytał kuzyn Marv.

– Nie wiem – powiedział Eric. – Ale nie chcę, żeby twój kuzyn miał się za nie wiadomo kogo. Musi się nauczyć.

– Czego?

– Żeby ze mną nie pogrywać. A teraz ty ze mną pogrywasz. Myślisz, że będę to znosić?

– Uspokój się. Przychodzę w pokojowych zamiarach.

– Eric przeżuł kęs pizzy. – Siedziałeś?

– Co?

– W więzieniu.

Eric skończył pierwszy kawałek i strzepnął okruszki z dłoni.

– Siedziałem.

– Tak? – Marv uniósł brwi. – Gdzie?

– W Broad River.

Marv pokręcił głową.

– Nie znam.

– W Karolinie Południowej.

– Cholera. Jak żeś tam trafił? – Eric wzruszył ramionami. – Czyli odsiedziałeś swoje – nie wiem, parę lat – i wróciłeś?

– No.

– I jak się siedzi w Karolinie Południowej?

Eric wziął drugi trójkącik pizzy. Spojrzał na kuzyna Marva.

– Jak najlepiej.

Cały ten czas, który Torres poświęcił na sprawę zniknięcia Richiego Whelana, poszedł na marne. Chłopak po prostu wziął i zniknął. Powiedział, że wróci za kwadrans, jak zdobędzie trochę trawy na działnicy, i wyszedł z Baru Kuzyna Marva. Tamta noc była lodowata. Bardziej niż lodowata. Dokładnie w takie noce ludzie inwestują w działki na Florydzie, których nawet nie widzieli. Kiedy za kwadrans dwunasta Richie Whelan opuścił bar, temperatura wynosiła minus czternaście stopni. Torres zrobił rozpoznanie i dowiedział się, że ze względu na zimny wiatr odczuwalna temperatura wynosiła minus dwadzieścia. A zatem Richie Whelan pomykał ulicami przy temperaturze minus dwadzieścia – w takiej temperaturze czuje się palenie w płucach i świst wiatru między zębami. Na ulicy nie było nikogo oprócz niego, bo przy tej pogodzie tylko ćpun, któremu skończyła się trawa albo crack, odważyłby się na przechadzkę o północy. Nawet gdyby do przejścia miał tylko trzy przecznice, czyli dokładnie tyle, ile dzieliło Bar Kuzyna Marva od meliny, w której zaopatrywał się Whelan.

Domniemanymi dilerami Whelana były dwa głąby: Eric Deeds i Tim Brennan. Parę dni później Brennan zeznał, że Richie Whelan nie dotarł tamtej nocy do jego mieszkania. Spytny o naturę relacji łączącej go z

Whelanem, odpowiedział: „Czasem opylałem mu trawę”. Eric Deeds nie złożył zeznań; jego nazwisko pojawiło się jedynie w zeznaniach przyjaciół Richiego Whelana, którzy tamtej nocy zostali w barze.

Dlatego zakładając, że Brennan, tak chętnie udzielający wiadomości na temat sprzedaży narkotyków zaginionemu Richiemu Whelanowi, nie ma powodów kłamać, można było uwierzyć, że Richie Whelan zniknął w odległości trzech przecznic od Baru Kuzyna Marva.

Torres nie mógł też pozbyć się podejrzenia, że ten drobny szczegół ma większą wagę, niż sądzili policjanci prowadzący śledztwo w sprawie zaginięcia Whelana. „Dlaczego?”, spytałby jego zwierzchnik Mark Adeline (gdyby Torres był takim debilem, żeby przyznać się do prowadzenia cudzej nierozwiązanej sprawy). „Bo ten sukinsyn nie przyjmuje komunii”, odpowiedziałby na to Torres.

Gdyby życie Torresa było filmem, Mark Adeline rozparłby się w zamyśleniu w fotelu, podniósłby na niego rozumne spojrzenie i powiedział: „Ha. Możliwe, że wpadłeś na trop. Daję ci trzy dni”.

W rzeczywistości Adeline tak się napinał, żeby podnieść procent rozwiązanych spraw w swoim wydziale, że mało się nie zesrał. Z akademii przysyłali im nowy rocznik rekrutów. A to oznaczało, że masa zwykłych policjantów miała dostać awans do wywiadu. Wydział walki z przestępczością, zabójstw, obyczajówka – wszyscy szukali świeżej krwi. A co z krwią drugiej świeżości? Co z

tymi, którzy prowadzą cudze nierozwiązane sprawy, podczas gdy ich własne porastają mchem i pleśnią? Takich wysyła się do pracy w depozycie, w wydziale ruchu drogowego, w biurze rzecznika prasowego albo jeszcze gorzej, w policji rzecznej, do pilnowania ruchu wodnego przy temperaturze minus piętnaście. Sterta spraw piętrzyła się na biurku Evandro Torresa i zamulała jego twardego dysk. Musiał zebrać zeznania w związku z napaścią na sklep monopolowy w Allston, awanturą uliczną na Newbury Street i gangiem obrabiającym apteki w całym mieście. Oraz z napadem na Bar Kuzyna Marva. Oraz z tymi domami w South End, do których ciągle włamywano się w biały dzień. Oraz z furgonetkami dostawczymi w Seaport, które nieustannie traciły świeże owoce morza i mrożone mięso.

Oraz, oraz, oraz. Sterta tych gównianych spraw ciągle rosła, grożąc mu zasypaniem. Zanim się zorientował, utknął w niej.

Poszedł do swojego samochodu, wmawiając sobie, że jedzie do Seaport, żeby aresztować za kradzież kierowcę – tego, który podczas ostatniej rozmowy za bardzo chciał mu się przypodobać i który żując gumę, wyglądał jak wiewiórka chrupiąca orzeszek.

A tymczasem pojechał do elektrowni w Soucie. Słońce wzeszło w chwili, gdy nocna zmiana wyszła na ulicę. Kierownik zmiany wskazał mu Seana McGratha. McGrath był kiedyś kumplem Whelana i jak twierdzili wszyscy, z którymi Torres gadał, organizatorem paczki, która raz na

rok piła za zdrowie Dawnych Czasów w nocy jego zniknięcia.

Torres przedstawił się i zaczął wyjaśniać, co go tu sprowadza, ale McGrath uniósł rękę i zawołał do kogoś:

– E, Jimmy!

– No?

– Dokąd idziemy?

– W to miejsce.

– Koło delikatesów?

Jimmy pokręcił głową i zapalił papierosa.

– W to drugie.

– Super – powiedział Sean McGrath. Jimmy pomachał mu i odszedł z innymi facetami. Sean McGrath odwrócił się do Torresa: – Czyli chodzi o tę noc, kiedy Richie się zapodział.

– Tak. Coś mi pan powie?

– Nie ma o czym opowiadać. Wyszedł z baru i nigdy więcej go nie widzieliśmy.

– I już?

– I już. Niech mi pan wierzy, nikomu się to nie podoba, ale tak to wygląda. Nikt więcej go nie widział. Jeśli istnieje niebo i jeśli tam jakimś cudem dotrę, to moje pierwsze pytanie – jeszcze przed „Kto zabił Kennedy’ego?” i „Czy zastałem Jezusa?” – będzie brzmiało: „Co, do kurwy nędzy, spotkało mojego przyjaciela Richiego Whelana?”.

Torres spojrział na faceta przestępującego z nogi na nogę w porannym chłodziu i zrozumiał, że nie zdoła

zatrzymać go tu na długo.

– W pierwszym zeznaniu stwierdził pan, że poszedł po...

– Trawę. No. Na ogół brał ją od tego gnojka Tima Brennana i jeszcze drugiego.

Torres spojrział w notes.

– Erica Deedsa. Tak pan stwierdził w pierwszym zeznaniu. Ale chciałbym o coś spytać.

McGrath chuchnął w dłoń.

– Jasne.

– Bob Saginowski i kuzyn Marv. Obaj pracowali tamtego wieczora?

Sean McGrath przestał rozgrzewać ręce.

– Chce ich pan z tym powiązać?

– Próbuję tylko...

McGrath podszedł bliżej i Torres poczuł tę rzadko spotykaną woń człowieka, z którym naprawdę nie powinno się zadzierać.

– Wie pan co? Przychodzi pan i mówi, że jest z wydziału do spraw kradzieży. Ale Richiego Whelana nikt nie napadł. W dodatku przychodzi pan do mnie w biały dzień, na oczach ludzi, z którymi pracuję, jak do kapusia. Wielkie dzięki.

– Ale...

– Lubię chodzić do Kuzyna Marva. To mój bar. – McGrath zrobił jeszcze jeden krok, przygważdżając Torresa nieruchomym spojrzeniem. – Nie zaczynajcie z moim barem.

Zasalutował kpiąco i odszedł w ślad za resztą.

Gdy dzwonek zadzwonił po raz drugi, Eric Deeds wyjrzał z okna na piętrze. Kurwa, no nie do wiary. Na dole stał Bob. Bob Saginowski. Bob Problem. Bob Psi Porywacz. Bob Dobra Dusza.

Zbyt późno usłyszał skrzypienie kółek; kiedy się odwrócił, ojciec już podjeżdżał na wózku do domofonu.

Eric wymierzył w niego palec.

– Wracaj do siebie.

Stary spojrział na niego jak dziecko, które jeszcze nie nauczyło się mówić. Stracił mowę dziewięć lat temu i wiele osób dało się przekonać, że stał się kruchy i bezradny, ale Eric wiedział, że w tym ciele nadal czai się dawny stary łajdak. Jak dawniej myślał tylko o tym, jak by człowiekowi dopiec, jak by mu przysrać, jak sprawić, żeby ziemia ciągle ustępowała mu spod stóp jak lotne piaski.

Dzwonek znowu się odezwał i stary przejechał palcem po przyciskach domofonu – do słuchania, do mówienia i otwierania drzwi.

– Powiedziałem chyba, żebyś niczego, kurwa, nie dotykał!

Stary zakrzywił paluch i zatrzymał go nad guzikiem „drzwi”.

– Wyrzucę cię przez okno! – wściekł się Eric. – A jak już będziesz leżał na ziemi, to jeszcze wyrzucę ten twój zasrany fotel, żeby cię przygniótł.

Stary zastygł, uniósłszy brwi.

– Mówię serio.

Stary się uśmiechnął.

– Nie waż się...

Paluch dziabnął w przycisk i przytrzymał go.

Eric rzucił się pędem przez salon, skoczył na ojca i zmiotł go z fotela. Stary tylko zarechotał. Leżał na podłodze, skrzecząc ze śmiechu, z łagodnym, odległym spojrzeniem mlecznych oczu, jakby widział już tamten świat i zrozumiał, że wszystko tam jest tak samo gównieście jak tutaj.

Bob zszedł już na chodnik, kiedy nagle odezwał się brzęczyk domofonu. Wbiegł po schodach i dopadł drzwi w chwili, gdy brzęczyk umilkł. Cholera.

Znowu zadzwonił. Zaczekał. Zadzwonił. Zaczekał. Zadarł głowę, spoglądając ponad krawędzią ganku na okno na piętrze. Wrócił do domofonu i przycisnął guzik. Po chwili zszedł z ganku. Stał na chodniku i jeszcze raz spojrzął w okno na piętrze, zastanawiając się, czy może któryś lokator zostawił otwarte tylne drzwi. Często tak robili. Albo właściciel nie zwracał uwagi na to, czy drewno wokół zamka nie przegniło przez zimę lub czy nie dobrały się do niego termyty. No ale co miał zrobić, włamać się? Takie wygłupy zostały już tak daleko za nim, że równie dobrze mógł je uznać za przeszłość jakiegoś swojego sobowtóra albo bliźniaka, który nigdy nie był mu szczególnie bliski.

Odwrócił się, ruszył ulicą i stanął twarzą w twarz z Erikiem Deedsem, spoglądającym na niego z tym wariacko rozświetlonym spojrzeniem jak finalista w konkursie na

świętego dla ludzi upuszczonych w dzieciństwie na głowę. Pewnie przeszedł tu boczną uliczką. Kiedy tak stał, energia biła od niego jak prąd z zerwanej podczas burzy linii wysokiego napięcia, skwierczącej i tryskającej iskrami na ulicę.

– Zdenerwowałeś mojego ojca. – Bob nie odpowiedział, ale chyba zrobił jakąś minę, bo Eric zaczął go przedrzeźniać, poruszając ustami i brwiami. – Ile razy, kurwa, musisz zadzwonić, zanim dotrze do ciebie, że nie zostaniesz wpuszczony? Mój stary jest kurewsko stary. Potrzebuje spokoju, poczucia bezpieczeństwa i innych takich bzdetów.

– Przepraszam – powiedział Bob.

To spodobało się Ericowi, którego twarz rozpromienił uśmiech.

– Przepraszasz. Tyle mi masz do powiedzenia. Że przepraszasz. – Jego uśmiech ustąpił miejsca wyrazowi strasznego zagubienia – spojrzenie małego zwierzątka ze złamaną łapką, które zawędrowało w nieznaną część lasu. Potem zagubienie przykryła fala przebiegłości i lodu. – Przynajmniej zaoszczędziłem sobie drogi.

– Jak to?

– Zamierzałem dziś do ciebie wpaść.

– Tak przeczuwałem.

– Odniosłem ci parasol. – Bob skinął głową. – Mogłem zabrać psa. – Kolejne skiniecie. – Ale tego nie zrobiłem.

– Dlaczego?

Eric przez chwilę patrzył na ulicę, na której przycichał

już poranny ruch.

– Już nie pasuje do mojego życia.

– To dobrze – powiedział Bob.

Eric odetchnął zimnym porannym powietrzem i splunął na ulicę.

– Daj mi dziesięć tysięcy.

– Co?

– Dolarów. Do jutra rano.

– Kto ma dziesięć tysięcy dolarów?

– Znajdź.

– Ale jak miał...

– Na przykład w tym sejfie w gabinecie kuzyna Marva.

Taki pomysł na początek.

Bob pokręcił głową.

– Nie da się. Tam jest zamek czasowy.

– Wiem. – Eric zapalił papierosa. Płomień zapalki zakołysał się na wietrze i musnął jego palec. Eric potrząsnął nią, aż zgasła. Dmuchnął na oparzenie. – Wyłącza się o drugiej. Masz półtorej minuty na przeniesienie pieniędzy z sejfu, bo inaczej uruchomisz dwa ciche alarmy, z których żaden nie odzywa się na posterunku policji ani w firmie ochroniarskiej. Ciekawostka. – Eric znowu uniósł brwi i zaciągnął się papierosem. – Nie jestem chciwy, Bob. Potrzebuję tylko pieniędzy na pewien zakład. Dasz mi dziesięć tysięcy, to zniknę.

– To śmieszne.

– Niech sobie będzie.

– Nie możesz pojawić się w czyimś życiu i...

– Takie już jest życie – ludzie tacy jak ja pojawiają się, kiedy nie uważasz i nie jesteś gotowy. Jestem żywym, osiemdziesięciokilogramowym odpowiednikiem końca świata, Bob.

– Musi być inne wyjście – powiedział Bob.

Eric Deeds znowu uniósł brwi.

– Gorączkowo zastanawiasz się nad możliwościami, ale to możliwości dla normalnych ludzi w normalnych okolicznościach. Ja ci ich nie oferuję. Potrzebuję dziesięć tysięcy. Zdobędziesz je dzisiaj, a ja je jutro odbiorę. Jak chcesz wiedzieć, robię zakład na Super Bowl. Dostałem cynk. Jutro, dokładnie o dziewiątej, bądź u siebie z pieniędzmi. Jeśli nie, będę tak długo kopać w głowę tej zdzirowatej suki Nadii, aż złamię jej kark i zmienię twarz w mielonkę. A potem rozbiję kamieniem łeb tego psa. Spójrz mi w oczy i powiedz, czy kłamię.

Bob spojrzał mu w oczy. Nie po raz pierwszy w życiu, i nie po raz ostatni, musiał przełknąć falę mdłości, która podeszła mu do gardła w obliczu okrucieństwa. Musiał się opanować, żeby nie bluznąć wymiotami w twarz Erica.

– Co jest z tobą nie tak? – spytał.

Eric rozłożył ręce.

– Zasadniczo wszystko. Mam nieźle nasrane we łbie, Bob. A ty zabrałeś mi psa.

– Chciałeś go zabić.

– A skąd. – Eric pokręcił głową, jakby był pewien tego, co mówi. – Słyszałeś, co zrobiłem Richiemu

Whelanowi, nie? – Bob przytaknął. – To był kawał gnoja. Przyłapałem go, jak dobierał się do mojej dziewczyny, więc żegnaj, Richie. A czemu o tym mówię? Bo przy Richiem pomagał mi wspólnik. Nadal go mam. Więc jeśli przyjdzie ci do głowy, żeby coś mi zrobić, resztę swoich nielicznych dni wolności spędzisz, zastanawiając się, kiedy mój partner przyjdzie się odegrać albo zakabluje psom. – Eric rzucił papierosa na ulicę. – Coś jeszcze, Bob? – Bob milczał. – Do zobaczenia rano.

Eric zostawił go na chodniku i wrócił do domu.

– Kim on jest? – spytał Bob, idąc z Nadią i szczeniakiem przez park.

– Kim jest? Czy kim jest dla mnie?

Rzeka znowu zamarzła przez noc, ale lód pękał już z trzaskiem i jękiem. Rocco nieustannie starał się postawić łapę na brzegu, a Bob nieustannie szarpał smyczą, przyciągając go do siebie.

– No, dla ciebie.

– Mówiłam ci. Jakiś czas ze sobą chodziliśmy. – Wzruszyła wąskimi ramionami. – W dzieciństwie mieszkaliśmy na tej samej ulicy. Ciągle ląduje w więzieniu. I w szpitalach. Ludzie mówią, że w dwa tysiące czwartym zabił Richiego Whelana.

– Ludzie tak mówią czy on?

Znowu wzruszenie ramion.

– Na jedno wychodzi.

– Dlaczego zabił Richiego Whelana?

– Słyszałam, że chciał zaimponować jakimś gościom

ze Stoughton Street.

– Ludziom Leo.

Spojrzała na niego. Jej twarz pod czarnym kapturem bluzy wyglądała jak biały księżyc.

– Tak mówią.

– Więc jest złym człowiekiem.

– Jak wszyscy.

– Nie. Nie wszyscy. Większość ludzi jest w porządku.

– Tak? – Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– Tak. Po prostu, no nie wiem, robią straszny bajzel, a jak usiłują go uporządkować, robi się z tego jeszcze większy bajzel i po jakimś czasie okazuje się, że to właśnie jest życie.

Pociągnęła nosem i zachichotała jednocześnie.

– I to wszystko, tak?

– Czasami tak. – Bob spojrzał na ciemnoczerwoną bliznę na jej szyi.

Zauważyła to.

– Czemu nigdy nie pytasz?

– Mówiłem ci... to by nie było uprzejme.

Uśmiechnęła się tym swoim łamiącym serce uśmiechem.

– Uprzejme? Kto się przejmuje manierami?

– Nikt – przyznał. Zabrzmiało to dość tragicznie, jakby zbyt wiele rzeczy, które powinny mieć znaczenie, straciło swoje miejsce. Człowiek budzi się pewnego dnia i nagle ich nie ma, jak kaset magnetofonowych czy papierowych gazet. – To Eric Deeds?

Pokręciła głową. Potem nią skinęła. Potem znowu pokręciła.

– Zrobił mi coś, jak dostał kolejnego... nie wiem, lekarze mówią na to „epizod maniackalny”. Nie przyjechałam tego spokojnie. W tamtym czasie źle się działo w moim życiu, nie chodziło tylko o niego...

– Chodziło.

– ...ale z całą pewnością to była kropla, która przelała czarę.

– Podcięłaś sobie gardło?

Parę razy kiwnęła głową.

– Byłam nieźle zrobiona.

– Sama sobie?

– Nożem introligatorskim. Wiesz, takim...

– Boże. Tak, wiem, jak wyglądają. Naprawdę sama to sobie zrobiłaś? – powtórzył.

Nadia patrzyła na niego przez chwilę.

– Byłam inną osobą. Rozumiesz, nie lubiłam siebie.

– A teraz lubisz?

Wzruszyła ramionami.

Bob zamilkł. Gdyby się teraz odezwał, zabiłby coś, co zasługiwało na życie.

Po chwili Nadia znowu na niego spojrzała swoimi błyszczącymi oczami i jeszcze raz wzruszyła ramionami.

Szli przez jakiś czas w ciszy.

– Widziałaś go kiedyś z Rocco?

– Co?

– No, widziałaś? Mieszkał w twojej okolicy.

– Nie, chyba nie.

– Chyba?

Cofnęła się o krok.

– Kim teraz jesteś, Bob? Bo nie sobą.

– Jestem sobą – zapewnił ją. Złagodził ton. – Widziałaś kiedyś Erica Deedsa z Rocco? – Znowu kilka szybkich skinieć głową, jakby ptak pił wodę. – Więc wiedziałaś, że to jego pies. – Nadal te same, szybkie ruchy głowy. – I że wyrzucił go do śmieci. – Bob westchnął cicho. – No tak.

Przeszli przez drewniany mostek nad wciąż zamrożoną rzeką. Lód stał się jasnoniebieski i cienki, ale ciągle nie pękał.

– Więc powiedział, że chce tylko dziesięć tysięcy? – odezwała się w końcu Nadia. Bob skinął głową. – A jeśli dasz mu te pieniądze?

– Ktoś za to zapłaci.

– Ty?

– I Marv. Obaj. Bar jest już przejęty.

– Zabiją was?

– Zależy. Zbiorą się – Czeczeni, Włosi, Irlandczycy. Pięciu, sześciu grubych facetów wypije wspólnie kawę na jakimś parkingu i podejmą decyzję. Dziesięć tysięcy – oprócz tych pięciu, które straciliśmy podczas napadu? Kiepsko to wygląda. – Spojrzał w blade niebo. – Z tym że mógłbym wskrobać własne dziesięć tysięcy. Oszczędzałem.

– Na co? Na co oszczędza Bob Saginowski? – Bob nie

odpowiedział i w końcu odpuściła. – Więc jeśli dasz mu te dziesięć tysięcy... – podjęła.

– To mu nie wystarczy.

– Ale o tyle prosił.

– Jasne. Ale nie tego chce. Wygłodzony człowiek widzi torbę chipsów, no nie? I to może jego jedyne chipsy w życiu. Jakby jadł trzy, cztery chipsy co cztery godziny, ta torba wystarczyłaby mu na, no nie wiem, jakieś pięć dni. Ale myślisz, że tak zrobi?

– Od razu zje całą torbę. – Bob skinął głową. – Co zamierzasz?

Rocco znowu wyrwał się w stronę rzeki i Bob przyciągnął go do siebie. Pochylił się i stuknął psa palcem w nos.

– Nie. Rozumiesz? Nie. – Spojrzał na Nadię. – Nie mam pojęcia.

Pan mnie zapamięta

Na tonącej w deszczu Causeway Street mecz Bruins dobiegał końca. Kuzyn Marv musiał zatrzymać samochód przy krawężniku; gliniarze wrzeszczeli na wszystkich, żeby jechali dalej, tłum sunął, potrącając hondę, klaksony taksówek ryczały, deszcz spływał po szybach jak gęsta zupa. Marv już miał ruszyć dalej, objechać dzielnicę, co w tych korkach zajęłoby mu pół godziny, kiedy Fitz wyłonił się z tłumy i zatrzymał się o parę kroków od samochodu, gapiąc się na Marva – blada, zapadnięta twarz pod ciemnym nieprzemakalnym kapturem.

Marv opuścił szybę sfatygowanej hondy w kolorze spłowiałego złota.

– Chodź. – Fitz został, gdzie był. – Co – rzucił Marv – myślisz, że nakładłem plastiku do bagażnika? – Otworzył bagażnik. – Sam zobacz.

Fitz zerknął, ale się nie ruszył.

– Nie wsiadę z tobą.

– Serio? Musimy pogadać.

– Mają mojego brata! – krzyknął Fitz przez deszcz.

Marv skinął głową.

– Głośniej, bo gliniarz na skrzyżowaniu chyba cię nie usłyszał. I ten za tobą też nie. – Fitz obejrzał się na młodego policjanta, który kierował ruchem parę metrów od niego. Na razie nie zwracał na nich uwagi. Ale to mogło się

zmienić. – To jakiś debilizm – powiedział Marv. – Jakieś dwa tysiące ludzi, w tym policja, widziało nas, jak gadamy przy samochodzie. Zimno jak skurwysyn. Wsiadaj.

Fitz zrobił krok w stronę samochodu i nagle stanął.

– Hej! Panie władzo! Panie władzo! – zawołał. Młody policjant odwrócił się w jego stronę. Fitz wskazał swoją pierś, a potem hondę. – Pan mnie zapamięta, dobra?

Policjant wskazał go palcem.

– Zabrać ten samochód!

Fitz otworzył drzwi, ale Marv go zatrzymał.

– Zamknij bagażnik.

Fitz zatrzasnął bagażnik i wsiadł do samochodu. Kuzyn Marv zamknął okno i ruszyli.

Fitz rozchylił kurtkę i pokazał trzydziestkęósemkę za paskiem.

– Tylko nic nie odpierdalaj. Nawet się nie waż. Słyszysz? Słyszysz mnie?

– Mama spakowała ci to do szkoły? – rzucił Marv. – Rany boskie, co się prowadzasz z tą spluwą? Odpieprzyło ci? Boisz się, że Meksykanie zabiorą ci pracę, a czarnuchy żonę? Tak?

– Kiedy ostatni raz widziałem brata żywego, wsiadł do samochodu z jakimś facetem.

– Twój brat pewnie też miał broń.

– Wal się, Marv.

– Słuchaj, Fitz, bardzo mi przykro. Naprawdę. Ale znasz mnie... nie jestem rewolwerowcem. Jestem zesranym ze strachu kierownikiem baru. Domagam się

odszkodowania za cały ten gówniany rok. – Marv wyjrzał przez okno, jadąc w przesuwającym się ślimaczo korku w stronę Storow Drive. Znowu zerknął na broń. – Wydaje ci się, że masz większego, jak mnie tak trzymasz na muszce?

– Jesteś gnojem, Marv – powiedział Fitz.

Marv zachichotał.

– Wielka mi nowość.

Kiedy dotarli na Storow i ruszyli na zachód, zrobiło się luźniej.

– Umrzemy – oznajmił Fitz. – Dotarło to już do ciebie?

– Kto nie ryzykuje, ten nie ma, Fitzy – odparł kuzyn Marv. – Zaryzykowaliśmy, no i faktycznie, nie najlepiej to wyszło.

Fitz zapalił papierosa.

– Ale?

– Ale wiem, gdzie będzie jutro dziupla na kasę z Super Bowl. To będzie kasa wszech czasów. Chcesz się na nich odegrać za brata? Podpieprz im milion.

– Kurwa, to samobójstwo – powiedział Fitz.

– W tej sytuacji i tak obaj czekamy na śmierć. Wolę uciekać z worem pieniędzy niż goły i bosy.

Fitz zastanawiał się, uderzając kolaniem o schowek na rękawiczki.

– Nie zrobię tego znowu, człowieku.

– Jak wolisz – powiedział kuzyn Marv. – Nie będę cię błagał, żebyś zechciał zarobić siedmiocyfrową sumę.

– Nawet nie zobaczyłem swojej działki za te parszywe pięć patyków z pierwszego razu.

– Przecież je macie.

– Bri je ma.

Na jezdni było już zupełnie luźno. Minęli Harvard Stadium, pierwszy stadion futbolowy w kraju, kolejne miejsce, które zdawało się drwić z Marva, kolejne miejsce, z którego by go wyrzucono, gdyby kiedykolwiek próbował się tam dostać. Takie już jest to miasto – co krok macha ci swoją historią przed nosem, żebyś czuł się w jej cieniu jeszcze mniej znaczący.

Kuzyn Marv skręcił na zachód wzdłuż rzeki. Na drodze nie było nikogo.

– W takim razie dam ci twoją działkę.

– Co? – spytał Fitz.

– Serio. Ale nie za darmo. Po pierwsze, nie mów ani słowa o tym, co ci powiedziałem. Po drugie, masz jakieś miejsce, w którym mogę przeczekać parę dni?

– Żyjesz na ulicy?

Usłyszeli metaliczne stukanie. Marv spojrzął w lusterko wsteczne. Kłapa bagażnika kołysała się na deszczu.

– Kurwa, no. Nie zamknąłeś bagażnika.

– Zamknąłem – powiedział Fitz.

– Niedokładnie.

Kłapa ciągle kłapała.

– I nie – dodał kuzyn Marv – nie żyję na ulicy, ale wszyscy wiedzą, gdzie mieszkam. Natomiast jeśli chodzi o ciebie, nawet ja nie znam twojego adresu.

Kłapa opadła i znowu się podniosła.

- Zamknąłem to dziadostwo – powiedział Fitz.
- Skoro tak mówisz.
- Dobra, zatrzymaj. Zamknę jeszcze raz.

Marv zjechał na parking przy Charles, o którym mówiono, że spotykają się tu pedzie, którzy w oficjalnym, dziennym życiu mają żony. Poza ich samochodem na całym parkingu stał tylko jeden stary grat, który wyglądał, jakby spędził tu tydzień. Stary śnieg na zderzaku przegrywał walkę z deszczem. Jest sobota, przypomniał sobie Marv, co znaczyło, że pedzie siedzą pewnie w domach z żonami i dziećmi, udając, że nie lubią fiutów i filmów z Kate Hudson. Parking ział pustką.

– Mogę u ciebie zamieszkać czy nie? – spytał Fitz. – Tylko dzisiaj, góra jutro?

Zatrzymał samochód.

– Nie u mnie – powiedział Fitz. – Ale znam pewne miejsce.

– Z kablówką? – spytał kuzyn Marv.

Fitz otworzył drzwi.

– Co proszę, kurwa?

Pobiegł na tył samochodu i zatrzasnął bagażnik. Wrócił do drzwi i obejrzał się gwałtownie, bo bagażnik znowu się otworzył. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie wściekłości. Znowu pobiegł na tył, chwycił obiema rękami klapę i zatrzasnął ją tak mocno, że cały samochód się zakołysał. Marv też.

Światło stopu, które oblewało jego twarz czerwienią, zgasło. Fitz napotkał spojrzenie Marva w lusterku

wstecznym i w tej ostatniej sekundzie zrozumiał. Nienawiść, która pojawiła się w jego oczach, wydawała się skierowana nie tyle na Marva, co na własną głupotę.

Honda zakołysała się, kiedy Marv wrzucił wsteczny i przejechał Fitza. Usłyszał skowyt, tylko jeden, w dodatku stłumiony. I łatwo było sobie wyobrazić, że to, co chrobocze o podwozie, to worek kartofli albo cholernie wielki świąteczny indyk.

– Kurwa, człowieku. – Przez szum deszczu Marv usłyszał własny głos. – Kurwa, kurwa, kurwa!

I jeszcze raz przejechał Fitza. Zahamował. Wrzucił wsteczny. I powtórzył manewr.

Po paru kolejnych razach zostawił zwłoki i pojechał na miejsce, gdzie stał jego własny samochód. Nie musiał usuwać odcisków palców z hondy – w zimie najlepsze jest to, że wszyscy noszą rękawiczki. Można się w nich położyć spać, a nikt się nie zdziwi. Już prędzej spyta, gdzie może takie dostać.

Wysiadł z hondy i spojrzał na leżące ciało. Ledwie je widział z tej odległości. Z daleka można by je wziąć za stertę mokrych liści albo starego śniegu, rozpływającego się na deszczu. Cholera, można by nawet pomyśleć, że to złudzenie optyczne.

Jestem niebezpieczny, uświadomił sobie Marv. Tak niebezpieczny, jak tylko może być niebezpieczny żyjący człowiek. Odebrałem życie.

Nie była to nieprzyjemna myśl.

Wsiadł do swojego samochodu i odjechał. Po raz drugi

w tym tygodniu przypomniał sobie, że musi kupić nowe wycieraczki.

Bob zszedł po schodach do piwnicy, niosąc szczeniaka w ramionach.

Główne pomieszczenie na dole było puste i idealnie czyste, kamienna posadzka i kamienne bielone ściany. Pod ścianą, naprzeciwko schodów, stał czarny kocioł olejowy. Bob minął go tak jak zwykle – szybko, ze spuszczoną głową – i zaniósł szczeniaka do drugiego, mniejszego pomieszczenia, gdzie przed wielu laty jego ojciec zainstalował zlew. Koło zlewu znajdowały się półki ze starymi narzędziami, butami i puszkami farby. Nad nim wisiała szafka. Bob postawił Rocco w zlewie. Otworzył szafkę. Przechowywał w niej farbę w sprayu, puszki i słoiki ze śrubkami i gwoździami, parę pojemników rozpuszczalnika.

Zdjął puszkę po kawie i postawił ją obok zlewu. Rocco przyglądał się Bobowi, kiedy ten wyjął z niej foliową torebkę ze śrubkami. Pod nią znajdował się zwitek studolarówek. Nie jeden, pięć. Bob zawsze myślał, że pewnego dnia po jego śmierci ktoś, kto przyjdzie uprzątnąć dom, znajdzie tę puszkę i zwinie pieniądze, przysięgając, że nikomu o tym nie powie. Ale oczywiście to się nigdy nie udaje i wkrótce po mieście zacznie krążyć legenda o facecie, który znalazł ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów w puszcze po kawie w piwnicy samotnego staruszka. Ta myśl z jakiegoś powodu zawsze sprawiała Bobowi przyjemność. Włożył zwitek do kieszeni, umieścił plastikową torebkę ze

śrubkami na dawnym miejscu i zamknął puszkę. Odstawił ją do szafki, którą zamknął na klucz.

Policzył pieniądze w tempie osiągalnym tylko przez barmanów i krupierów. Wszystko się zgadza. Dziesięć patyków. Powachlował zwitkiem przed nosem Rocco.

– Jesteś tyle wart? – Szczeniak spojrzał na niego, przechylając głowę. – No, nie wiem – dodał Bob. – To masa kasy. – Rocco oparł przednie łapy na krawędzi zlewu i skubnął nadgarstek Boba ostrymi jak szpileczki mlecznymi ząbkami. Bob chwycił go wolną ręką i przytulił twarz do jego pyska. – Żartuję, żartuję. Jesteś tego wart.

Wyszedł z Rocco z małego pomieszczenia. Tym razem przystanął przy czarnym zbiorniku na benzynę. Stał przed nim przez chwilę ze spuszczoną głową. W końcu ją podniósł. Po raz pierwszy od lat spojrzał wprost na kocioł. Rury, które niegdyś były do niego przytwierdzone – dopływowa, doprowadzająca olej i grzewcza – dawno zostały usunięte, a otwory po nich zasklepione. W kotle zamiast oleju znajdowały się ług, sól kamienna i na tym etapie już tylko kości. Nagie kości.

W najstraszniejszych chwilach, kiedy wiara i nadzieja niemal go opuszczały, kiedy rozpacz porywała go do tańca i przygniatała go w nocy do łóżka, Bob czuł, że od jego mózgu odrywają się części, jak osłony termiczne odpadające od statku kosmicznego, który musnął asteroidę. Wyobrażał sobie, jak te części jego mózgu wirują w przestrzeni, by nigdy nie wrócić. A jednak wróciły. A wraz z nimi wróciło prawie całe jego ja.

Wszedł z Rocco po schodach i po raz ostatni spojrzął na kocioł.

Pobłogosław mnie, ojcze...

Wyłączył światło. W ciemnościach słyszał dwa oddechy, swój i psa.

...bo zgrzeszyłem.

Odbicia

Niedziela Super Bowl.

W ten dzień wydawano na zakłady więcej pieniędzy niż przez resztę roku na finały koszykówki NCAA, Kentucky Derby, finały NBA, rozgrywki o Puchar Stanleya i mecze finałowe ligi MLB razem wzięte. Gdyby nie znano jeszcze banknotów, trzeba by je wynaleźć tylko po to, żeby jakoś ogarnąć to wszystko, co stawiano tego dnia. Drobne staruszki, które nie odróżniłyby autu od auta, nagle dostawały przeczucia, że drużyna Seahawks niechybnie wygra. Gwatemalscy nielegalni imigranci sprzątający na budowach uważali Manninga za odpowiednik Zbawiciela. Wszyscy robili zakłady, wszyscy oglądali Super Bowl.

Bob, czekający w domu na wizytę Erica Deedsa, pozwolił sobie na drugą filiżankę kawy, bo wiedział, że będzie to najdłuższy dzień roku. Rocco leżał u jego stóp, ciamkając zabawkę. Bob położył dziesięć tysięcy dolarów na środku stołu. Ustawił krzesła jak należy. To, na którym siedział, znajdowało się w pobliżu szuflady z trzydziestkądwójką jego starego. Na wszelki wypadek. Otworzył szufladę i zajrzał do niej. Wysunął ją i zamknął po raz dwudziesty, żeby się upewnić, że nie utknie. Usiadł i usiłował skupić się na „Globe”, a potem na „Heraldzie”. Położył ręce na blacie.

Eric się nie pojawił.

Bob nie wiedział, jak ma to rozumieć, ale ta świadomość nieprzyjemnie ścisnęła mu żołądek, rozsiadła się w nim jak krab przebierający ze strachu drapiącymi odnóżami.

Czekał i czekał, ale w końcu zrobiło się za późno. Zostawił broń w szufladzie. Schował pieniądze w foliową torebkę i wsunął ją do kieszeni kurtki. Wziął smycz. W samochodzie położył złożoną klatkę na tylnym siedzeniu wraz z kocykiem, miską, kilkoma zabawkami i karmą. Wyścielił ręcznikiem siedzenie dla pasażera, posadził na nim szczeniaka i ruszył do pracy.

Przed domem Marva Bob zamknął starannie samochód, upewnił się, że alarm jest włączony, zostawił śpiącego w środku Rocco i zapukał do drzwi kuzyna.

Otworzyła mu Dottie, która właśnie wkładała płaszcz. Bob stanął w korytarzu obok niej, otrzepując buty z soli.

– Dokąd się wybierasz? – spytał.

– Do pracy – odparła Dottie. – W weekendy płacą więcej za godzinę, Bobby.

– Myślałem, że przeszłaś na wcześniejszą emeryturę.

– I co bym miała robić? Popracuję jeszcze parę lat w nadziei, że zapalenie żył mi się nie pogorszy, i zobaczymy, co dalej. Zmusz mojego braciszka, żeby coś zjadł. Zostawiłam talerz w lodówce.

– Dobrze – powiedział Bob.

– Musi go wstawić na półtorej minuty do mikrofal. Miłego dnia.

- Tobie także, Dottie.
- Idę do pracy! – ryknęła Dottie w głąb domu.
- Dobrego dnia, Dot! – odkrzyknął kuzyn Marv.
- Tobie także! – wrzasnęła Dottie. – Zjedz coś!

Dottie i Bob wymienili pocałunek w policzek i kobieta wyszła.

Bob poszedł do salonu. Kuzyn Marv leżał w fotelu, gapiąc się w telewizor. Nadawali program sportowy. Dan Marino i Bill Cowher, wystrojeni w garnitury za cztery tysiące dolarów, typowali drużyny.

– Dottie mówi, że musisz coś zjeść – powiedział Bob.

– Dottie strasznie dużo mówi – odparł kuzyn Marv. –

W dodatku na pełny, kurwa, regulator.

– Może musi, żebyś zaczął słuchać.

– A co to ma niby znaczyć? – spytał kuzyn Marv. – Bo wolno kojarzę.

– Dziś jest najważniejszy dzień roku, a ty nie odbierasz telefonów.

– Nie przyjdę do roboty. Zadzwoń do agencji kelnerów.

– Zadzwoń do agencji – przedrzeźniał go Bob. – Jezu. Już to zrobiłem. To Super Bowl!

– No to do czego mnie potrzebujesz?

Bob usiadł w drugim fotelu. Jako dziecko lubił ten pokój, ale kiedy pomimo upływu czasu nie zmieniało się tu nic z wyjątkiem nowego telewizora co pięć lat, zaczęło mu się tu robić smutno. Salon wyglądał jak strona kalendarza, której nikt już nie odwraca.

– Nie potrzebuję cię – powiedział. – Ale chcesz zrezygnować z największych napiwków w roku?

– A, czyli teraz pracuję dla napiwków. – Kuzyn Marv miał na sobie idiotyczną czerwono–biało–niebieską bluzę i takie same dresy. – Widziałeś nazwisko na szyldzie? Należy do mnie. A wiesz dlaczego? Bo kiedyś byłem właścicielem tego baru.

– Pielęgnujesz tę urazę jak jedyne zdrowe płuco – powiedział Bob.

Kuzyn Marv odwrócił gwałtownie głowę i łypnął na niego wściekle.

– Od kiedy masz tego psa, który chyba myli ci się z dzieckiem, zrobiłeś się cholernie wygadany.

– Nie zmienisz tego. Oni cię przycisnęli, ty straciłeś czujność i po sprawie. Przepadło.

Kuzyn Marv sięgnął do dźwigni z boku fotela.

– Nie ja zmarnowałem całe życie, czekając, aż się zacznie.

– O mnie mówisz? – spytał Bob.

Kuzyn Marv pociągnął za dźwignię i opuścił podnózek.

– Tak. Więc wal się razem ze swoimi smętnymi marzeniami. Kiedyś ludzie się mnie bali. Ten zasrany stołek, na którym pozwalasz teraz siadać tej starowinie, kiedyś należał do mnie. I nikt nie ważył się go zająć, bo to było miejsce kuzyna Marva. To coś znaczyło.

– Nie, Marv – powiedział Bob. – To był tylko stołek. – Kuzyn Marv znowu spojrzał na ekran. Boomer i JB

podgrzewali atmosferę. Bob pochylił się i powiedział bardzo cicho, lecz wyraźnie: – Znowu robisz coś szalonego? Marv, posłuchaj. Posłuchaj uważnie. Chcesz zrobić coś, czego tym razem nie będziemy mogli zatuszować?

Kuzyn Marv odchylił się na oparciu fotela. Podnózek znowu się podniósł. Nie patrząc na Boba, Marv zapalił papierosa.

– Weź stąd spieprzaj. Mówię serio.

Bob wniósł do baru klatkę, wymościł ją kocem, wrzucił do niej zabawki, ale pozwolił Rocco biegać przez chwilę swobodnie. Szczeniak mógł najwyżej postawić gdzieś klocek, a na to mieli środki czyszczące i szlauch.

Bob stanął za barem. Wyjął z kurtki torebkę z dziesięcioma tysiącami dolarów i położył ją na półce obok tej samej półautomatycznej dziewiątki, której kuzyn Marv tak rozważnie nie chwycił na widok złodziei. Odsunął pieniądze i broń w cień, chowając je za opakowanymi w folię podstawkami pod kufle. Przed nimi dodał drugi pakiet podstawek.

Rocco zaglądał w każdy zakątek, węsząc. Bawił się jak nigdy w życiu. Nieobecność Marva w miejscu, w którym powinien się znajdować, akurat w tym dniu sprawiała, że cały świat wydawał się Bobowi niepewny jak lotne piaski. Żadnego punktu oparcia dla stóp. Żadnego bezpiecznego miejsca.

Jak do tego doszło?

Dopuszcieś świat do siebie, Bobby, odezwał się głos,

który strasznie przypominał głos jego matki. Dopuszcili ten ociekający grzechem świat do siebie. A co ukrywa świat pod płaszczem? Tylko mrok.

Ale, mammo...?

Tak, Bobby?

Nadszedł czas. Nie mogę żyć tylko dla tamtego świata. Muszę trochę pożyć na tym.

Tak mawiają upadli. Tak mawiają od początku świata.

Strażnicy wprowadzili wynędzniałego Tima Brennana do sali widzeń w więzieniu Concord i posadzili go naprzeciwko Torresa.

– Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać – powiedział Torres.

– Zaraz zacznie się mecz – oznajmił Brennan. – Nie chcę, żeby zajęli mi krzesło.

– Bez obaw. Za moment wyjdę. Co może mi pan powiedzieć o Richiem Whelanie?

Brennan zaniósł się gwałtownym, spazmatycznym kaszlem, jakby tonął we flegmie i żyletkach. Gdy w końcu zdołał go opanować, przez kolejną minutę trzymał się za pierś, ledwie zapiąc. Kiedy znów spojrział na Torresa, miał oczy człowieka, który widział już drugą stronę.

– Mówię dzieciom, że to grypa żołądkowa. Nie wiemy, jak im powiedzieć, że złapałem tu AIDS. Dlatego będziemy je okłamywać do chwili, gdy dojrzeją do prawdy. Którą wersję pan woli?

– Słucham?

– Historię o nocy, w której zginął Richie Whelan? Czy

prawdę?

Torres poczuł mrowienie skóry na głowie, jak zawsze, kiedy dochodził do przełomu w sprawie, ale zachował nieprzeniknioną minę i miłe, pełne akceptacji spojrzenie.

– To, co chce mi pan dziś opowiedzieć.

Eric Deeds włamał się do domu Nadii za pomocą karty kredytowej i malutkiego śrubokręta do śrubek w okularach. Wymagało to czternastu prób, ale na ulicy nie było żywej duszy, więc nikt go nie widział. Wszyscy przynieśli już do domów zakupy – piwo, chipsy, dipy i salsę, skrzydełka kurczące, żeberka oraz popcorn – a teraz siedzieli przed telewizorami i czekali na mecz, który miał się rozpocząć za trzy godziny, no ale kto by się tym przejmował, kiedy zaczęło się pić w południe?

Gdy w końcu znalazł się w środku, przystanął i zaczął nasłuchiwać odgłosów domu, chowając śrubokręt i kartę, która mocno ucierpiała. Ale pieprzyć to, i tak bank mu ją zablokował wiele miesięcy temu.

Ruszył korytarzem, otwierając drzwi salonu, jadalni, łazienki i kuchni. Wszedł na piętro do sypialni Nadii. Skierował się prosto do szafy. Przejrzał jej ubrania. Parę powąchał. Pachniały nią – słabą mieszaniną pomarańczy, wiśni i czekolady. Nadia tak pachniała.

Na chwilę usiadł na łóżku.

Wstał, stanął przed jej lustrem i przeczesał włosy palcami.

Podniósł kołdrę. Zdjął buty. Położył się na łóżku w pozycji embrionalnej, nakrył się kołdrą. Zamknął oczy.

Uśmiechnął się. Poczuł, że ten uśmiech dociera do jego krwi i opływa wraz z nią całe ciało. Czuł się bezpiecznie. Jakby wrócił do łona. Jakby znowu potrafił oddychać pod wodą.

Po odejściu tego zasranego spokrewnionego z nim gnojka Marv wrócił do pracy przy kuchennym stole. Ułożył na nim kilka zielonych worków na śmieci i starannie skleił je mocną taśmą. Wyjął z lodówki piwo i wypił pół puszki, z wzrokiem utkwionym w worki. Jakby mógł się wycofać. Nie było odwrotu. Od samego początku.

Co pod pewnymi względami jest do dupy, bo stojący w swojej dziadowskiej kuchni Marv uświadomił sobie, że będzie strasznie tęsknić. Za siostrą, za tym domem, nawet za barem i kuzynem Bobem. Ale nie dało się tego naprawić. Życie jest pełne wyrzutów sumienia. A niektóre z tych wyrzutów sumienia – na przykład te, które nachodzą człowieka na plaży w Tajlandii, w odróżnieniu od tych, które się ma na cmentarzu w Nowej Anglii – łatwiej przełknąć niż pozostałe.

Tajlandia. Marv uniósł puszkę piwa w toaście.

Eric siedział na sofie w salonie Nadii. Pił colę, którą znalazł w jej lodówce – właściwie w ich lodówce, wkrótce to będzie ich lodówka – i wpatrywał się w spłowiałą tapetę, pewnie niezmieloną od narodzin Nadii. Ona pierwsza stąd wyleci, ta tapeta z lat siedemdziesiątych. Lata siedemdziesiąte się skończyły, skończył się nawet dwudziesty wiek. Nadeszły nowe czasy.

Dopił colę, zaniósł puszkę do kuchni i zrobił sobie

kanapkę z wędliną, którą znalazł w lodówce.

Od strony drzwi dobiegł go jakiś odgłos.

Odwrócił się i zobaczył ją.

Nadia patrzyła na niego. Oczywiście ze zdziwieniem, ale bez strachu. Z życzliwością. Ciepło i przychylnie.

– O, cześć – powiedział. – Jak leci? Trochę się nie widzieliśmy. Wchodź, siadaj. – Została tam, gdzie była. – Nie, no usiądź – poprosił. – Usiądź. Chcę ci o czymś opowiedzieć. Mam plany. Tak. Plany. Wiesz? Nowe wspaniałe życie czeka na, na, na tych... na odważnych.

Pokręcił głową. Nie ujął tego najlepiej. Zamknął oczy, znowu spojrzął na drzwi. Nikogo tam nie było. Wyteńczył wzrok i patrzył tak długo, aż znów się zmaterializowała. Tym razem nie miała na sobie dżinsów i spłowiałej kraciastej koszuli, lecz ciemną sukienkę w malutkie groszki, a jej skóra... jej skóra lśniła. – O, hej! – powiedział radośnie. – Jak leci, dziewczyno? Wejdz, usią...

Urwał, słysząc zgrzyt klucza w zamku. Drzwi otworzyły się, potem zamknęły. Usłyszał szmer ocierającej się o ścianę torebki, która wisiała na wieszaku. Brzęk kluczy odłożonych na stół. Głuchy stuk zdejmowanych butów.

Poprawił się na krześle, żeby wyglądać swobodnie, nonszalancko. Strzepnął okruszki chleba z ręki i sprawdził, czy nie ma rozczochranych włosów.

Weszła Nadia. Prawdziwa Nadia. W bluzie z kapturem, podkoszulku i bojówkach khaki. Eric wolał mniej lesbijski styl. Już on ją tego oduczy.

Zobaczyła go i otworzyła usta.

– Nie krzycz – rzucił.

Jakieś cztery godziny przed rozpoczęciem meczu zaczęło się robić gorąco. Dobrze się złożyło, że akurat wtedy pojawiła się wynajęta ekipa barowa. Zabrali się do roboty, wkładając fartuchy i ustawiając szklanki. Bob rozmawiał z ich zwierzchnikiem, rudym kołesiem z twarzą bladą jak księżyc w pełni, z tych, co się nie starzeją. – Zostali wynajęci do północy – powiedział koleś. – Po tej godzinie płacicie ekstra. Dałem wam dwóch pomocników do brudnej roboty. Będą nosić skrzynki, wyrzucać śmieci, kruszyć lód. Jak poprosicie o to któregoś z barmanów, zaczniesz cytować swoje prawa jak Księgę Ezechiela.

Podał Bobowi umowę, a Bob ją podpisał.

Zwierzchnik barmanów minął się w drzwiach z pierwszym kurierem, który rzucił na bar gazetę z kopertą wyglądającą spomiędzy stron. Bob zgarnął ją i wrzucił kopertę do szafki pod kasą. Kiedy się odwrócił, kuriera już nie było. Same konkrety, zero gadania. Taka to noc.

Kuzyn Marv podszedł do samochodu. Otworzył bagażnik. Wyłożył jego puste wnętrze sklejonymi taśmami workami na śmieci. Przykleił je do krawędzi bagażnika. Wrócił do domu, zabrał z przedpokoju pikowaną kołdrę. Rozłożył ją w bagażniku. Przez parę chwil oceniał swoje dzieło. Potem zamknął bagażnik, położył walizkę na przednim siedzeniu i zamknął drzwi.

Wrócił do domu, żeby wydrukować bilety na samolot.

Tym razem gdy Torres zatrzymał samochód przed

nieoznakowanym policyjnym wozem w Penitentiary Park, Romsey była sama. Przez głowę przemknęła mu myśl, że może by to zrobili klasycznie na tylnym siedzeniu, udając, że przyjechali do kina, że są głupimi nastolatkami, które czekają, aż życie się przed nimi otworzy, że na razie są gładcy i nieskalani bliznami błędnych decyzji i szramami małych i wielkich złych nawyków.

W zeszłym tygodniu ich poniosło. Oczywiście przez alkohol. Po wszystkim Romsey spytała:

- Czyli jestem taką osobą?
- Dla mnie? Nie, *chica*, jesteś...
- Dla mnie. Czy uważam siebie za taką osobę?

Nie zrozumiał, co to ma znaczyć, do kurwy nędzy, ale wiedział, że nic dobrego, więc nie narzucał się jej aż do dziś, kiedy rano do niego zadzwoniła i kazała mu przywlec dupsko do Penitentiary Park.

Po drodze ułożył sobie przemowę, na wypadek gdyby miała ten sam wyraz oczu, co wtedy, kiedy to zrobili, jakby spoglądała w jamę w samym środku swojego ja.

Kochanie, zamierzał powiedzieć, jesteśmy jak swoje odbicia. Dlatego nie możemy się oceniać. Spoglądamy na siebie i nie wydajemy osądu. Nie potępiamy. Tylko akceptujemy.

W barze, kiedy siedział samotnie i obmyślał te słowa, brzmiało to lepiej. Ale wiedział, że kiedy spojrzy w jej oczy i zaczerpnie z nich siłę, uwierzy w każde słowo. I zdoła jej sprzedać każdy tekst.

Kiedy otworzył drzwi i usiadł na miejscu dla pasażera,

zauważył, że Romsey jest wystrojona. Ciemnozielona jedwabna sukienka, czarne szpilki, czarny płaszcz, chyba kaszmirowy.

– Wyglądasz jak ciasteczko. Cholera.

Romsey przewróciła oczami. Sięgnęła między siedzenia, wyjęła teczkę i rzuciła mu ją na kolana.

– Akta Erica Deedsa z psychiatrika. Masz trzy minuty. I byłoby lepiej, żebyś nie miał tłustych paluchów. – Torres uniósł dłonie i poruszył palcami. Romsey zaczęła nakładać róż na policzki, przeglądając się w lusterku wstecznym. – Lepiej już zacznij czytać – ponagliła, czując na sobie jego wzrok.

Torres otworzył teczkę z napisem „Deeds, Eric” i zaczął ją przeglądać.

Romsey wyjęła szminkę i zabrała się do malowania ust.

– Nie rób tego – odezwał się Torres, wpatrzony w akta. – *Chica*, masz usta bardziej czerwone niż jamajski zachód słońca i obfitsze niż birmański pyton. Nie spieprz ideału. – Spojrzała na niego. Wydawało mu się, że się wzruszyła. Ale i tak umalowała wargi. Torres westchnął. – To jakbyś zachlastała ferrari farbą olejną. W ogóle dla kogo się tak stroisz?

– Dla takiego jednego.

Odwrócił stronę.

– Dla takiego jednego. Jakiego jednego?

– Wyjątkowego – powiedziała i coś w jej głosie kazało mu na nią spojrzeć. Po raz pierwszy zauważył, że

wyglądała nie tylko seksownie, ale też zdrowo. Jakby coś ją rozświetlało od środka.

To światło wypełniało cały samochód. Jak mógł go nie zauważyć od razu?

– Gdzie poznałaś tego wyjątkowego gościa?

Wskazała teczkę.

– Czytaj. Czas ucieka.

Wrócił do akt.

– Mówię serio. Ten wyjątkowy gość. Czy... – Urwał. Przebiegł wzrokiem listę z datami pobytu Deedsa w więzieniach i szpitalach psychiatrycznych. Miał wrażenie, że coś mu się przywidziało. Przewrócił kartkę, potem drugą. – Ażebym tak z piekła nie wyjrzał.

– Jakbyś już w nim nie był. – Romsey wskazała akta. – Pomogło?

– Nie wiem. Na pewno znalazłem odpowiedź na jedno zajeście ważne pytanie.

– To chyba dobrze?

Wzruszył ramionami.

– Znalazłem odpowiedź na jedno pytanie oraz całą masę nowych pytań. – Torres zamknął teczkę. W żyłach czuł lodowaty ziąb Atlantyku. – Muszę się napić. Postawić ci?

Romsey spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Mam inne plany, Evandro.

– To je zmień.

Pokręciła głową powoli i ze smutkiem.

– Co do tego wyjątkowego faceta... Znam go prawie

całe życie. Był moim przyjacielem, wiesz? Bardzo długo. Wyprowadził się, ale utrzymywaliśmy kontakt. Małżeństwo mu nie wyszło, znowu tu przyjechał. Aż parę tygodni temu umówiłam się z nim na kawę i zrozumiałam, że kiedy na mnie patrzy, widzi mnie.

– Ja też cię widzę.

Pokręciła głową.

– Ty widzisz tylko tę moją stronę, która jest do ciebie podobna. A to nie jest moja najlepsza strona, Evandro. Przykro mi, ale mój przyjaciel... mój przyjaciel patrzy na mnie i widzi to, co we mnie najlepsze. I raptem, nie wiadomo skąd... – Wzruszyła ramionami. – Miłość.

Torres patrzył na nią przez chwilę. Oto, bez ostrzeżenia – koniec wszystkiego między nimi. To, co między nimi było – cokolwiek to było – przestało istnieć.

Oddał jej teczkę. Wysiadł z nieoznakowanego radiowozu, a ona odjechała, zanim zdążył dotrzeć do swojego samochodu.

Zamknięcie

Kurierzy przychodzili i wychodzili. Drzwi nie zamykały się przez całą noc. Bob wrzucił do szafki pod kasą tyle pieniędzy, że ten odgłos miał mu się śnić do końca życia.

Tuż po pierwszej połowie meczu jego spojrzenie padło na niespodziewaną lukę w tłumie, gdzie Eric Deeds siedział przy rozchwianym stoliku pod lustrem z reklamą piwa Narrangansett. Wyciągał rękę nad blatem, a kiedy Bob przyjrzał się uważniej, dostrzegł, że Deeds trzyma tą ręką czyjaś dłoń. Bob musiał zmienić miejsce za barem, żeby wyjrzeć zza grupy pijaków, i natychmiast pożałował, że to zrobił. Że przyszedł do pracy. Że w ogóle wstał z łóżka od Bożego Narodzenia. Że nie może cofnąć czasu do dnia, zanim poszedł tą ulicą i znalazł Rocco przed jej domem.

Przed domem Nadii.

To ręki Nadii dotykał Deeds. To Nadia spoglądała na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Bob, napełniając szklanek lodem, czuł się tak, jakby wsypywał te kostki do własnej piersi, jakby wypełniały mu żołądek i prześlizgiwały się po plecach. Właściwie co wiedział o Nadii? Tyle że znalazł na wpół żywego psa w śmietniku przed jej domem. Że coś – nie wiadomo co – łączyło ją z Erikiem Deedsem i że Eric Deeds znowu

pojawił się w jej życiu. Wiedział, że w rubryce „hobby” może mieć wpisane „kłamstwa” lub „przemilczenia”. Może ta blizna na jej szyi nie jest pamiątką po ranie zadanej własną ręką, lecz po ostatnim facecie, którego szukała.

Pewnego ranka, gdy Bob miał dwadzieścia osiem lat, wszedł do sypialni matki, żeby obudzić ją na niedzielną mszę. Nie odtrąciła jego ręki, kiedy nią potrząsnął. Wtedy obrócił ją ku sobie i zobaczył jej wykrzywioną twarz, zaciśnięte powieki, skórę szarą jak beton. Przysnęła gdzieś między serialem o policjantach a wiadomościami o jedenastej i obudziła się, czując miażdżącą jej serce dłoń Boga. Pewnie nie mogła nawet zaczerpnąć powietrza, żeby krzyknąć. Sama, w ciemnościach, zaciskająca palce na pościeli, zaciskająca powieki ze straszną świadomością, że właśnie wszystko się kończy. Stojąc nad nią i wyobrażając sobie ostatnie uderzenie jej serca, ostatnie rozpaczliwe życzenie, jakie zdołał sformułować jej mózg, Bob poczuł rozpacz, której nie spodziewał się doznać już nigdy więcej.

Aż do dziś. Do tej chwili. Do momentu, w którym zrozumiał, co oznacza wyraz twarzy Nadii.

W trzech czwartych meczu Bob podszedł do grupy facetów przy barze. Jeden z nich stał tyłem do niego i jego widziana od tyłu głowa wydała się znajoma. W chwili gdy Bob miał już odgadnąć, kto to, Rardy odwrócił się z szerokim uśmiechem.

– Jak leci, Bobby, staruszkule?

– My, my... – zająknął się Bob – myśmy się o ciebie

martwili...

Rardy skrzywił się komicznie.

– Wy, wy, wyście się martwili? Daj nam siedem piw i siedem setek cuervo.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz.

– Dlaczego miałbym nie żyć? Po prostu nie chciało mi się pracować w miejscu, gdzie o mało mnie nie zabili. Powiedz Marvowi, że mój prawnik się do niego odezwie.

Bob zauważył, że Eric Deeds toruje sobie drogę w tłumie, zmierzając do drugiego końca baru. Ten widok sprawił, że pojawiło się w nim coś nowego, coś niemiłosiernego.

– Może powiem Chovce o twoim zażaleniu. Przekażę to szefostwu. Co sądzisz? Dobry pomysł?

Rardy roześmiał się z goryczą, siląc się na pogardę, choć nie zdołał wykrzesać z siebie nawet jej imitacji. Parę razy pokręcił głową, jakby Bob czegoś nie rozumiał, jakby nie rozumiał niczego.

– Daj nam piwo i tequilę.

Bob oparł się o bar, pochylił się tak blisko Rardy'ego, że poczuł zapach alkoholu w jego oddechu.

– Chcesz drinka? Złap barmana, który nie wie, jaki z ciebie gnojek.

Rardy osłupiał. Bob odszedł, nie dając mu oprzytomnieć. Minał kilku wynajętych barmanów i stanął po drugiej stronie baru, patrząc na zbliżającego się Erica Deedsa.

– Wódkę z lodem, staruszkule – rzucił Eric. – I białe

wino dla pani.

Bob nalał alkohol.

– Nie przyszedłeś rano.

– Nie? No wiesz...

– Czyli nie chcesz pieniędzy.

– Przyniosłeś?

– Co przyniosłem?

– Przyniosłeś. Jesteś z tych.

– Z których?

– Z tych, co przynoszą ze sobą pieniądze.

Bob podał mu wódkę i nalał kieliszek chardonnay.

– Dlaczego tu przyszła?

– Jest moją dziewczyną. Dwa serca złączone, klucz rzucony, kurwa, w morze.

Bob postawił kieliszek przed Erikiem. Pochylił się ku niemu. Eric także się pochylił.

– Dasz mi ten świstek i możesz odejść z pieniędzmi – powiedział Bob.

– Jaki świstek?

– Dokument od mikrochipa. Przepiszesz go na mnie. Z zezwoleniem na psa.

– Niby dlaczego?

– Bo ci za to zapłacę. To według ciebie dobra umowa?

– No, jest to jakaś umowa... – powiedział Eric.

Rozległ się dzwonek jego komórki. Eric spojrział na nią i uniósł palec. Wziął drinki i wrócił do stolika.

Peyton Manning powiększył listę osób, które wydymały kuzyna Marva. Skurwiel wyszedł na boisko z tą

swoją ręką wartą miliard dolarów i z kontraktem na miliard dolarów i zesrał się na widok obrony Seahawks. Tego wieczora zaistniały dwa rodzaje dymania – Seattle wydymało Denver, a Denver wszystkich tych, którzy obdarzyli go zaufaniem. Marv, który należał do tych ostatnich – bo jaki jest sens w wystrzeganiu się złych nawyków, kiedy człowiekowi odpieprzyło na tyle, żeby okraść mafię czeczeńską na parę milionów dolarów? – stracił na tym zakładzie pięćdziesiąt tysięcy.

Jednak nie odpieprzyło mu aż tak, żeby zamierzał spłacić ten dług. A jeśli Leo Coogan i jego chłopaki z Upham Corner poczują się w związku z tym urażeni, niech wezmą numerek i staną w kolejce.

Marv zadzwonił z kuchennego telefonu do tego małego Deedsa, żeby dowiedzieć się, kiedy zamierza pójść do baru. Wiadomość, że młody jest tam od godziny, wstrząsnęła nim i przejęła mdłościami.

– Co ty odpierdalasz?

– A gdzie miałem być? – spytał Deeds.

– W domu. Żeby nikt cię nie zauważył do chwili, kiedy, no wiesz, przyjdiesz okraść bar.

– Nikt mnie nie zauważył, więc wyluzuj.

– Po prostu w głowie się nie mieści – jęknął Marv.

– Co?

– To takie proste – miałeś się pojawić w wyznaczonym czasie, zrobić robotę i wyjść. Dlaczego nikt już, kurwa, nie trzyma się planu? To wasze pokolenie codziennie uzupełnia sobie braki ADHD przed wyjściem z domu?

Marv sięgnął do lodówki po kolejne piwo.

– O to się nie martw. Wiem, co myśli.

– Kto?

– Bob.

– Gdybyś wiedział, tobyś krzyczał, a nie krzyczysz. –

Marv otworzył piwo i wysilił się na łagodniejszy ton. Lepiej mieć wyluzowanego partnera niż takiego, którego się wkurwiło. – Słuchaj, wiem, jaki on się wydaje, ale szczerze ci radzę, nie rozjuszaj go. Zostaw go w spokoju i nie zwracaj na siebie uwagi.

– No to co mam robić przez parę następnych godzin?

– Siedź w barze. Nie chlej za dużo, bądź trzeźwy, a o drugiej spotkamy się na zapleczu. To według ciebie dobry plan?

Eric roześmiał się nerwowo i jednocześnie dziewczynsko, jakby z żartu, którego nikt oprócz niego nie usłyszał, a gdyby usłyszał, to i tak by nie zrozumiał.

– Jest to jakiś plan – powiedział i rozłączył się.

Marv zagapił się na słuchawkę. Ta współczesna młodzież! Całe to pokolenie najwyraźniej poszło na wagary w dniu, kiedy w szkole uczono odpowiedzialności.

Po meczu w barze zrobiło się o wiele luźniej, choć ci, którzy zostali, byli głośniejsi, bardziej pijani i robili w ubikacji większy chlew.

Po jakimś czasie nawet oni zaczęli wychodzić. Rardy'emu urwał się film przy stole bilardowym i jego kumple wywlekli go z baru. Jeden z nich przez cały czas rzucał Bobowi przepraszające spojrzenia.

Bob od czasu do czasu zerkał na Erica i Nadię. Nadal siedzieli przy tym samym stoliku i rozmawiali. Po każdym spojrzeniu Bob czuł się coraz mniejszy. Gdyby spojrział na nich jeszcze ze trzy razy, pewnie by zniknął.

Po czterech wódkach Eric poszedł w końcu do łazienki, a Nadia zbliżyła się do baru.

Bob pochylił się do niej.

– Jesteś z nim?

– Co? – rzuciła.

– Jesteś? Powiedz szczerze.

– Dobry Boże, co? Nie. Nie. Nie jestem z nim. Nie, nie, nie. Bob... Przyszłam dziś do domu, a on czekał w mojej kuchni z bronią za paskiem jak jakiś kowboj. Powiedział, że muszę z nim przyjść, żeby się z tobą spotkać.

Bob pragnął jej uwierzyć. Pragnął tego tak bardzo, że omal nie połamał sobie zębów. Czuł, że za chwilę bryzną mu z ust i rozsypią się po całym barze. W końcu spojrział Nadii głęboko w oczy i zobaczył coś, czego nie potrafił w pełni rozpoznać – z pewnością nie było to podniecenie, poczucie wyższości czy gorzki uśmiech zwycięzcy. Może coś gorszego – rozpacz.

– Nie mogę dalej sam.

– Czego nie możesz?

– To za trudne, wiesz? Odsiedziałem tu dziesięć lat – dzień w dzień – bo uważałem, że jakoś będzie się to liczyć na tamtym świecie, rozumiesz? Że będę mógł zobaczyć mamę i starego i tak dalej. Tylko coś mi się nie zdaje, żeby

mi wybaczone. Nie sędę. Ale, ale... samotność na tamtym i jeszcze na tym świecie?

– Nikt nie powinien być sam. Bob... – Przykryła dłonią jego rękę. Przelotnie, ale wystarczyło. Wystarczyło. – Nikt.

Eric wyszedł z toalety. Skierował się do baru. Wskazał kciukiem Nadię.

– Bądź dobrą suczką i przynieś nasze drinki, dobra?

Bob odszedł, żeby przyjąć zapłatę od klienta.

Za kwadrans druga zrobiło się pusto. Zostali tylko Eric z Nadią i Millie, która punktualnie za pięć druga miała pokuśtykać do domu starców na Edison Green. Poprosiła o popielniczkę i Bob przysunął ją na barze, a ona siedziała, na zmianę pijąc i paląc, ze stożkiem popiołu na końcu papierosa, zakrzywionym w dół jak szpon. Eric uśmiechnął się do Boba, odsłaniając wszystkie zęby, i wycedził przez nie cicho: – Kiedy ta stara się zwinie?

– Za parę minut – odpowiedział Bob. – Po co ją przyprowadziłeś?

Eric spojrzał na Nadię, skuloną na stołku obok niego. Pochylił się nad barem.

– Powinieneś wiedzieć, że jestem poważnym człowiekiem.

– Wiem, że jesteś.

– Tak ci się wydaje, ale nie wiesz. Jeśli zaczniesz świrować – choćby tylko trochę – zgwałcę ją, tak że się zesra. A jeśli masz jakieś plany typu „Eric już stąd nie wyjdzie”... Jeśli masz pomysły w tym duchu, mój partner

ze sprawy Richiego Whelana zajmie się wami obojgiem.

Eric wyprostował się i odczekał, aż Millie położy na barze ten sam napiwek, który zostawiła od czasu wystrzelenia w kosmos pierwszego sputnika – ćwierć dolara – i zsunie się ze stołka.

– Zbieram się – wychrypiała głosem, który w dziesięciu procentach zawdzięczała strunom głosowym, a w dziewięćdziesięciu mentolowym lightom.

– Uważaj na siebie, Millie.

Machnęła lekceważąco ręką, rzuciła: „dobra, dobra” i otworzyła drzwi.

Bob zamknął je za nią na klucz i wrócił za bar.

Wytarł blat. Kiedy dotarł do łokci Erica, powiedział: –
Przepraszam.

– Wycieraj obok.

Bob przesunął szmatką wokół rąk Erica.

– Kto jest twoim partnerem? – spytał.

– Nie bardzo bym cię nastraszył, gdybym powiedział, prawda?

– Ale pomógł ci zabić Richiego Whelana?

– To tylko plotki.

– Coś więcej. – Bob wytarł blat przed Nadią i zauważył czerwone ślady na jej nadgarstkach. Zastanowił się, czy gdzieś na jej ciele są inne, zasłonięte ślady.

– Więc coś więcej niż plotki. I tak to jest.

– Co „tak to jest”?

– Tak to jest. – Eric łypnął na niego spode łba. – Która godzina?

Bob sięgnął pod bar. Wyjął spod niego dziesięć tysięcy w foliowej torebce. Otworzył ją, wyjął banknoty i położył je na barze przed Erikiem.

Eric spojrział na nie.

– Co to?

– Dziesięć patyków, które chciałeś.

– Niby za co?

– Za psa.

– Za psa. Prawda, prawda – szepnął Eric. Podniósł wzrok. – A ile za Nadię, Bob?

– Więc to tak – powiedział Bob.

– Najwyraźniej. Posiedźmy jeszcze parę minut w miłej atmosferze, a o drugiej zajrzemy do sejfu.

Bob odwrócił się i wybrał butelkę polskiej wódki. Wziął tę najlepszą – orkiszową. Nalał sobie. Wypił. Pomyślał jeszcze o Marvie i nalał sobie drugą kolejkę, tym razem podwójną.

– Wiesz, że jakieś dziesięć lat temu Marv miał problem z narkotykami?

– Tego nie wiedziałem, Bob.

– Nie musisz ciągle wymieniać mojego imienia.

– Zobaczą, co uda mi się zrobić, Bob.

– No i ten... Marv za bardzo lubił grzać i w końcu prochy się na nim zemściły.

– Druga się zbliża, Bob.

– Był wtedy tak jakby lichwiarzem. To znaczy paserem trochę też, ale głównie pożyczzał pieniądze. A jeden chłopak był mu winny kupę kasy. Naprawdę

beznadziejny przypadek, jeśli chodzi o psy i koszykówkę. Nigdy nie oddawał wszystkich cudów.

– Za trzy druga, Bob.

– Ale wiesz co? Temu chłopakowi trafiła się wygrana w kasynie Mohegan. Siedemnaście tysięcy. Czyli trochę więcej, niż był winien Marvowi.

– I nie spłacił Marva, więc obaj daliście mu łupnia i to ma być dla mnie nauką.

– Nie, nie. Spłacił Marva. Oddał mu wszystko co do centa. Ale nie wiedział, że Marv podbiera pieniądze z kasy. Z powodu nałogu, rozumiesz. Pieniądze tego chłopaka były dla niego niczym manna z nieba, o ile nikt by się nie dowiedział, że to od niego. Rozumiesz, do czego dążę?

– Bob, kurwa, za minutę druga. – Na górnej wardze Erica załśnił pot.

– Rozumiesz, co mówię? – spytał Bob. – Rozumiesz, do czego zmierzam?

Eric spojrział na drzwi i upewnił się, że są zamknięte na klucz.

– Dobra, tak. Tego szczeniaka trzeba było zlikwidować.

– Zabić.

Szybkie zerknięcie kątem oka.

– Dobra, zabić.

– Wówczas nie powiedziałby, że spłacił Marva. Ani on, ani nikt inny. Marv wykorzystał te pieniądze, żeby uzupełnić to, co zabrał, jakby nic się nie stało. Więc tak zrobiliśmy.

– Zrobiliście... – Eric ledwie słuchał, ale teraz w jego głowie rozległ się jakiś alarm, który kazał mu spojrzeć na Boba.

– Zabiliśmy go w mojej piwnicy – ciągnął Bob. – Wiesz, jak się nazywał?

– Niby skąd, Bob.

– Na pewno wiesz.

– Jezus? – spytał Eric z uśmiechem.

– Richie Whelan.

Bob sięgnął pod bar i wyjął dziewiątkę. Nie zauważył, że jest zabezpieczona, więc kiedy pociągnął za spust, nic się nie wydarzyło. Eric szarpnął się i usiłował odskoczyć od baru, ale Bob odbezpieczył dziewiątkę i strzelił, trafiając w miejsce u nasady szyi Erica. Wystrzał zabrzmiał tak, jakby ze ściany domu spadł aluminiowy kawałek sidingu. Nadia krzyknęła. Niezbyt przeciągle, ale przeraźliwie. Eric narobił hałasu, spadając ze stołka. Kiedy Bob wyszedł zza baru, Eric odchodził, jeśli już całkiem nie odszedł. Wentylator pod sufitem rzucał mu na twarz cienkie pasma cienia. Jego policzki wydymały się, jakby usiłował jednocześnie złapać oddech i kogoś pocałować.

– Przepraszam, ale ty, wy młodzi... – powiedział Bob.

– Wiesz? Nie macie dobrych manier. Wychodzicie z domu w takich ciuchach, jakbyście nadal siedzieli przez telewizorem. Mówicie okropne rzeczy o kobietach. Krzywdzicie bezbronne psy. Mam cię dość, człowieku.

Eric spojrział na niego. Skrzywił się, jakby dokuczwała mu zgaga. Jakby był wkurwiony. Sfrustrowany. Ten wyraz

utrwalił się na jego twarzy, jakby w nią wrósł, a potem nagle Eric zniknął ze swojego ciała. Nagle przestał istnieć. I zaczął być trupem.

Bob zaciągnął go do zamrażarki.

Wrócił, pchając przed sobą kubek z mopem. Nadia nadal siedziała przy barze. Usta miała trochę szerzej otwarte niż zwykle i nie mogła oderwać spojrzenia od krwi na podłodze, ale poza tym wyglądała zupełnie normalnie.

– Ciągłe by wracał – powiedział Bob. – Gdy ktoś ci raz coś zabierze, a ty mu na to pozwolisz, to wiesz co? Nie jest wdzięczny, tylko zaczyna uważać, że jesteś mu winny coś więcej. – Zanurzył mopa w wodzie, wyżał go lekko i wytarł największą kałużę krwi. – Bez sensu, prawda? Ale tak właśnie się czują. Uprawnieni. I nie sposób im tego wybić z głowy.

– Ale... ale ty go zabiłeś. Ty go... no kurczę.

Bob określonym ruchem zgarnął kałużę.

– Bił mojego psa.

Ostatnie połączenie

Marv siedział na ulicy w swoim samochodzie, zaparkowanym pod zepsutą latarnią, pod którą nikt go nie dostrzegał, i patrzył, jak samotna dziewczyna wyłania się z baru i idzie ulicą.

To kompletnie nie miało sensu. Deeds powinien już wyjść. Powinien wyjść dziesięć minut temu. Marv zauważył ruch przy oknie z reklamą pabsta. Reklama zgasła. Ale na chwilę przedtem dostrzegł czubek czyjejś głowy.

Bob. Tylko Bob był tak wysoki, żeby sięgnąć głową nad tę reklamę. Eric Deeds musiałby skoczyć z rozpędu, żeby dosięgnąć łańcuszka wyłącznika. Ale Bob... Bob był duży. Duży, wysoki i o wiele, o wiele bardziej rozumny, niż się wydawał. I był też, szlag by to trafił, dokładnie takim facetem, który wsadziłby swój pobożny nos w nie swoją sprawę i wszystko spieprzył.

Ale coś ty zrobił, Bob? Chcesz mnie wydymać? Chcesz mi spaprać robotę?

Marv spojrział na bagaż na siedzeniu obok, bilety na samolot, wystające z kieszeni jak środkowy palec. Uznał, że byłoby mądrze pojechać na zaplecze baru, wejść przez tylne drzwi i sprawdzić, co jest grane. Ale już wiedział, co jest grane – Eric dał ciała. Dziesięć minut temu w chwili desperacji Marv zadzwonił nawet na jego komórkę, a Eric

nie odebrał.

No bo jak miał odebrać, skoro był martwy.

Dlaczego zaraz martwy, zaprzeczył sam sobie Marv. Przecież już tacy nie jesteśmy.

Może ty. Ale Bob...

Pieprzyć to. Pojedzie na zaplecze i sprawdzi, co jest, kurwa, grane.

Włączył silnik i już miał ruszyć, kiedy minął go czarny suburban Chovki z białą furgonetką, siedzącą mu na ogonie. Marv zaciągnął hamulec i zsunął się w dół na siedzeniu. Patrzył, ledwie wyglądając ponad deskę rozdzielczą, jak Chovka, Anwar i paru innych wysiadają z samochodów. Wszyscy z wyjątkiem Chovki nieśli materiałowe torby na kółkach. Nawet z tej odległości Marv widział, że są puste. Ludzie Chovki kołysali nimi, idąc do baru. Anwar zapukał i stali, czekając, a oddech ulatywał z ich ust białymi chmurkami. Drzwi się otworzyły i Chovka wszedł pierwszy. Reszta podążyła za nim.

Kurwa, pomyślał Marv. Kurwa, kurwa, kurwa.

Spojrzał na bilety lotnicze – co mu z tego, że pojutrze wyląduje w Bangkoku, skoro nie będzie miał grosza przy duszy. Plan polegał na tym, że wyjedzie stąd, mając dość pieniędzy, żeby opłacić łapówki aż do granicy z Kambodżą, gdzie, jak sądził, nikt już nie będzie go szukać. Nie miał pojęcia, dlaczego właściwie uznał, że nikt go tam nie znajdzie – po prostu gdyby on szukał siebie, Kambodża byłaby przedostatnim miejscem, które przyszłoby mu do głowy. Ostatnim byłaby Finlandia, ewentualnie

Mandżuria, jakiś kraj, w którym jest bardzo zimno, i może to byłaby najlepsza decyzja, najmądrzejszy ruch. Ale Marv miał na koncie tyle zim w Nowej Anglii, że prawe nozdrze i lewe jajo miał prawdopodobnie nieodwracalnie uszkodzone przez odmrożenia, więc pieprzyć zimne kraje. Jeśli Eric nie żył – a na tym etapie wydawało się to zajęście prawdopodobne – to Bob właśnie pozwolił oszczędzić organizacji Umarova oraz wszystkim innym gangom w mieście miliony dolarów. Miliony. Będzie zasranym bohaterem. Może dadzą mu nagrodę. Chovka zawsze lubił Boba, który strasznie mu się podlizywał. Może dadzą mu nawet pięć procent. Za to Marv mógłby pojechać do Kambodży.

No dobra, więc oto nowy plan. Zaczekać, aż Czeczeni odjadą. Potem pogadać z Bobem.

Marv wyprostował się lekko, skoro miał już plan. Choć dopiero teraz przyszło mu do głowy, że chyba powinien był nauczyć się tajskiego. Albo chociaż kupić sobie podręcznik. Nieważne. Na lotnisku na pewno mają.

Chovka usiadł przy barze i przejrzał ostatnie połączenia na komórce Erica Deedsa. Bob stał za barem. Chovka oddał mu telefon, pozwalając mu przeczytać numer ostatniego połączenia.

– Znasz ten numer? – Bob skinął głową. Chovka westchnął. – Ja też.

Anwar wyszedł z chłodni, ciągnąc za sobą płócienną torbę.

– Zmieścił się? – spytał Chovka.

– Złamaliśmy mu nogi – odpowiedział Anwar. –
Wszedł elegancko.

Anwar zostawił torbę z Erikiem przy drzwiach. Stał,
czekając.

Chovka schował telefon Erica i wyjął jeden ze swoich.
Pozostali Czeczeni opuścili zaplecze.

– Włożyliśmy pieniądze do beczek, szefie –
powiedział George. – Dakka wspominał, że przyjedzie
furgonetką z browaru za jakieś dwadzieścia minut.

Chovka skinął głową. Skupił się na telefonie, SMS-
ując zawzięcie jak szesnastolatka na długiej przerwie.
Skończył, schował komórkę i bardzo długo wpatrywał się
w Boba. Gdyby Bob miał zgadywać, milczenie trwało trzy,
może cztery minuty. Chociaż wydawało się, że dwa dni.
Nikt się nie odezwał. W barze słychać było tylko oddechy
sześciu mężczyzn. Chovka wpatrywał się w oczy Boba, a
potem poza nie, w jego serce i krew. Podążył za tą krwią
przez płuca, mózg, myśli Boba, a potem przez jego
wspomnienia, jakby kroczył pokojami domu, który może
być już skazany na wyburzenie.

Chovka sięgnął do kieszeni. Położył na barze kopertę.
Uniósł brwi.

Bob otworzył kopertę. W środku znajdowały się bilety
na mecz Celtics.

– To nie miejsca na samym dole, ale też bardzo dobre.
Ja zawsze tam siadam.

Serce Boba znowu zaczęło bić. Jego płuca napełniły
się tlenem.

– O, super. Dzięki.

– W przyszłym tygodniu też będę miał. Nie chodzę na wszystkie mecze. Strasznie ich dużo, wiesz? Nie wyrabiam.

– Jasne – powiedział Bob.

Chovka odczytał SMS-a i zaczął odpisywać.

– Musisz sobie zarezerwować godzinę na dojazd i powrót. Wiesz, korki.

– Korki bywają straszne – przyznał Bob.

– Też tak mówię Anwarowi, a on się ze mną nie zgadza.

– W Londynie są gorsze – powiedział Anwar.

Chovka nadal pisał.

– W Londynie wszystko jest gorsze. Daj znać, czy ci się podobało, Bob. Przyszedł niedawno? – Włożył telefon do kieszeni i spojrzał na Boba.

Bob drgnął.

– Tak. Kiedy wypuszczałem Millie.

– Wycelował ci w twarz, a ty powiedziałaś „nie dzisiaj”?

– Nic nie powiedziałem.

Chovka udał, że pociąga za spust.

– Jasne, że powiedziałaś. Powiedziałaś „bang”. – Znowu sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął z niej kolejną kopertę. Otworzyła się, kiedy rzucił ją na bar, pękającą od banknotów. – To od mojego ojca. Kiedy ostatnio mój ojciec dał komuś pieniądze? Uuuu... Zostałeś honorowym Umarovem, Bob. – Bob nie znalazł do

powiedzenia nic oprócz „dziękuję”. Chovka poklepał go po twarzy. – Dakka niedługo przyjedzie. Dziękuję. Dobranoc.

– Dobranoc. Dziękuję. Dobranoc – powiedział Bob.

George otworzył drzwi i Chovka wyszedł, zapalając papierosa. Anwar poszedł za nim, ciągnąc Erica, spakowanego w torbę na kółkach, która podskoczyła na progu, a potem znowu na skutym lodem chodniku.

Co tu się, kurwa, wyrabia? Marv patrzył, jak Czeczeni wychodzą z baru z materiałową torbą, którą dwaj faceci musieli wnieść na tył furgonetki. Sądził, że powinni mieć więcej niż jedną. Przy takiej kasie?

Kiedy odjechali, opuścił szybę i wyrzucił niedopałek na skorupę zlodowaciałego śniegu. Papieros stoczył się z twardego pagórka, potem z krawężnika i syknął w napotkanej kałuży.

Kolejna rzecz, którą musi zrobić w Tajlandii – rzucić palenie. Wystarczy tego. Zaczął zamykać okno i w tej samej chwili zobaczył faceta stojącego na chodniku jakieś pięć centymetrów od niego. Tego samego faceta, który parę tygodni temu pytał go o drogę.

– O cholera – powiedział Marv cicho, chwilę, zanim gość strzelił mu w nos.

– Idźcie w pokoju, by kochać i służyć Panu. – Ojciec Regan zrobił znak krzyża i to był koniec. Koniec ostatniej mszy. Wszyscy spojrzeli na siebie, nieliczna garstka, stała ekipa – Bob, Torres, wdowa Malone, Theresa Coe, stary Williams i jeszcze parę osób, które ostatnio się nie pokazywały, ale przyszły z gościnnym występem na

ostatnie przedstawienie. Bob widział na wszystkich twarzach to samo odrętwienie – wiedzieli, że do tego dojdzie, a jednak ciągle w to nie wierzyli. – Gdyby ktoś chciał kupić ławkę, zanim zostaną sprzedane, zadzwońcie do Bridie na probostwo, które będzie czynne jeszcze przez trzy tygodnie. Niech Bóg was błogosławi.

Przez minutę nikt się nie poruszył. Potem wdowa Malone poczłapała do wyjścia. Po niej Torres. Za nimi niektóre gwiazdy na gościnnych występach. Bob i stary Williams byli ostatni. Przy kropielnicy Bob przeżegnał się, po raz ostatni w tych murach, i napotkał spojrzenie starego Williamsa. Stary uśmiechnął się i kilka razy skinął głową, ale nic nie powiedział. Wyszli razem.

Na chodniku Bob i Torres stanęli, spoglądając na kościół.

– Kiedy w tym roku rozebrał pan choinkę? – spytał Bob.

– Dzień po święcie Trzech Króli. A pan?

– Tak samo.

Skinęli sobie głową i znowu spojrzeli na kościół.

– Tak jak się spodziewałem – oznajmił Torres.

– Czyli?

– Sprzedali go firmie deweloperskiej. Zrobią tu mieszkania. Ludzie będą siedzieć przy tym pięknym oknie, popijając gównianego starbucksa i świergoląc, że wierzą w nowego trenera pilates. – Uśmiechnął się do Boba z łagodnym przygnębieniem i wzruszył ramionami. Po chwili spytał: – Kocha pan swojego ojca?

Bob przyjrzał mu się, żeby stwierdzić, czy Torres na pewno nie kpi.

– Jak cholera.

– Byliście sobie bliscy?

– No.

– Ja z moim też. Nieczęsto się to słyszy. – Znowu podniósł wzrok. – To był wspaniały kościół. Kiepska sprawa z kuzynem Marvem.

– Podobno zastrzelił go złodziej samochodów.

Torres spojrział na Boba z niedowierzaniem.

– To była egzekucja. Półtorej przecznicy od waszego baru.

Bob przez jakiś czas patrzył na ulicę w milczeniu.

– Eric Deeds – dodał Torres. – Raz o nim wspomniałem.

– Pamiętam.

– Wtedy pan nie pamiętał.

– Pamiętam, że pan o nim wspomniał.

– Aha. Był w waszym barze w niedzielę Super Bowl.

Widział go pan?

– Pan wie, ile osób było w barze w tamtą niedzielę?

– To ostatnie miejsce, w którym go widziano. A potem? Puf. Całkiem jak Richie Whelan. Ironia losu, bo to Deeds podobno zabił Whelana. W tym waszym barze ciągle giną ludzie albo poniewierają się części ciała. Ale ty nic nie widzisz.

– Nie pokazał się.

– Jeśli się znajdzie, to pewnie na oddziale w

wariatkowie. Przebywał tam tej nocy, gdy zaginął Whelan.

– Bob spojrział na Torresa, który parę razy pokiwał głową.

– To prawda. Jego partner powiedział, że Deeds zawsze przypisywał sobie sprzątnięcie Whelana, bo nikt się do niego nie przyznawał, a on uważał, że to doda mu znaczenia na ulicy. Ale nie on go zabił.

– Czy komuś będzie go brakować?

Torres chwilę nie wierzył własnym uszom. Uśmiechnął się.

– Czy komuś będzie co?

– Go brakować.

– Nie. Może Whelana też nikomu nie brakuje.

– To nieprawda. Znałem Dawne Czasy. Nie był zły.

Wcale.

Przez jakiś czas żaden z nich się nie odzywał. Potem Torres pochylił się do Boba.

– Żaden z nich się tego po panu nie spodziewał, co?

Bob miał twarz spokojną i pogodną jak Staw Waldena. Wyciągnął rękę, którą Torres uścisnął.

– Niech pan na siebie uważa.

– Pan też.

Bob zostawił Torresa, wpatzonego w kościół, bezradnego wobec nadchodzących zmian.

Parę dni później Bob wziął psa i poszedł z nim do Nadii.

– Muszę uwierzyć – powiedziała Nadia – że wszystko ma sens. I nawet jeśli mnie zabijesz, kiedy tylko zamknę oczy...

– Co? Ja? Nie. O, nie.

– ...to nie szkodzi. Bo już nie dam rady przechodzić przez to sama. Nie wytrzymam ani jednego dnia dłużej.

– Ani ja – przyznał i mocno zacisnął powieki. – Ani ja. Długo milczeli. A potem:

– Musi wyjść na spacer.

– Hm?

– Rocco. Już dawno nie był.

Bob otworzył oczy i spojrzał na sufit w jej sypialni. W dzieciństwie Nadia przykleiła do niego gwiazdki. Nadal tam były.

– Wezmę smycz.

W parku lutowe niebo wisiało ciężko tuż nad ich głowami. Lód na rzece popękał, ale małe kry nadal trzymały się ciemnych brzegów.

Bob nie wiedział, w co wierzy. Rocco szedł przed nimi, trochę ciągnąc smycz, bardzo dumny, bardzo zadowolony, zupełnie niepodobny do tego drżącego kłęбка sierści, który Bob wyciągnął z kubła na śmieci zaledwie dwa miesiące temu.

Dwa miesiące! Coś takiego. Życie potrafi się szybko zmienić. Pewnego ranka wstajesz i widzisz całkiem nowy świat. Świat, który obrócił się ku słońcu, przeciągnął się i ziewnął. Potem odwrócił się w stronę nocy. A za parę godzin znowu do słońca. Nowy świat, codziennie nowy świat.

Kiedy dotarli w głąb parku, spuścił Rocco ze smyczy i sięgnął do kieszeni płaszcza po piłkę tenisową. Rocco

uniósł głowę. Głośno parsknął. Drapnął łapą ziemię. Bob rzucił piłkę i pies za nią popędził. Bob wyobraził sobie, że piłka odbija się w nieprzewidziany sposób i spada na jezdnię. Pisk opon, łupnięcie psiego ciała o karoserię. Albo co by się stało, gdyby Rocco, spuszczonego ze smyczy, uciekł i już nie wrócił.

Ale co można na to poradzić?

Życia nie da się kontrolować.